

HISTORIA, KTÓREJ WCZEŚNIEJ NIE OPOWIEDZIANO

# PSYCHO CHO PACI



GORMAN STATE TO JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH SZPITALI PSYCHIATRYCZNYCH W USA, PRZEZNACZONY DO LECZENIA NAJGORSZYCH PRZYPADKÓW PACJENTÓW. W BLOKU C ZAMKNIĘCI ZOSTALI ZBRODNIARZE WOJENNI, SERYJNI MORDERCY I KANIBALE.

STEPHEN SEAGER

FILIA

STEPHEN SEAGER

**PSY  
CHO  
PACI**

Przełożył  
Jan S. Zaus

**FILIA**



# SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

NOTA AUTORA

PRZEDMOWA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY  
EPILOG  
POSŁOWIE  
PODZIĘKOWANIA

Reklama  
Karta redakcyjna

*Ofiarom i ich rodzinom.*

*Personelowi i jego rodzinom.*

*Pacjentom i ich rodzinom*

„I otrze z ich oczu wszelką łzę (...)  
Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu...”  
APOKALIPSA ŚW. JANA 21,4



## NOTA AUTORA

SZANUJĄC PRAWO PACJENTÓW i moich współpracowników do prywatności, jedynym prawdziwym nazwiskiem, jakiego użyłem w tej relacji, jest moje własne. Zmieniłem też miejsca akcji. Wypadki, chociaż wiernie je odtworzyłem, nie zdarzyły się tym konkretnym bohaterom, w dokładnie tym czasie i w taki właśnie sposób. Jednak świadomie nie zmieniłem ani jednego istotnego faktu czy zdarzenia, w którym uczestniczyłem albo którego byłem świadkiem.

Stanowy szpital psychiatrii sądowej (*forensic state mental hospital*) jest ze swej natury środowiskiem wyizolowanym. Podczas gdy ogromna większość osób cierpiących na choroby umysłowe nie jest przestępcami ani też nie wykazuje tendencji do popełniania czynów gwałtownych, większość tych, które odsyła się do szpitali psychiatrii sądowej, już jest albo będzie takimi.

Stanowy szpital psychiatrii sądowej nie jest miejscem bezpiecznym. Jestem pełen podziwu dla tutejszego personelu, pełniącego służbę w obliczu wielkiego wyzwania. Nigdy nie tracą z oczu cierpień swoich pacjentów. Podziwiam również samych pacjentów, którzy przebywają tu pod ogromnie uciążliwym przymusem.

Wszyscy pytają mnie, dlaczego Napa State Hospital (Szpital Stanowy [Psychiatryczny] w Napie) jest takim budzącym niechęć, niebezpiecznym miejscem. I dlaczego nie ma w nim strażników? Odpowiedzią będzie mój pierwszy dzień w Gomorze: nie możesz być jednocześnie w szpitalu i w więzieniu.



\* \* \*

Prawa pacjentów i obecnie obowiązujące przepisy dotyczące zdrowia psychicznego są ze sobą dobrze skorelowane, tworząc spójny system, w którym to prawa pacjentów są najważniejsze, co często bywa jednak niebezpieczne dla personelu szpitala i innych chorych.

Od lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych szpitale psychiatrii sądowej ponoszą skutki działania ruchu antypsychiatrycznego<sup>[1]</sup>. Główny nurt filozoficzny ruchu mówi, że choroba umysłowa nie jest prawdziwą chorobą, lecz reakcją na traumę albo krzywdy wyrządzone jednostce przez współczesne społeczeństwo. W efekcie członkowie ruchu uważają, że leczenie psychiatryczne – czytaj: medyczne – może uczynić więcej szkód niż pożytku. Otwarcie twierdzą, iż szpital psychiatryczny jest tylko więzieniem karzącym tych, którzy sprzeciwiali się arbitralnym normom społecznym. A to prowadzi do konkluzji, że jeżeli rasizm, ubóstwo, niesprawiedliwość, społeczna nierówność (a także sama psychiatria) zostaną zlikwidowane, to wraz z tym znikną choroby umysłowe.

Jednak wiedza współczesnej medycyny udowodniła coś wręcz przeciwnego. Główne zaburzenia umysłowe w istocie strukturalnie są chorobami mózgu, podobnie jak zaburzenia pracy serca są strukturalnie chorobami samego serca. W instytucjach państwowych i w samych szpitalach pokutuje ciągle błędne przekonanie ruchu antypsychiatrycznego, a to z kolei wpływa zarówno na politykę stanową, jak i całego państwa.

Winę za ten problem ponoszą też sami psychiatrzy. Pozwalamy ruchowi antypsychiatrycznemu rozwijać się w niezmiennym kształcie. Niektórzy z nas czynnie w nim uczestniczą. Jesteśmy skłonni opróżniać szpitale stanowe, a naszych pacjentów wypuszczać na ulice. Umywamy ręce i płaczemy nad ich losem, tolerując rozszerzającą się epidemię przemocy wobec naszych nowych pacjentów w takich miejscach jak Napa State, gdzie ogłasza się i prawnie sankcjonuje znęcanie się nad wieloma osobami, nad którymi powinniśmy rozpościerać parasol ochronny.

[1] Termin „Anti-Psychiatry” wprowadził brytyjski psychiatra David Cooper (1967). Zmienił on teorię i praktykę głównego nurtu psychiatrii. Ruch ten wyrządził więcej szkody niż pożytku w leczeniu pacjentów, twierdząc, że medyczne leczenie psychiatryczne pacjentów jest szkodliwe. Zwolennicy ruchu uważali, iż psychiatria wykorzystuje narzędzia przymusu, polegające na nierównym stosunku sił pacjent–lekarz (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

## PRZEDMOWA

JA I RAYMOND BOUDREAUX siedzieliśmy po obu stronach chybotliwego, drewnianego stołu. On blisko drzwi. I to był błąd.

Ograniczoną przestrzeń tego miejsca oświetlały dwie sufitowe jarzeniówki. Ściany pomalowano na kolor khaki. Jedno małe okienko w drzwiach wychodziło na korytarz. Lipcowe powietrze było parne, nieruchome. Moje krzesło skrzypiało i trzeszczało, gdy przesuwałem je po podłodze wyłożonej linoleum.

– Witam, panie Boudreaux – powiedziałem. – Jestem doktor Seager.

Boudreaux nie odpowiedział. W szarobłękitnej szpitalnej bluzie i luźnych spodniach prezentował się masywnie. Był silnie zbudowanym czarnym mężczyzną o niezwykle szerokich ramionach. Czułem na sobie jego nieruchomy wzrok.

– Panie Boudreaux...? – spróbowałem ponownie. Boudreaux nawet nie mrugnął. Poruszyłem się zaniepokojony, zastanawiając się, jak długo ktoś może patrzeć, nie mrugając oczami.

Jestem psychiatrą. Zostałem zatrudniony do kierowania specjalnym oddziałem w dużym stanowym szpitalu psychiatrycznym. Był to rodzaj niebezpiecznego, niepokojącego miejsca, przypominającego filmowy Baltimore State z *Milczenia owiec*.

Po tygodniowym przeszkoleniu przyjąłem pierwszego pacjenta, Raymonda Boudreaux, z którym teraz rozmawiałem sam na sam. Było już późno i potem miałem wrócić do domu.

– Jestem pańskim nowym lekarzem – oznajmiłem. – Jak się pan czuje?

Następna przerwa. Potem dotąd nieporuszona twarz Boudreaux zmieniała wyraz.

– Jesteś kurewskim wampirem, prawda? – uśmiechnął się. W jego gładkim jak szkło głosie czuło się ślady pochodzenia kreolskiego. Pogładził się po głowie, obserwując mnie jak zaciekawiony pies. Jego oczy zwęziły się. Czuję, jak żywiej bije mi serce.

Szpital psychiatrii sądowej nie jest normalnym szpitalem dla psychicznie chorych. Tu pacjenci są nie tylko osobami chorymi psychicznie, ale też przestępcami. Tak jak powszechnie znani James Holmes albo Jeffrey Dahmers, którzy urządzali strzelaniny w szkołach.

Raymonda Boudreaux widziałem w CNN, gdy był po raz pierwszy aresztowany.

Oddech Boudreaux przyspieszył.

– Ty i ten pieprzony prokurator okręgowy – rzekł – obaj w tym tkwicie. Znam takich jak wy. Potraficie człowieka zaszczuć na śmierć. A potem wysiecie z trupa całą krew.

Boudreaux urodził się w Nowym Orleanie. Ukończył Yale, uzyskując stopień magisterski z biznesu i administracji. Pracował w dyrekcji banku w San Francisco. Potem zachorował. Miesiąc po odejściu z pracy zabił strzałami ze śrutówki swego szefa i kilku współpracowników.

– Uduśzę tego pedała prokuratora okręgowego – warknął Boudreaux, wstając. – Albo ciebie. – Jego masywna sylwetka częściowo zasłaniała drzwi i boleśnie uświadamiała mi, jaki popełniłem błąd. Spanikowałem i też wstałem.

Łapami wielkości patelni Boudreaux chwycił brzeg stołu i pchnął go, przypierając mnie ciasno do ściany. Krzesło zaskrzeczało, przesuwając się po podłodze. Gorączkowo wlepiłem wzrok w okienko w drzwiach i patrzyłem na korytarz – jednak nikogo tam nie zobaczyłem. Sięgnąłem do pasa alarmowego, jaki dostaliśmy w razie wystąpienia podobnego zagrożenia, ale przypomniałem sobie, że zostawiłem go w moim gabinecie.

Czubek ogolonej głowy Boudreaux zrosiły krople potu.

– Nie ruszaj się, sukinsynu – warknął z wściekłością i pchnął silniej stół.

W chaosie przerażających myśli przebiegających przez mój umysł pojawiła się też rada, jakiej udzielił mi kiedyś instruktor w szkole medycznej: „Jeżeli zostaniesz przyparty do muru przez wściekłego pacjenta, nie przerywaj rozmowy”.

– Opowiedz mi o swoim przestępstwie.

Na szyi Boudreaux nabrzmiały żyły, oczy rozszerzyły się. Stół uderzył w kości moich nóg. Boudreaux kilka razy westchnął, potem zmniejszył nacisk, opuścił głowę, jego wzrok złagodniał. Puścił stół, usiadł i przyłożył dłoń do czoła. Teraz wydawał się jakiś mniejszy, słabszy.

– Zabiłem moich najbliższych przyjaciół – rzekł wolno. – Jaki człowiek robi coś takiego?

Wysunąłem się zza stołu.

– Taki, który jest chory – odparłem, podchodząc do drzwi. Minąłem Boudreaux i chwyciłem gałkę drzwi. – Dlatego jesteś tu, a nie w więzieniu. Ty nie jesteś zły, tylko chory.

Otworzyłem drzwi, wyjrzałem na długi korytarz i szybko kiwnąłem na Lolę Palanqui, pielęgniarkę oddziałową i na dwóch pielęgniarzy. Nogi trzęsły się pode mną, ale zdołałem odwrócić się do Boudreaux.

– Będziesz grzeczny?

Boudreaux milczał.

– Oni pomogą ci wrócić do pokoju – powiedziałem i gdy zjawili się, odstałem niepewnie na bok. Boudreaux eskortowało dwóch sanitariuszy.

Ciemnowłosa, trzydziestoletnia pielęgniarka Palanqui stała przede mną z rękoma wspartymi na biodrach. Niemal dotykaliśmy się nosami butów. Drugi raz zostałem przyparty do ściany. Nie zwracając uwagi na to, że krzywię się z bólu, wpatrywała się we mnie ze złością.

– Był pan tu sam na sam z Boudreaux? – zapytała z charakterystycznym dla niej angielskim akcentem z domieszką tagalogu używanego na Filipinach.

– Tak.

– Nie mówili panu, że nie wolno tego robić?

– Mówili.

– On mógł pana zabić.

Westchnąłem głęboko.

– Wiem. Byłem naprawdę przerażony...

– Nie nauczył czegoś pana tamten pański pierwszy straszny dzień? – zapytała.

Dotknąłem blizny na potylicy.

– Myślałem, że...

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Jesteś tu nam potrzebny, doktorze. – Palanqui położyła mi rękę na ramieniu. – Proszę o więcej rozwagi.

Osunąłem się na podłogę.

Podjąłem pracę w szpitalu, uważając, że będę mógł pomóc, ale omal nie doprowadziłem do tego, że ja sam, albo ktoś inny, prawie został zabity bądź znalazł się w niebezpieczeństwie.

Boudreaux, idąc na kolację z innymi pacjentami, zawołał z końca korytarza:

– Dzięki, doktorze! – I kiwnął mi ręką.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zwariowany Kapelusznik:

– Jaka jest różnica między krukiem a piórnikiem?...

– ...

– Myślisz, że potrafisz znaleźć odpowiedź na to pytanie? – rzekł Kapelusznik.

– Nie, poddaję się – odparła Alicja. – Jaka jest odpowiedź?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – rzekł Kapelusznik.

LEWIS CARROLL, „ALICJA W KRAINIE CZARÓW”

PIERWSZEGO DNIA PRZYBYŁEM wcześnie do pracy w Napa State Hospital, jednym z największych amerykańskich szpitali dla psychicznie chorych. Powstały w poprzednich stuleciach zespół szpitalny rozciągał się na obszarze setek akrów leżących w nieprzystępnym, odosobnionym krańcu doliny, z dala od ludzkich oczu.

Po minięciu nierzucającego się w oczy zjazdu z drogi łączącej się z Magnolia Lane znalazłem się na długiej drodze dojazdowej, obrzeżonej ogromnymi, rozłożystymi wiązami i ozdobionej dziewiętnastowiecznymi rezydencjami. Spędziłem dokładnie tydzień, żeby się w nich rozeznać.

Na końcu ulicy znalazłem tablicę z danymi historycznymi:

W 1872 roku wybrano lokalizację i rozpoczęto prace nad budową Napa State Hospital, jednego z największych amerykańskich szpitali dla psychicznie chorych i jednego z pierwszych kalifornijskich szpitali przeznaczonych wyłącznie do leczenia



chronicznie chorych umysłowo. Szpital został otwarty 15 listopada 1875 roku. Odtąd, aż do roku 1954, kiedy poddano go gruntownemu remontowi i przebudowie, szpital i jego otoczenie stały się obiektem samowystarczalnym. W 1992 roku, wraz z utworzeniem bezpiecznego ogrodzenia, Napa State Hospital stał się szpitalem psychiatrii sądowej i rozpoczął przyjmowanie chorych psychicznie, którzy przebywali w stanowych aresztach śledczych.

Dostarczono nam też ulotkę zawierającą informację o „misji” Napa State Hospital. Było w niej: „Napa State Hospital bez przymusu i przemocy zapewnia pacjentom, personelowi, gościom i całemu miejscowemu społeczeństwu bezpieczeństwo i spokój”.

Ruszyłem dalej, aby wjechać na Spruce Lane skręcającą przed nowymi gmachami administracyjnymi, za którym majaczyła grupa budynków utrzymanych w hiszpańskim stylu. Mieściły się w nich „otwarte” oddziały psychiatryczne. Zwiedziłem je w czasie pierwszego rozeznania. Tu przebywali głównie starsi, słabi na umyśle pacjenci.

Pacjenci z oddziałów otwartych mogą swobodnie chodzić po ogrodzonym terenie. Widziałem właśnie grupę pacjentów spacerujących po trawniku, palących papierosy i rozmawiających ze sobą.

– Oni nie uciekną? – Widząc podobne obrazki podczas zwiedzania, ktoś zapytał naszego instruktora.

– A dokąd mieliby pójść?

Pierwszą wizytę złożyłem w Oddziale Dwunastym, w jednym z tych otwartych oddziałów, chociaż na dwa dni przed rozpoczęciem pracy zostałem wezwany do doktor Heidi Francis – medycznej dyrektorki Napa State.

– Zaszła zmiana w pańskim przydziale – oznajmiła doktor Francis. – Został pan przydzielony na Oddział C.

– Gdzie jest Oddział C? – zapytałem.

– Prześlę panu mailem plan – odparła.

Zaparkowałem na zatłoczonym parkingu pomalowanym wyblakłymi pasami. Zatrzymałem się przy moim czerwonym pikapie toyota, przypiąłem do frontowej kieszonki koszuli pomarańczową odznakę tożsamości

i poprawiłem krawat.

Podczas mojej kariery w świecie chorych umysłowo byłem zatrudniany w wielu różnych szpitalach psychiatrycznych, ale nigdy nie pracowałem w stanowym szpitalu psychiatrii sądowej.

Idąc w kierunku Oddziału C, wolno zbliżyłem się do gigantycznego ogrodzenia „bezpieczeństwa” wznoszącego się do wysokości dwudziestu stóp i zwieńczonego trzystopowym zwojem ostrych jak brzytwa drutów. Takie ogrodzenie ograniczało Obszar Szczególnie Zabezpieczony (OSZ) w Napa State. OSZ obejmuje teren siedemnastu szpitalnych oddziałów „szczególnego ryzyka”. Tu nikt nie wychodzi „na papierosa”. Główne drogi patrolują auta policyjne. W OSZ, jak nas poinformował instruktor, przebywają „źli aktorzy”. Ogrodzenie ciągnęło się tak daleko jak okiem sięgnąć. OSZ przypominał rozległy obóz jeńców wojennych z filmu o II wojnie światowej. W czasie wstępnego rozeznania oczywiście obejrzelismy OSZ, ale tylko z daleka. Nowo zatrudnieni nie byli kierowani za ogrodzenie, zatem wtedy nie przejmowałem się nim zbytnio.

Gdy zbliżyłem się do wysokiej bramy, nagle głośno odezwał się brzęczyk. Stojący obok mnie starszy jegomość z łatwością otworzył ją i weszliśmy do środka przez monitorowane przejście. Zamknął za nami bramę i usłyszałem, jak zatrząskiwiała się z suchym trzaskiem elektrycznego zamka.

– Pierwszy dzień? – zapytał.

– Tak... tak, pierwszy – odparłem. – Jeszcze nigdy nie byłem w... – Zanim zdążyłem dokończyć, stary wskazał moją pierś i obaj przesunęliśmy odznakami przez czytnik. Jego nazwisko brzmiało „R. Corcoran”. Umundurowany mężczyzna za grubą szybą sprawdził na dużym ekranie komputera nasze dane. W czasie gdy czekaliśmy, Corcoran dotknął mojego krawata i potrząsnął przecząco głową. Sięgnął pięścią za swój kark i uniósł rękę, imitując wieszanie. Szybko zdjąłem krawat i wsunąłem do kieszeni spodni.

Druga brama stanęła otworem. Czekają na nas dwóch następnych funkcjonariuszy.

– Ręce do góry – polecił mały policjant, Filipińczyk. Wywieszka na mundurze podawała jego nazwisko: „Bangban”. Bangban przesunął czujnikiem wzdłuż mojego ciała.

– Ile razy miała tu miejsce ucieczka? – zapytałem, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

– Kieszenie – rzekł drugi funkcjonariusz.

Wyjąłem z kieszeni spodni krawat, klucze, monety i długopisy i rzuciłem na plastikową tackę. Bangban spojrzał na krawat i uśmiechnął się do starego.

– To wszystko, przez co pan przeszedł, nazywamy punktem kontrolnym – czyli specjalnie chronionym przejściem – wyjaśnił Corcoran, gdy upomniałem się o oddane przedmioty. Zwinięty krawat wrócił do kieszeni. Założyliśmy z powrotem buty.

– Chronione przejście, brzmi to dość niewinnie – zauważyłem.

– Stosują je w maksymalnie strzeżonych więzieniach, jak San Quentin – kontynuował Corcoran. – A także w Mennicy Stanów Zjednoczonych i w obiektach militarnych typu bazy z rakietami atomowymi.

Weszliśmy do trzeciej strefy kontrolowanej. Stojąc przed oknem z grubą barwioną szybą, widziałem w mroku grupkę policjantów.

– Tu zostaniemy rozebrani do naga i obejrzą każdy cal naszego ciała. – Usłyszałem od Corcorana wskazującego przyciemnioną szybę. – Albo zbadają w nim wszystkie otwory.

Czując suchość w ustach, spojrzałem w okno.

– Kto to będzie robił? – zapytałem, lecz Corcoran już stał gotów przy ostatniej bramie. Rozległo się buczenie i znaleźliśmy się na terenie szpitala.

Idąc za Corcoranem do ostatniego okna, odebrałem w nim klucze i „osobisty alarm” do noszenia przy pasku. Posiadał czerwony przycisk, który uruchamiał – jak nam powiedziano w czasie rozeznania – sygnalizację dźwiękową i świetlną w razie wystąpienia jakichś „kłopotów”.

Stanowy Szpital w Napie nie pasował do modelu żadnego innego szpitala. Zespół parterowych i dwukondygnacyjnych budynków leżał w szeroko

rozwartym łuku, jak otoczone zewsząd ogrodzeniami perły nanizane na gigantyczny sznurek. Oddziały przebudowane w roku 1954 sprawiały wrażenie echa klasycznych rancz utrzymanych w stylu tamtego okresu.

Każdy doskonale utrzymany budynek był świeżo odmalowany. Scenerię upiększały starannie przycięte stare drzewa. Całość pokrywało morze przystrzyżonej trawy. Patrząc zza ogrodzenia, można było odnieść wrażenie, że nie jest to teren szpitala, tylko kampus koledżu.

Pośród zieleni dumnie kroczyły pawie, strojące się w letnim słońcu. Ptaki z lśniącymi błękitnymi piórami z trzepotem skrzydeł wlatywały, aby przysiąść na murowanych kominach, unosić w niebo dzioby i śpiewać. Ich śpiew brzmiał dwójako – a każdy był niesamowicie podobny do ludzkiego. Pierwszy przypominał staccato śmiechu, drugi głos kogoś wzywającego pomocy.

Gdy wchodziłem do budynku C, nagle ogłuszająco zawyła syrena, odbijając się echem po korytarzu, i zaczął błyskać tuzin świateł na ścianach. W drzwiach wychodzących na długi korytarz pojawili się ludzie. Wybiegli i zaczęli gorączkowo się rozglądać. Niektórzy krzyczeli. Głowy obracały się, gdy tłum biegał po korytarzu.

– Wszyscy okej? – krzyknął masywnie zbudowany mężczyzna.

– Sprawdzić jadalnię – odpowiedziała młoda kobieta. Wskazała na lewo i dwanaście osób skoczyło w tamtym kierunku. Syrena ciągle wyła, światła błyskały.

Stałem jak sparaliżowany. Po mojej prawej stronie patrzyła na mnie ubrana po sportowemu czterdziestoletnia kobieta o krótkich czarnych włosach. Wskazała palcem moją odznakę identyfikacyjną.

– Pan jest nowym lekarzem? – krzyknęła, zagłuszając hałas.

Skinąłem głową. Sięgnęła do mojego biodra i wyłączyła ten nieszczęsny czerwony przycisk mojego osobistego alarmu. Syrena umilkła, światła zgasły.

– Fałszywy alarm! – zawołała. Tłum znieruchomiał i ludzie z westchnieniem ulgi zaczęli wracać do swoich pokojów służbowych.

– To się zdarza każdemu – wyjaśniła kobieta. – Należy zawsze sprawdzać czerwony przycisk, gdy wyciąga się klucz. I... – dodała, pochylając się i podnosząc klucze z podłogi, gdzie najwyraźniej je rzuciłem – ...niech pan nigdy ich nie gubi. Mogą z tego wyniknąć poważne kłopoty.

– To się już nie powtórzy – zapewniłem. – Przepraszam.

– Nazywam się Kate Henry, oddziałowa Oddziału C – przedstawiła się z uśmiechem. – Witamy w Napa State.

Stałem przez chwilę w pustym korytarzu. Zza głównych drzwi dochodziły dźwięki „ha-ha-ha!”. Z początku nie uzmysławiałem sobie, że to śmiech pawia.

Wzmocnione płytą stalową drzwi Oddziału C posiadały jedno małe, podwójnie szklone okienko. Wsunąłem klucz w zamek i miałem już je otworzyć, gdy w okienku ukazała się twarz młodego mężczyzny. Wyglądał dziko z rozczochranymi włosami, w wymiętym, bladoniebieskim kitlu. Gorączkowo gestykulował.

– Tu fale 88,5 radia NPR (National Public Radio) – oznajmił rzeczowym głosem, naśladując spikera. – Pozyskiwanie funduszy przez nadawców publicznych jest w porządku. Nie słuchaj radia za darmo, to kradzież. Tu Ofeibea Quist-Arcton<sup>[2]</sup>. – Obrócił się trzy razy, chwilę zamarł bez ruchu, potem przez moment wyciągał przed siebie rozcapierzone ręce i zniknął.

Opanowałem się, otworzyłem drzwi i wszedłem do zatłoczonego korytarza. Przy moim lewym uchu śmignęło drewniane krzesło i z hukiem wystrzału z karabinu rozbiło się o stalowe drzwi.

Za mną przykucnął wytatuowany biały mężczyzna, silnie umięśniony, o czerwonych wściekłych oczach. Wyprostował się i mnie popchnął. Uderzyłem potylicą o ścianę. Światła zamigotały. Coś mokrego spłynęło mi na kark.

Chwycił resztki rozbitego krzesła i cisnął nimi w głowę starszego, czarnego mężczyzny, który skurczył się i padł bezwładnie na podłogę.

– Już nigdy nie będziesz się ze mną pieprzył, stary! – warknął olbrzym, rzucając krzesło na bezwładne ciało. – Jesteś winny. Płacisz.

Odwrócił się i poszedł korytarzem, gdzie przerażeni pacjenci przyłgnęli do ścian.

Minął oszkloną dyżurkę pielęgniarek, w której kurczyło się pięć kobiet, stłoczonych ze strachu wywołanego piekielnym krzykiem. Olbrzym wałnął pięścią wielkości szynki w szybę. Jedna z pielęgniarek nacisnęła przycisk alarmowy przy biodrze i odezwał się pulsujący, przenikliwy dźwięk alarmu.

– Nigdy nie pytaj, kto tu szefem! – Jego głos zagrział nad ogólnym harmidrem. Odwrócił się do mnie. Stał na bosaka, jego kark przykrywały poplątane loki czarnych włosów, na czole miał wytatuowane słowo „piekło”.

– Głosy kazały mi to zrobić – stwierdził i teatralnie objął głowę rękoma. Obrócił się na pięcie i jakby przypadkiem zatoczył się do pobliskiego, ogrodzonego murem dziedzińca.

– Nie zapomnij o dotacji – rzucił z tyłu facet z NPR, oddalając się. – Najlepiej nadaje się do tego łańcuch supermarketów Safeway Corporation.

[2] Dziennikarka radiowa i telewizyjna z Ghany. Donosi o wydarzeniach w Afryce Zachodniej dla radia NPR.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Od XVIII wieku definicja „całkowitego obłądu”, czyli choroby umysłowej, ewoluowała do określenia „dzika bestia”. Określaną tak osobę uznawano za „całkowicie zdeprawowaną” w takim rozumieniu, że tak jak małe dziecko, zwierzę albo dzika bestia – nie wie, co robi.

HERBERT FEIGL

ZANIM ZAJĄŁEM SIĘ LECZENIEM psychiatrycznym, przez jedenaście lat byłem lekarzem pogotowia ratunkowego i gdy pielęgniarka nacisnęła przycisk alarmu, zbudził się we mnie dawny lekarz pogotowia ratunkowego. Padłem na kolana i umieściłem rozbitą głowę mężczyzny między kolanami, utrzymując jego kark i szyję w nieruchomej pozycji.

Czerwień zalewała moją koszulę i spodnie. Krew gromadząca się na podłodze zaczynała już krzepnąć. Z pęknięcia na lewej skroni mężczyzny sączył się cienki strumyczek substancji mózgowej.

Otworzyły się za mną drzwi oddziału i w odpowiedzi na alarm wbiegło dwunastu członków personelu z Oddziału B na piętrze, razem z dwoma policjantami. Policjanci zostali skierowani na dziedziniec, natomiast personel zajął się opanowaniem tłumu.

– Poproszę latarkę! – zawołałem i pielęgniarka szybko podała mi wyjętą z kieszonki koszuli latarkę ołówkową. Rzuciłem promień światła, unosząc kciukiem powieki leżącego. Prawa źrenica zareagowała, zmniejszając się, natomiast lewa ledwo drgnęła i zaczęła się rozszerzać. Wyglądało to źle. Oznaczało krwawienie wewnątrzczaszkowe.



– Dajcie tu zaraz sanitariuszy! – krzyknąłem.

– W drodze – odpowiedziała Kate Henry, trzymając telefon wciśnięty między ramieniem i uchem.

Pacjenci ogłuszeni hałasem i widokiem tak dużej ilości krwi zamarli z przerażenia. Ledwo drgnęli, gdy po upływie pięciu minut rozwarły się drzwi oddziału i pojawiła się trzyosobowa załoga ratowników medycznych z wózkiem do przewożenia chorych i sztywnymi noszami.

– Uderzenie krzesłem w głowę – wyjaśniłem i odsunąłem się na bok. – Cios w źrenicę.

– Zajmę się tym – ratownik założył leżącemu kołnierz stabilizujący kark. Za mną drugi ratownik rozerwał mi koszulę na piersi i przyczepił czujniki EKG. Po mojej prawej stronie trzeci z ratowników – strażak – zażądał połączenia z pogotowiem hrabstwa.

– Alarm dla centrali ratunkowej hrabstwa (County General Emergency) – rzucił pierwszy ratownik. – Potrzebny transport lotniczy.

– Centrala na linii – zawołała Kate Henry i podała przez drzwi dyżurki słuchawkę.

Ratownik podbiegł i szybko przekazał informację, podczas gdy dwaj pozostali członkowie załogi ratowniczej razem z trzema pielęgniarkami ostrożnie ulokowali uderzonego pacjenta na sztywnych noszach, a potem przenieśli na wózek.

Pomogliśmy zabezpieczyć ciało pasami i ratownicy szybko się wycofali, pod przewodnictwem Cole'a, który machał ręką, jakby dowodził szarżą kawaleryjską. Potem drzwi zatrzasnęły się i zostały zamknięte na klucz.

Na podłodze pozostała krew. Pacjenci wpatrywali się w nią. Kręciło mi się w głowie. Próbowałem wstać, ale obawiałem się, że kolana mogą mnie nie utrzymać.

Dwóch policjantów spokojnie sprowadziło wytatuowanego olbrzyma z dziedzińca, zaprowadzili go do pokoju, zamknęli drzwi i stanęli przed nimi na straży.

– Lekarstwa! – krzyknęła pielęgniarka, Luella Cortes, Hiszpanka przed

trzydziestką. Pacjenci, nadal oszołomieni, lecz wyraźnie zaznajomieni z obowiązującymi zwyczajami, ustawili się w szeregu przed małymi drzwiami połówkowymi do pokoju z lekami.

Odszukałem zlew i przemyłem twarz wodą, zmywając krew z karku i oczyszczając go na tyle, na ile mogłem. Personel wycofał się do dyżurki pielęgniarek.

Razem z nimi Ben Cohen – trzydzieści parę lat, wysoki, przystojny, ostry jak brzytwa – nasz nowy psycholog. Wchodził w skład mojej drużyny rozpoznawczej. W tym całym zgiełku gdzieś mi się zawieruszył. Był to też jego pierwszy dzień, ale bardziej sprawiał wrażenie rozgorączkowanego niż zdezorientowanego.

– Kogo uderzył ten szaleniec? – zapytał ze złością Cohen.

– Nazywa się Ralph Wilkins – odparła Mazie Monabong, filipińska pielęgniarka w średnim wieku. – Ten, kto go uderzył, to Bill McCoy. Byli skłócenii – pewnie jakieś długie hazardowe.

– Albo Wilkins nie zapłacił dość za ochronę – stwierdziła Palanqui.

– Wilkins prał brudy McCoya – dodała Kate Henry. – Był mu za coś winien.

Poczułem silne łupanie w skroniach. Odwróciłem się do lustra nad zlewem, żeby obejrzeć tył głowy. Podeszła oddziałowa.

– Jest pan ranny? – zapytała i łagodnie dotknęła głowy nad kołnierzykiem. Cofnęła zakrwawione palce.

Azjata, silny mężczyzna w średnim wieku – przeczytałem na plakietce jego nazwisko: Xiang – podsunął mi krzesło.

– Proszę usiąść – rzekł.

Drobnej budowy, lecz silny, Xiang roztaczał wokół siebie atmosferę rozsądku i fachowości.

– To nic poważnego. Wszystko będzie dobrze – odparłem.

– Proszę siadać – powtórzył i usiadłem.

Założył lateksowe rękawiczki i zaczął rozgarniać włosy.

– Będzie potrzebne szycie – stwierdził i delikatnie przyłożył mi do głowy

gazik.

– Nie sędzę – sprzeciwiłem się, próbując wstać, jednak Xiang delikatnie, lecz stanowczo powstrzymał mnie, naciskając ręką ramię.

– Pan jest tu nowym lekarzem, czy tak? – zapytał, z łatwością zmuszając mnie do siedzenia.

– Tak. Jestem doktor Seager – odparłem.

Xiang oczyścił moją ranę świeżym kawałkiem bawełny.

– Pan Xiang jest naszym naczelnym pielęgniarzem – wtrąciła Kate Henry.

– Miło mi... – zacząłem, jednak Xiang mi przerwał.

– Od wielu miesięcy nie mieliśmy lekarza na Oddziale C – rzekł, ciągle zajmując się raną. – Potrzebujemy tu pana. Naprawdę potrzebujemy.

Delikatnie obrócił taboret i zajrzał mi w oczy.

– Jeżeli teraz nie zajmiemy się tym rozcięciem – stwierdził – to może się wdać infekcja, a potem tęzec i w końcu nastąpi zejście. I wtedy może nie będziemy mieć lekarza przez następne trzy miesiące, rok czy nawet w ogóle.

– Przerwał i uśmiechnął się. – Dlatego musimy szyć.

Czułem, jak wałą mi w głowie bębny.

– Dobrze – zgodziłem się.

Xiang chwycił trzy arkusze papieru z wysokiej sterty wznoszącej się na pobliskim biurku i pospiesznie nagryzmolił coś na spodzie każdego z nich.

– Proszę to wziąć do centrali ratunkowej – polecił. – Randy pana tam zawiezie. Jest naszym pomocnikiem medycznym.

Wstał przystojny, młody, czarny mężczyzna, odebrał papiery od Xiang'a i przeszedł obok mnie.

– Proszę się nie martwić – dorzucił Cohen. – Dowiemy się wszystkiego o McCoyu.

– Dziękuję. – Tylko tyle mogłem z siebie wydusić.

– Mam nadzieję, że poczuje się pan lepiej – zawołała Monabong za nami, gdy wychodziłem za Randym.

Przy wejściu do stacji minęliśmy trzech członków personelu prowadzonych przez cztery pielęgniarki trzymające w pogotowiu pełne strzykawki. Obaj

policjanci trzymający wartę przed drzwiami pokoju McCoya weszli do środka.

\* \* \*

Minęliśmy drzwi pogotowia i dyżurna urzędniczka stacji sprawdziła moją plakietkę z nazwiskiem. Potem odebrała papiery Xianga z rąk Randy'ego i wezwała pielęgniarkę, która mimo przepełnionej poczekalni poprowadziła nas prosto na zaplecze, do kabiny z zasłonami.

– Czuję się dobrze – powiedziałem, zwracając się do Randy'ego. – Może pan wracać.

Randy wahał się przez chwilę, potem skinął głową i odszedł.

W czasie gdy czekałem, poprzez hałas zapracowanej stacji ratunkowej usłyszałem szybkie kroki i pełne napięcia ostro brzmiące głosy, szelest plastiku owijającego instrumenty i brzęczenie wózka z przewoźnym aparatem rentgena razem ze stukotem toczących się kółek czteroramiennej podstawy stojaka do kroplówek – typowy zgiełk obrazujący walkę ze śmiercią.

– Jestem doktor Vezo. – Młoda kobieta w białym kitlu rozsunęła kotarę kabiny i wśliznęła się do środka. – Pozwoli pan, że zerknę na to rozcięcie – kontynuowała i unosząc sztywną podkładkę do pisania z klipsem, podeszła do mnie od tyłu i rozsunęła włosy na tyle mojej głowy. – Jak to się stało? – zapytała.

– Uderzyłem się w głowę – odparłem.

Vezo wciągnęła sterylne rękawiczki, otworzyła opakowaną tackę z narzędziami, znieczuliła i przemyła rozcięcie betadyną, a potem zaczęła szyc.

– Pan też jest z Napa? – zapytała po skończeniu.

– Tak, z Napa – odparłem, unosząc się i odwracając w jej stronę. – Ma pani dużo takiego czegoś stamtąd?

– Czegoś...?

– No, ile zdarza się tam takich nagłych wypadków?

– Sporo – odparła Vezo, zdejmując rękawiczki. – Wie pan, jak tu, w okolicy, nazywają Napa State?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Gomora – rzekła Vezo. – Tak jak „Sodoma i...”. To tajemnicze miejsce. Tak jak to biblijne miasto, nikt w istocie nie wie, ile i jakiego rodzaju zła się tam kryje.

Zaczęła mnie boleć głowa i przez moment pomyślałem, że podjąłem bardzo złą decyzję w sprawie pracy. Jednak nie wyraziłem tego głośno. Nie mogłem. Powiedziałem tylko:

– Myślę, że wszystko się dobrze ułoży.

Vezo nie zdążyła odpowiedzieć, została wezwana do pokoju zajmującego się traumą pourazową, gdzie podawano wyniki badań.

– Mamy na zapleczu zapasowe ubrania – wskazała na mój poplamiony krwią strój, potem schowała notatnik, rozchyliła kotary i zniknęła.

Wyjąłem telefon komórkowy i niepewny zastanawiałem się, co powiedzieć żonie.

– Halo, Ingrid. Obecnie jestem w centrali ratunkowej hrabstwa – powiedziałem.

– Co ci jest? – zapytała.

– Uderzyłem się w głowę. Ale nie martw się. Mogę już wrócić do domu.

– Dobrze, będę tam tak szybko, jak tylko mi się uda – odpowiedziała.

Rozłączyłem się i poszedłem na zaplecze przebrać się w kompletny strój pracowników pogotowia, koloru zielonego. Poplamione ubranie włożyłem do plastikowej torby i wyszedłem na zewnątrz. Natychmiast ogłuszył mnie ryk lądującego śmigłowca.

Znalazłem ławkę w cieniu drzewa i usiadłem. Powietrze było chłodne i nieruchome.

Przywitałem Ingrid uśmiechem. Z SUV-a wysiadła w każdym calu elegancka, wysoka blondynka i podeszła do mnie.

– To tylko rozcięcie – wyjaśniłem, wskazując tył głowy.

Rozgarnęła włosy.

– Masz dziesięć szwów – stwierdziła wyraźnie zdenerwowana. – Kto ci to zrobił? – zapytała.

Jako lekarz przywykła do widoku ran i krwi, jednak rodzina to zawsze inna sprawa.

– Możemy podjechać po mojego pikapa – powiedziałem, idąc w kierunku SUV-a. – Opowiem ci wszystko po drodze.

– Znalazłam to na podjeździe. – Ingrid podała mi mapę szpitala, którą przysłał mi doktor Francis. Musiała mi wypaść z kieszeni. Na górze widniał napis: NAPA STATE HOSPITAL.

– Napa State – zauważyłem. – Ale na pogotowiu nazywają go Gomora.

– Co? – spytała.

– Gomora, jak „Sodoma i...”. Kto wie, co się naprawdę kryje w środku...?

– Co...?

Znowu spojrzałem na mapę. Wewnątrz ogrodzenia zakreślono kółkiem Oddział C.

– Przepraszam – rzekłem – powinienem ci powiedzieć.

Ingrid zapuściła silnik i wyjechała z parkingu stacji ratunkowej.

– Na Oddział C przydzielono mnie w ostatniej chwili – wyjaśniłem. – Mówili, że nie będziemy tam wchodzić, ale najwyraźniej coś się zmieniło. Wpierw chciałem sprawdzić to miejsce. Pomyślałem, że będziesz się o mnie martwić.

Ingrid zatrzymała się na świetle.

– Udałem się do mojego nowego oddziału – ciągnąłem. – I facet wielkości góry, ze słowem „piekło” wytatuowanym na czole, rzucił mną o ścianę w chwili, gdy rozwalił głowę starego mężczyzny uderzeniem krzesła. Pękła mu czaszka. Właśnie zabierali go śmigłowcem.

Ingrid z urodzenia jest Dunką, ze skandynawską powściągliwością, niepozwalającą okazywać uczuć.

– Powinieneś był powiedzieć mi o zmianie oddziału. – Westchnęła. – Jednak teraz to już nie ma znaczenia. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem przerażona. To twój pierwszy dzień w pracy i już masz rozbitą głowę. Byłeś

tam tylko przez godzinę.

– Mimo wszystko – odparłem z wymuszonym uśmiechem – mam nadzieję, że nie wygląda to groźnie.

Musiałem jednak uderzyć głową silniej, niż mi się wydawało, nie pamiętałem bowiem wiele z tego popołudnia. Kiedy John, nasz czternastoletni syn, zjawił się w domu, patrzyłem bezmyślnie w ekran telewizora na odcinek serialu *Dni naszego życia*.

– Jesteś już w domu? – zdziwił się i spojrzał zaintrygowany na ekran telewizora. – Oglądasz operę mydlaną? – Przerwał. – Twoja głowa krwawi, tato. Co się stało?

Zapomniałem zmienić bandaż, nie pamiętałem, że może przesiąknąć.

Do wieczora moje myśli stały się klarowniejsze i poczułem się dużo lepiej. Ingrid zbadała rozcięcie, zatamowała krew i zdecydowała, żeby świeży szef pozostał odsłonięty.

Podczas kolacji, w celu wyjaśnienia tego, co się stało, podałem Johnowi rozsądną wersję wydarzeń tego dnia. Mądry nad swój wiek, potrząsnął głową i rzekł:

– Tato, nie możesz tam pracować. To niebezpieczne.

Późną nocą siedziałem na skraju łóżka, gdy Ingrid usuwała makijaż i przemywała twarz.

Powtórzyłem jej całą historię przepraw przez strzeżone bramy i opisałem kampus. Opowiedziałem o fałszywym alarmie, co wywołało u niej nikły uśmiech.

Wstałem i wyjrzałem przez okno wychodzące na dalekie światła miasta.

– Nigdy nie byłem tak przestraszony – stwierdziłem.

Ingrid, wycierając ręcznikiem policzki, odwróciła się:

– Czy ten Napa, albo Gomora, czy jak to tam nazywają, nie jest przypadkiem szpitalem? – zapytała spokojnym tonem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Jeżeli było tak, jak powiedziałeś, to John miał rację i nie możesz tam wracać. Są inne zajęcia. Nie chcę oglądać twoich ran. To nie jest tego warte.



– Przemyślę to – zapewniłem.

Jak większość ludzi, a nawet psychiatrów, niewiele wiedziałem o stanowych szpitalach psychiatrii sądowej, gdy składałem wniosek o pracę w Gomorze. Znałem stanowe zakłady opiekujące się najciężej chorymi z chorych, w rzeczywistości pochodzące ze świata Hannibala Lectera. Pracując w Los Angeles, wysyłałem pacjentów do Metropolitan State Hospital, jednego z pięciu kalifornijskich szpitali psychiatrii sądowej. Ale moja noga nigdy nie przekroczyła bramy żadnego z nich. Nie znałem też nikogo, kto tam był. Ponadto nigdy poważnie nie myślałem o pracy w tego rodzaju szpitalu. W kręgach psychiatrów nie dyskutowano na ich temat. Istniały gdzieś tam – na dalekiej prowincji, daleko. I nikt nie wiedział, jakie to niebezpieczne miejsca. Jednak tego ranka poznałem o nich prawdę.

Przed zaśnięciem przypomniałem sobie worek z moim zakrwawionym ulubionym niebieskim krawatem wepchniętym w kieszeń spodni. Nigdy już nie zobaczyłem tego worka.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jestem nikim.

Jestem włóczęgą, lumpem, hobo.

Wagonem towarowym, dzbanem wina.

I zwykłą brzytwą...

Gdybyś się znalazł zbyt blisko mnie.

CHARLES MANSON

PRZED KILKOMA MIESIĄCAMI, przekopując się przez ogłoszenia w sprawie pracy, natknąłem się na Napa State i przeczytałem szczegóły Ingrid. Byliśmy w poważnych kłopotach finansowych i oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że musimy coś z tym zrobić.

Ożeniłem się z Ingrid w 1998 roku, w czasie gdy ciągle mieszkała w Rezydencji Kształcenia Medycznego i nieustannie tonęła w studenckich długach. Rok później urodził się John. Potem, w 2007, kupiliśmy pierwszy dom i tak jak wielu innych, wpadliśmy w sidła Wielkiej Recesji 2008 roku.

Nasza praca nagle stała się niepewna. Szpital Ingrid zapowiedział wielkie zmiany personalne. Pracodawcy załamali nasze plany finansowe – zmalały dochody. Pojawiło się widmo utraty domu.

Na szczęście pozytywnie rozpatrzono podanie i Ingrid znalazła pracę w dużym szpitalu w Północnej Kalifornii. Tymczasem ja ciągle przeglądałem drobne ogłoszenia w magazynach medycznych i po serii niewypałów natrafiłem na Napa State Hospital.

Z gazetą w ręku podszedłem do Ingrid. Odłożyła książkę.

– To tylko trzydzieści mil od twojego nowego szpitala – zauważyłem.

Ingrid wzięła periodyk i przejrzała sekcję, którą zaznaczyłem kółkiem.

– Słyszałeś coś o tym miejscu? – zapytała.

– To szpital stanowy dla umysłowo chorych. Leczą tam ciężkie przypadki – odparłem.

– To coś dla ciebie, jesteś w tym dobry – stwierdziła Ingrid.

– Wydaje się, że to jest to, czego szukaliśmy – dodałem.

Ingrid rozpogodziła się.

– Chociaż brzmi okropnie – mówiła, oddając mi gazetę – to jednak musisz się zgłosić.

– Już poprosiłem o formularz podania.

Zwróciłem go, wypełniwszy w dwóch egzemplarzach, i z obawą czekałem na odpowiedź.

Ingrid, John, nasze meble i nasze dwa psy – Muller i Scully, czarny border collie i Jack Russell terier – wszystko i wszyscy ruszyliśmy w nieznaną. Gdy Ingrid w końcu znalazła dom do wynajęcia, natychmiast się do niego wprowadziliśmy. Od momentu gdy Ingrid rozpoczęła nową pracę, jadałem hot dogi od 7.00 do 23.00, zamawiałem chińszczyznę, sypiałem na podłodze i prowadziłem pertraktacje z pośrednikami handlu nieruchomościami na temat sprzedaży naszego domu. W tym też czasie przyswoiłem sobie nowe określenia, jak „handel nieruchomościami”, „własność osobista”, „bankrut” i tym podobne.

Pewnego dnia odebrałem maila – zaczynał się od: „Gratulujemy Panu...” – zostałem zatrudniony w Napa State. Złożyłem wypowiedzenie w mojej dotychczasowej pracy, uporządkowałem swoje sprawy, w rekordowym czasie spakowałem rzeczy osobiste, lokując je w swoim aucie, i podążyłem w ślad za rodziną.

Ingrid i ja wiedzieliśmy, ile mieliśmy szczęścia. W ostatniej chwili udało się nam uniknąć klęski – nasze głowy ledwo wystawały nad powierzchnią wody i pierwszy raz od wielu lat mogliśmy wyraźnie widzieć jej

powierzchnię.

Rankiem usłyszałem budzik nastawiony przez Ingrid i pospieszyłem do kuchni. Nagle poczułem jednak potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem. Wyszedłem z domu przez rozsuwane oszklone drzwi, schyliłem się i zajrzałem między krzaki obok tarasu. Psy szczekały.

– Jezu Chryste – rzekłem i otarłem usta. – Czego się tak denerwujecie, dziesięciolatki?

Serce mi waliło, głowa pękała. Podjąłem decyzję.

W ciągu pół godziny wszyscy ubrali się i zjedli. Ingrid i ja byliśmy gotowi do wyjścia. John pobiegł po książki do szkoły.

– Zatem wracasz tam? – zapytała Ingrid.

– Tak.

– Jesteś tego całkiem pewien?

– Nie – odparłem. – Ale jeżeli nie wrócę, nigdy nie będę mógł wyjaśnić Johnowi, co znaczą „oblicza twoich strachów”.

– John tylko chce, żebyś był bezpieczny – stwierdziła Ingrid.

– Myślę, że to będzie dla niego dobra lekcja – dodałem.

– Nie zwalaj na Johna – obruszyła się. – Tylko proszę cię, żebyś był ostrożny.

\* \* \*

Dzień drugi. Podeszedłem do metalowych drzwi Oddziału C. Nabrałem głęboko powietrza i zajrzałem przez małe okienko. Korytarz zdawał się spokojny. Otworzyłem i wszedłem do środka.

W połowie drogi do dyżurki pielęgniarek z drzwi wynurzył się McCoy i znalazłem się niemal pierś w pierś z King Kongiem. Swoją masywną postacią blokował przejście w korytarzu.

– Jesteś nowym lekarzem? – zapytał McCoy i uśmiechnął się obleśnie.

– Ja... ja jestem doktor Seager – jąkałem się zdezorientowany, czując suchość w ustach.

Ale zamiast gniewu kolos rozdziawił gębę, błyskając zębami w szerokim

uśmiechu.

– Witamy na Oddziale C – rzekł. – Jestem Bill McCoy. Miło mi pana spotkać.

I wyciągnął olbrzymią łapę, a ja walcząc z obrzydzeniem, ująłem ją i potrząsnąłem.

– Przepraszam za wczoraj, doktorze – dodał McCoy. – Z panem wszystko w porządku? Ktoś mi mówił, że rąbnął się pan w głowę.

– Nic takiego – rzuciłem i dotknąłem szwów.

– No, w każdym razie przepraszam za to zamieszanie – ciągnął McCoy. – Pewne osobiste sprawy wymagały załatwienia. Jest pan lekarzem i wie pan lepiej niż ja, że nie można pozwolić na przerzuty nowotworu.

– Rozumiem.

McCoy powlókł się do swojego pokoju.

– Jeżeli będziesz doktor czegoś potrzebował, to daj mi znać, dobrze? – rzucił przez ramię.

– Jasne.

Dzięki Bogu w dyżurce pielęgniarek panował rzadki spokój. Gdy wszedłem do środka, wszyscy spojrzeli na mnie.

– Witam z powrotem, doktorze – rzekł Xiang.

– Jak pańska głowa? – zapytała Kate Henry.

– Dobrze – zapewniłem ją. – Przynajmniej na zewnątrz.

– Dobrze jest pana widzieć – stwierdził Cohen, wchodząc za mną do dyżurki. – Mam tu wszystkie brudy McCoya. Wczoraj, gdy był pan nieobecny, obejrzałem sobie jego kartę – bardzo interesująca lektura.

Odwróciłem się, żeby zobaczyć przez okno pacjentów skręcających do przyległego, otoczonego murem podwórka w zgodnym z harmonogramem czasie zaczerpnięcia „świeżego powietrza”. Pojawił się też McCoy i minął nas, kiwając leniwie ogromną łapą, po czym zniknął z oczu z postępującymi za nim sługusami.

– Czy on nie powinien siedzieć w jakimś więzieniu albo w czymś takim? – zapytałem. – Przecież omal nie zabił tu człowieka.

Xiang chwycił z biurka gruby, czarny segregator i podszedł do drzwi.

– Tu każdy kogoś zabił – oznajmił i zniknął w korytarzu.

Podążyła za nim grupa personelu.

Palanqui szturchnęła mnie w plecy.

– Pewnie nie zechce pan tu zostawać sam, prawda? – zapytała z uśmiechem.

Poszliśmy blisko siebie wzdłuż korytarza. Xiang otworzył drzwi i wszyscy weszli do pokoju narad, chociaż to określenie było trochę na wyrost, był to bowiem tylko mały pokoik, prawie komórka, bez okien, ze stołem i dziesięcioma drewnianymi krzesłami, takimi samymi jak to, którego McCoy użył jako pałki, zadając na korytarzu cios Wilkinsowi. Zajęliśmy miejsca. Xiang położył na stole segregator. Rozpoczął się poranny przegląd pacjentów.

Na początku każdego dnia, w każdym szpitalu na wszystkich oddziałach – w różnym stopniu i z różnymi detalami – omawia się bieżący stan pacjentów, ustalając dzienny plan zabiegów. Jako były asystent profesora szkoły medycznej UCLA uczestniczyłem w tysiącu takich zebrań.

– Ostatniej nocy mieliśmy problem – oznajmił Xiang, kładąc rękę na czarnym segregatorze. – Nocna zmiana poczuła w korytarzu zapach dymu tytoniowego – dodał. – Sprawdzono pokój Leona Smitha i znaleziono go w trakcie gry w kości. Jak zwykle: dym w powietrzu, pacjenci zgromadzeni w kręgu, monety na podłodze. Złapano Smitha z kośćmi w ręce.

– Czy współmieszkańcem Smitha był Wilkins? – zapytała Palanqui.

– Odsunięto na bok łóżko Wilkinsa – rzekł Xiang. – Co bardziej przystosowało pokój do gry.

– Empatia nie należy do zalet niektórych pacjentów – stwierdziła Monabong.

– Niech zgadnę – wtrąciła z udawanym niepokojem Luella Cortes. – Udział w tym brali Chen i Raymond?

– Zgadza się – westchnęła Kate Henry.

Luella zwróciła się do mnie:

– Łatwo zrozumieć Oddział C – rzekła, wskazując drzwi. – Masz ochotę na grę – skrzydło północne. Narkotyki – skrzydło południowe. Prostytucja – wschód. No i – tu potrząsnęła głową i opuściła rękę – skrzydło zachodnie należy do McCoya. Tam możesz mieć wszystko.

– To naprawdę zastanawiające, jak pacjenci się podzielili – zaświergotała Charlene Larsen, tyczkowata czarna pracownica socjalna w wieku około pięćdziesięciu lat. – To przypomina jakiś system nawigacji.

– Prostytucja? – zdziwiłem się, ale nikt mi nie odpowiedział. Pomyślałem, że może źle usłyszałem.

– Dziś możemy zespołowo podyskutować na temat Smitha? – kontynuował Xiang.

– Oczywiście – zgodziłem się i wszyscy się przyłączyli.

Xiang otworzył segregator i przez następną godzinę grupa diagnozowała, ustalała leki i szkicowała projekt ogólnego leczenia wszystkich czterdziestu rezydentów Oddziału C. Podobnie jak inni wyrażałem też osobiste, stosowne komentarze.

– O dziewiątej mamy grupę spacerową – oznajmiła Larsen. – Potrzebuję kogoś do towarzystwa.

– Mogę pomóc – oznajmiła Palanqui. – Ale muszę wrócić do jedenastej na omawianie leczenia bólu i jego objawów.

– Czterech facetów chodzi do szkoły – przypomniała Kate Henry. – Muszą zostać zabrani o dziesiątej, jak zwykle.

– Do szkoły? – zdziwiłem się.

– Realizujemy pełen program nauczania – odparła z dumą oddziałowa. – Mamy też nauczycieli z certyfikatem. Oferujemy program dyplomowy szkoły średniej i możemy przygotowywać do wyższych studiów.

Poznałem McCoya i innych pacjentów z Oddziału C i teraz próbowałem sobie wyobrazić, jak wygląda ta szkolna klasa.

– Kwestie związane z prawem o pierwszej – kontynuował Cohen. – O trzeciej oddział zarządzania.

– Ja mam grupę nauk humanistycznych – oznajmił terapeuta z oddziału

rehabilitacji.

– Nie zapominajcie o grupie telefonicznej – wtrącił Randy. – I o tym, że dziś w nocy jest kino nocne. *Gwiezdne wojny. Część trzecia*.

– Wszystkie dni są tak zapchane? – spytałem.

– Leniwe ręce to warsztat szatana – zacytował Xiang.

– Dokąd prowadzi pani te grupy? – spytałem.

– Większość pozostaje tu na miejscu, w Oddziale C, albo ogólnie w budynku – odparła Palanqui.

– Kto będzie pani towarzyszył? – zainteresowałem się. – Może policja szpitala?

– Jasne, że nie – odparła Kate Henry. – Jak może działać terapia w obecności gliniarza?

Zmieniono temat, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Xiang otworzył segregator na nowej sekcji.

– Doktor Seager i doktor Cohen są tu nowi – rzekł. – Przeanalizujemy zatem każde indywidualne przestępstwo. To ważne znać te rzeczy.

Xiang odwrócił stronę. Mówił niewzruszonym, monotonnym głosem, jakiego używał, gdy zajmował się znanym sobie materiałem. Wymieniał pacjentów w porządku alfabetycznym i zwięźle opisywał ich przestępstwa. W większości były to morderstwa, często masowe. Zaskakująco duża liczba dotyczyła zabicia rodziców. Z pozostałych w większości to gwałty na kobietach i dzieciach, często w recydywie. Kilku mężczyzn można było zaliczyć do obu kategorii. Niemal powszechnie występowały narkotyki lub alkohol.

– Jeśli się dobrze orientuję, funkcjonuje definicja „masowego mordercy” – wtrącił Cohen, gdy Xiang przerwał – obejmująca ludzi, którzy zabili co najmniej cztery osoby w tym samym czasie i miejscu. Różni się od określenia mordercy-szaleńca, który zabija swoje ofiary jedną po drugiej, w pewnym określonym przedziale czasu, ale w geograficznie różnych miejscach. A także od mordercy seryjnego – kontynuował Cohen – który zabija tylko troje ludzi, jednak w różnym czasie i w różnych miejscach. Tego rodzaju mordercą był



Ted Bundy<sup>[3]</sup>. Ludzie zwykle zabijają z zemsty za zło, które im wyrządzono. Zabijają swoich szefów, współpracowników, rodziców lub obcych. Kobiety często zabijają swoje dzieci.

Monabong spojrzała na Cohena.

– Czytał pan o tym? – zapytała.

Xiang niezrażony naciskał:

– Miguel Cervantes – mówił. – Nosił papierową maskę Zorro z różowymi myjkami w uszach.

Widziałem takiego przechodzącego mężczyznę, ale zapomniałem o niego zapytać.

– Co z tym facetem? – wtrącił Cohen.

– Te myjki mają poprawić wrażenie tego, co zrobił przedtem – dodała Palanqui i weterani Oddziału C skrzywili się z niesmakiem.

– Ciągłe wszystkim pokazuje swoją usmarowaną kałem twarz – rzekł Xiang. – Czyścimy go dwa, trzy razy dziennie. Czyścimy też nos... Paskudny bałagan.

Poczułem napływ mdłości.

– Cervantes był chory już w wieku dziesięciu lat – kontynuował Xiang. – Przed kilku laty przestał brać lekarstwa psychiatryczne, wyniósł się z domu opieki i rodzina straciła z nim kontakt. Rok później zgwałcił dwie dziewczynki w wieku sześciu i siedmiu lat. Powiesił je i ciała zakopał w parku.

– Po tygodniu – uzupełnił Randy – ktoś wyszedł z psem na spacer. Pies wykopał zwłoki.

Milczałem.

– Podobną historię ma Hong – kontynuował Xiang – jego współlokator. Chorując od dłuższego czasu, nagle przerwał branie lekarstw. Zabił matkę. Wracała do domu po pracy. Hong, stojąc w drzwiach, strzelił do niej z karabinu szturmowego. Repetował cztery razy. Potem wziął piłę i pociął ciało na kawałki, zapakował i próbował paczki wysłać pocztą.

– Został zatrzymany przez policję – uzupełniła Luella – gdy wciskał

zakrwawione paczki do skrzynki pocztowej na rogu.

– Hong był przekonany, że matka uprawiała seks z szatanem – dodał Randy.

Xiang odczytał następne nazwiska i opisał kolejne przestępstwa. Potem przerwał i dodał:

– Michael Tomlin wysadził w powietrze szkołę podstawową.

– Ale na szczęście wtedy, gdy było już poza godzinami lekcyjnymi – dodała Kate Henry. – Mimo to zginęło sześciu uczniów i nauczyciel.

– Przypominam sobie, słyszałem o tym – powiedziałem i dodałem: – Czy to było około pięciu lat temu? Jeżeli dobrze pamiętam, molestował dziewczynki z tej szkoły?

– Tomlin też długo chorował – ciągnął Xiang. – I on także przerwał zażywanie lekarstw, a zamiast nich zaczął brać kokainę. I po roku wysadził tę szkołę.

– Który to Tomlin? – zapytałem.

– To ten, co cały czas mówi o radiu NPR – wyjaśniła Luella.

Następnie Xiang wymienił Harlana Westa, który zabił obcego człowieka nożem do rozcinania kartonów, a potem obdarł ciało ze skóry. Po nim podał przykład Olivera Burnsa, który zabił żonę, pokroił ją i ugotował.

– Gospodyni zaczęła narzekać na panujący smród – mówił Xiang – więc i ją też zabił.

Wymienił też Villegasa, który żywcem zakopał na podwórku ojca.

Xiang skupił się jeszcze na kilku innych, jednak po chwili oni wszyscy rozmyli mi się w jakiś konglomerat ponurych morderstw, dzikich gwałtów, rozczłonkowań i maltretowań.

– Mam pomysł – rzekłem, gdy dobrnęliśmy do połowy. Spojrzałem na zegarek, udając, że szkoda czasu. – Może później będę mógł przeczytać resztę?

Xiang na szczęście zamknął segregator.

Mimo wyraźnie odczuwanego zakłopotania chciałem się jeszcze czegoś dowiedzieć.

– Co z McCoyem? – zapytałem.

Cohen ożywił się.

– McCoy zabił pracownika stacji benzynowej – wyjaśnił. – Raport policji stwierdza, że pokłócili się o paczkę gumy do żucia. McCoy rozwalił okienko kasowe kasy, wywlókł kasjera przez odłamki szkła, a potem obciął mu głowę kawałkiem szkła z rozbitego okna.

– Mamy tu jeszcze jeden interesujący fragment – ciągnął Cohen. – Opuszczając stację, zabił jeszcze dwie osoby. Jedną zatłukł na śmierć ciężkim pustakiem, drugą zabił motyką ogrodową. Sprowokowały go do tego głosy, jakie usłyszał. Sześć lat spędził w Stanowym Szpitalu w Atascadero, niedaleko San Luis Obispo, a potem pewien czas w Patton State Hospital, za Los Angeles. Wszystkie tego rodzaju przypadki podlegały regulacjom następujących przepisów: w pierwszym przypadku KK 1370, ICST, oraz reszta 1026, NGRI. Lecz wszystko dotyczy tego samego: on za każdym razem działał pod wpływem głosów i był pobudzony.

– Co oznaczają te litery i cyfry? – zapytałem.

– KK to Kodeks karny – odparł Cohen. – Cyfry 1370 i 1026 wskazują zastosowane w każdej z tych spraw paragrafy prawa stanowego. Inne akronimy dotyczą dokładnie punktu w procesie o przestępstwa kryminalne dotyczące umysłowo chorych. NGRI (*not guilty by reason of insanity*) to niewinny z powodu choroby umysłowej, co oznacza, że był szalony w chwili popełnienia przestępstwa. ICST (*incompetent to stand trial*) – niezdolny do tego, by stanąć przed sądem, co znaczy, że dana osoba była zdrowa w chwili zabijania, ale nie jest w pełni władz umysłowych i nie może stanąć za to przed sądem. Te litery i liczby określają z punktu widzenia prawa i psychiatrii powody, dla których przestępca znalazł się właśnie w tym miejscu.

Cohen i ja w ciągu naszego tygodnia rozpoznawczego wiele się nauczyliśmy. On był tak jak ja nowy na Oddziale C, jednak znajomością przedmiotu wyraźnie mnie prześcignął. Oczywiście. KK – Kodeks karny, NGRI, ICST – w myślach zarezerwowałem sobie kilka następnych

wieczorów na poważne studia w tym temacie.

– A jeśli chodzi o konkretne decyzje?

– Kiedy prokurator okręgowy i obrońca z urzędu dojdą do wspólnego wniosku, że dana osoba jest na tyle upośledzona umysłowo, iż nie można wnieść przeciwko niej oskarżenia i nie może prawnie odpowiadać za popełniony czyn – stwierdził Cohen – sędzia potwierdza to i wysyła ją do takiego zakładu jak nasz.

– Brzmi to trochę podejrzenie – zauważyłem.

– Rozpatrzmy to w piątek po południu – stwierdził Cohen. – Teraz wszyscy już jesteśmy zmęczeni. Kto by chciał na ten temat dyskutować?

[3] Ted Bundy był jednym z największych seryjnych morderców amerykańskich. Zabijał w latach 1974–1978. Przyznał się do około 30 zabójstw na terenie sześciu stanów. 24 stycznia 1989 roku został stracony na krześle elektrycznym. Cierpiał na zaburzenia afektywne dwubiegunowe, a zbrodni zwykle dokonywał w trakcie zaburzeń depresyjnych (cyklofrenia).

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Powinienem zostać skazany tylko za coś tak poważnego jak prowadzenie cmentarza bez zezwolenia. Oni byli tylko kupą bezwartościowych pedałów i punków.

JOHN WAYNE GACY, JAKO KOMENTARZ PO WYKOPANIU POD JEGO DOMEM 28 CIAŁ. GACY BYŁ ZNANY JAKO „JOHN KLAUN”. UDUSIŁ 33 CHŁOPCÓW I MŁODYCH MEŹCZYŹN.

PRZEBIERAŁ SIĘ ZA KLAUNA I DAWAŁ PRZEDSTAWIENIA NA PRZYJĘCIACH DLA DZIECI.

– WRACAJĄC DO TEGO wczorajszego bałaganu – wtrąciłem, gdy zakończono przegląd pacjentów – czy ktoś wspomniał McCoya i problem wyłudzenia pieniędzy?

– Albo mu płacisz – odezwała się Monabong – albo rozerwie cię na strzępy.

– Albo żąda, żeby pańska rodzina wysłała pieniądze jego rodzinie – uzupełniła Palanqui. – On zarzuca szeroką sieć.

– I nie tylko rodzina i pacjenci – rzekł Xiang. – On groził też personelowi szpitala. Lepiej nie wdawać się w dyskusje z McCoyem. Przekonał się o tym boleśnie Wilkins.

– Czy szpitalna policja wie o tym wszystkim? – zapytałem.

– Oczywiście – stwierdził Xiang. – Twierdzą, że McCoy jest stale obserwowany.

– Nie brzmi to zbyt obiecująco – zauważyłem.

– Dla mnie brzmi jak kompletna bzdura – oznajmił wzburzony Cohen.

– Może McCoy potrzebuje więcej lekarstw? – spytałem.

– McCoy nie bierze lekarstw – wyjaśniła Palanqui.

– McCoy nie jest upośledzony umysłowo – wyjaśniła Luella. – On jest uzależniony od metamfetaminy.

– Jakoś – uzupełnił Cohen – udało mu się przekonać kiepskiego sędziego, że jest pomyłony.

– Ten facet jest tak pomyłony jak lis – rzekła Monabong.

Poczułem większy niepokój.

– Czy tu wszyscy są przestępcami? – spytałem.

Wiedziałem, że stanowe szpitale dla psychicznie chorych opiekowały się psychopatami, takimi jak: James Holmes, Andrea Yates, Son of Sam i innymi. Jednak nie zdawałem sobie sprawy, że było ich aż tak wielu.

– Prawie każdy z nich jest tu z wyroku sądu – rzekł Xiang. – Przysyłają nam chorych psychicznie niebezpiecznych przestępców, ale wśród nich są też tacy, którzy udają psychicznie chorych.

– To my przyjmujemy chorych groźnych przestępców, a nie stanowe więzienia? – zapytałem.

– Szczycimy się tym – stwierdziła Kate Henry.

– Lecz o ile więzienia mają broń i strażników – zauważyłem – o tyle my mamy tylko cały wachlarz terapii i tłum pielęgniarek.

– Cały nasz personel został doskonale wyszkolony w zakresie radzenia sobie w razie konfliktów – stwierdziła oddziałowa i z niepokojem rozejrzała się po zebranych.

– Oczywiście – Cohen zgodził się z ironią.

Kate Henry szybko zareagowała:

– Nasza praca najlepiej o nas świadczy.

Następna przerwa.

– Wspomniał pan, że „prawie każdy” przybywa do tego miejsca z wyroku sądu – zauważyłem.

– Dziewięćdziesiąt procent.

– A pozostałe dziesięć procent?

– To tylko chorzy psychicznie – odparł Xiang. – Teraz mamy tu przeważnie starych pacjentów. Przybyli tu, zanim zaczęliśmy przyjmować tych

z wyrokiem sądu, i nigdy ich stąd nie zabrano. Niektórzy spędzili u nas całe swoje życie.

– Przypominam sobie – rzekła ze smutkiem Larsen – jak to wtedy było. Zanim sądy zastosowały metodę wyrzucania naszych pacjentów na ulice.

– Sądy nadal ciągle się tu wtrącają? – zapytałem.

Cohen szybko rzucił:

– Mówiłem już, żeby co sześć miesięcy wysyłać listy – rzekł – wyjaśniające sądom, co robi każdy pacjent, dlaczego nadal jest chory i dlaczego ciągle jest niebezpieczny.

Ja też przez wiele lat wysyłałem mnóstwo listów do sądu.

– Domyślam się, że jeżeli pacjent, albo jego adwokat, nie zgadzają się z naszą oceną – powiedziałem – wtedy udajemy się do sądu, żeby bronić naszych racji, zeznając przeciwko naszym pacjentom.

– Zgadza się – potwierdził Cohen.

– Kto chroni chorych umyślowo, takich jak Wilkins, przed skazańcami? – spytałem.

– My – odparła Kate Henry.

– A kto chroni nas?

– Zawsze mamy przy sobie to... – I Cohen klepnął indywidualny alarm bezpieczeństwa przy biodrze. – Może pan to zerwać i cisnąć w kogoś.

Kate Henry pozostała obojętna.

– Jeżeli ci wszyscy faceci są więźniami... – stwierdziłem – to dlaczego nie ma tu strażników?

– W szpitalu nie ma strażników – odparła krótko Kate Henry.

– Jednak... – zacząłem, ale przerwał mi Xiang:

– Teraz następne tematy – rzekł – zadania oddziału na dzisiejszy poranek. Roger West – o jedenastej wizyta u dentysty.

– Czy to nie Villegas wybił Westowi przedni ząb? – zapytała Palanqui.

– Wizyta Westa u dentysty została odwołana – wtrącił Randy. – Widziałem faks w tej sprawie. Gabinet dentystyczny wykonuje tylko ekstrakcje. A to u niego zostało już zrobione.

– Na dzisiejsze popołudnie Villegas ma wyznaczoną wizytę w klinice – poinformowała Luella. – Ma dość paskudną ranę na nadgarstku. Wygląda to na zakażenie gronkowcem.

Po omówieniu jeszcze kilku innych przypadków Xiang zamknął czarny skoroszyt, ale nikt nie wstał od stołu.

– Czy ktoś jeszcze chce coś dodać? – Monabong westchnęła.

– Nowiny na temat Wilkinsa...? – zaczął Xiang i spojrzał na mnie.

– Wczoraj został zabrany z pogotowia ratunkowego – odparłem. – Widziałem odlatujący śmigłowiec.

– Wilkins to miły człowiek – dodała Palanqui. – Lubi pracować w grupie artystycznej. Jest doskonałym malarzem.

– Jak to jest... omal nie mordujesz człowieka i nie idziesz do więzienia? – zapytałem ze zdumieniem. – Dlaczego McCoy ciągle tu jest?

– Być może przyjdzie policja i aresztują go – wyjaśnił Xiang. – A potem zabiorą go do więzienia. Jednak więzienie zawsze odsyła takich z powrotem do nas. Wiemy, jak to działa.

– Jak działa? – zapytałem.

Luella dotknęła mojej ręki.

– McCoy zostanie w stanowym wariatkowie pewnie do końca życia – odparła. – Więzienia nie chcą takich facetów. Dlatego wysyłają ich do nas. Ich przerażają choroby psychiczne.

– Zatem McCoy może atakować każdego, kogo zechce? – upierałem się.

– Co możemy na to poradzić? – rzekł Xiang.

Siedziałem w milczeniu, oszołomiony.

– Są jakieś nowiny o doktorze Tomie? – zapytała Palanqui. Sprawiała wrażenie rozdrażnionej, tak jakby sformułowanie tego zwykłego pytania sprawiło jej wiele bólu.

– Żona mówi, że przestał reagować – stwierdził Xiang, z dobrze tłumioną rozpaczą. – Ostatnie badanie tomografem komputerowym ujawniło więcej krwi w mózgu. Rodzina straciła nadzieję.

– Od wielu miesięcy leży i będzie nadal leżał na oddziale intensywnej



terapii – uzupełniła Monabong. – Ciągłe ta sama diagnoza: krwawienie, coraz intensywniejsze krwawienie. Czy nic nie można z tym zrobić?

Opanowałem się i stłumiłem zdenerwowanie.

– Kim jest doktor Tom? – zapytałem. – Co się stało?

Xiang usiadł.

– Doktor Tom był psychiatrą na naszym oddziale. Dobrym psychiatrą. Obecnie pan zajmuje jego miejsce. Pewnego dnia Alex Mathews z pokoju jedenaście znalazł na placu ćwiczeń kawałek złamanej rurki od spryskiwacza. Jakoś mu się udało przemycić ją na oddział – mówił wolno Xiang. – Nie mam pojęcia, jak mu się to udało, bo wszystkich bardzo dokładnie przeszukujemy. Po lunchu Mathews stanął za drzwiami swojego pokoju – kontynuował – i wtedy Vermon Chambers, jego współlokator, zapytał personel, czy może rozmawiać z doktorem Tomem. Lekarz wszedł do pokoju. – Xiang tupnął nogą, w odpowiednim momencie podkreślając słowa. – Mathews uderzył go w głowę rurką, zwałił z nóg i zaczął kopać. W efekcie doktor Tom zapadł w śpiączkę pourazową. Miał pękniętą czaszkę. Do mózgu przedostała się krew.

– Mathews był wściekły – dodała Palanqui. – Doktor Tom tydzień wcześniej przestał mu podawać pigułki Oxycontin<sup>[4]</sup>. Pielęgniarki na nocnym dyżurze złapały go na ukrywaniu pigułek w policzkach, a potem sprzedającego je innym pacjentom.

– Mathews złamał nadgarstek – uzupełniła Luella. – Dlatego na początku dostawał Oxycontin.

– Doktora Toma operowano trzykrotnie – wtrąciła Larsen z przygnębieniem. – Ale wydaje się, że bez skutku.

– Ma czterdzieści dwa lata – rzekła Kate Henry. – Z żoną, Ellen, mają dwoje dzieci w wieku siedmiu i pięciu lat. Następne w drodze.

– Mathews na pewno trafił do więzienia? – wymamrotałem z przejęciem.

– Na miesiąc. Ale jest już z powrotem w pokoju jedenaście... – oznajmił Xiang. – To więzienie nie miało żadnego znaczenia. Oni, przebywając tam, dostają napadów szału i w efekcie są z powrotem odsyłani do nas.

Rozmowa stopniowo zaczęła się rwać, aż w końcu zamarła. Cohen pochylił się i spojrzał na moją głowę.

– Jak rozcięcie? – zapytał.

– W porządku – odparłem. – Nie było zbyt duże.

– Przykro mi, że nie mogłem pomóc.

– Dziękuję. Ale w tym wypadku nic nie można było zrobić.

– Nigdy nie wiadomo – kontynuował Cohen – to kwestia psychologii.

– Z pewnością dlatego przysłano tu ciebie – dodałem.

– To cholerne gówno musi się skończyć – rzucił Cohen, zaciskając pięści.

Skierowaliśmy kroki na korytarz i powlekliśmy się z powrotem do dyżurki pielęgniarek. Tonąc w myślach, poczułem, jak ktoś pociąga mnie za rękaw.

– Doktorze. – Usłyszałem za sobą konspiracyjny szept. – Muszę się stąd wydostać. – Ujrzałem strzechę skłębionych czarnych włosów. – Musi mi pan pomóc stąd wyjść – kontynuował. – Tu jest niebezpiecznie.

Odchylił głowę, pokazując twarz. Ale zamiast jego twarzy zobaczyłem papierową maskę Zorro i różowe myjki w uszach. Ten człowiek przypominał maskotkę pieska w neonowych kolorach, skrzyżowaną z szopem praczem.

– Cervantes – rozpoznałem. – Czego chcesz?

– Ostrzegałem doktora Toma, ale nie słuchał – rzekł Cervantes. – Teraz ostrzegam pana. – Kiwnął ręką w stronę pacjentów na korytarzu i wyszeptał: – Ja nie jestem świrem i oni też nie są świrami. To miejsce jest szurnięte. Zabierz mnie daleko stąd, inaczej umrzesz tu pan razem z nami. – Zawachlował różowymi uszami.

[4] Lek przeciwbólowy o przedłużonym działaniu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jakie słowo przychodzi ci na myśl?

1. Zabić/spalić
2. Małpy [kurwy]
3. Hmm...
4. Nie wiem!

QUIZ „CZY JESTEŚ UPOŚLEDZONYM UMYSŁOWO PRZESTĘPCĄ?” NA QUIZTRONIE

POMIJAJĄC WŁOSY, papierową maskę i różowe uszy, nie mogłem nie zauważyć, że Cervantes, zwracając się do mnie w zatłoczonym korytarzu, był zupełnie nagi.

- Jest pan nagi – stwierdziłem w końcu i rozejrzałem się, szukając pomocy.
- A ty jesteś głupi – odrzekł Cervantes.
- Ma pan myjki w uszach – kontynuowałem, chcąc zyskać na czasie.

Biegli do nas Xiang i Luella, z kocami w rękach.

- Nie rzucam czczych pogroźek – mówił Cervantes i pokazał, że trzyma w ręce cienki metalowy pręt z zaostrzonym końcem. – Zabierz mnie stąd albo wbiję ci to w ten twój pieprzony łeb.

W tym momencie byli już przy nas Xiang z Luellą. Szybko zawinęli Cervantesa w koce i zawlekli do jego pokoju na końcu korytarza.

- Miał kawałek ostrego... – zacząłem.
- Doktorze Seager! – krzyknął wysoki Murzyn i ruszył niczym błękitny ekspres towarowy w moim kierunku. Nerwowo sięgnąłem do przycisku

osobistego alarmu, ale, niestety, nie do właściwego biodra. Szybko zaczerpnąłem głęboko powietrza, gdy lokomotywa z piskiem zahamowała.

– Nie pamięta pan? – rzucił mężczyzna. – Tom Caruthers.

Doznałem takiej ulgi, że omal nie zsiusiałem się w spodnie. Wszędzie słyszałem to nazwisko, ale nie kojarzyłem z konkretną osobą.

– Panie Caruthers, co pan tu robi? – wydusiłem. Przed dwudziestoma laty leczyłem go w czasie mojego psychiatrycznego szkolenia. Burzliwa młodość z ciężko chorymi. Caruthers dwanaście razy przebywał w szpitalu psychiatrycznym hrabstwa Los Angeles. Za młodu miał kłopoty z okropną chorobą. Często prowadziliśmy długie rozmowy.

Nasze stosunki zawsze były skomplikowane. Alkohol, narkotyki i przemoc w rodzinie. Gdy był młody, ja byłem jedynym dorosłym, który się nim zajmował.

Teraz znowu, widząc niespodziewanie Caruthersa, przestałem się skupiać na innych sprawach.

– Słyszałem, że ma pan poważne kłopoty? – zapytałem.

– Opowiem panu, jeżeli ma pan chwilę – odparł.

– Możemy porozmawiać dziś po południu – zgodziłem się, widząc Xianga zmierzającego do dyżurki pielęgniarek. – Przyrzekam.

– Wspaniale – powiedział Caruthers z entuzjazmem. – Zatem do zobaczenia. – Odwrócił się i odszedł.

Podążyłem za Xiangiem.

– Cervantes trzymał w ręku zaostrzony pręt – wyjaśniłem, otwierając drzwi dyżurki. – Groził, że wbije mi go w głowę.

– Czy brzmiało to jak poważna groźba? – zapytał Xiang.

– Tak, brzmiało poważnie – odparłem.

– Widział pan ten zaostrzony metal? – zapytał Xiang.

– Tak.

– A więc coś w rodzaju sztyletu! – zawołał Xiang.

Pochylił się nad drugim telefonem w dyżurce i chwycił duży mikrofon.

– Zamykać, panowie! Zamykać! – krzyknął do mikrofonu. Jego słowa

rozbrzmiały szerokim echem wzdłuż wyłożonych kafelkami korytarzy.

Xiang odwrócił głowę.

– Policja do szpitala... Natychmiast – rozkazał Luelli, która wybrała w telefonie zero.

– Oddział C został zamknięty – oznajmiła rzeczowo. – Mamy tu ostry przedmiot.

– Zamykać, panowie, zamykać. – Xiang ponownie rzucił do mikrofonu, a potem spojrzał na mnie. – Teraz będzie głośno – poinformował, opuszczając przełącznik na ścianie przy drzwiach dyżurki.

Zasłoniłem dłońmi uszy, gdy odezwał się piekielny ryk syreny i zabłyśły światła stroboskopowe.

Xiang chwycił mnie za ramię i skinął na Cohena stojącego niedaleko nas. Pobiegliśmy do pokoju Cervantesa.

– Musimy go unieszkodliwić, zanim to ukryje! – krzyknął, starając się zagłuszyć panujący hałas, i otworzył drzwi pokoju Cervantesa. Cervantes stał na środku pokoju w szpitalnej koszuli i spodniach.

– Pokaż ręce! – rozkazał Xiang i Cervantes pokazał. Nic. Żadnego metalu. Xiang obmacał go od stóp do głów i zbadał każdy szew koszuli i spodni.

– Nic – oznajmił.

Cohen i ja przeszukiwaliśmy pokój. Bez rezultatu.

– Widziałem kawałek ostrego metalu – krzyknąłem, przekrzykując hałas.

– On gdzieś go ukrył – warknął Xiang. – Będziemy musieli użyć promieni rentgena, inaczej go nie znajdziemy. – To mówiąc wyszedł z pokoju.

Na korytarzu przerabiano dobrze wyćwiczony taniec. Personel wprowadzał pacjentów do ich pokoi. Drobną, wątłą kobietą zagarniała rękami mężczyzn dwukrotnie od niej większych i masywniejszych. Od czasu do czasu rozlegały się krzyki, ale oślepiające błyski ograniczały burzę do minimum.

Ulokowano wszystkich pacjentów w pokojach i drzwi oddziału zostały zamknięte. Xiang wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, wetknął jeden w otwór na panelu w ścianie i obrócił. Syrena umilkła, lampy przestały błyskać.

W uszach mi dzwoniło, jednak mogłem rozróżnić pulsujący dźwięk syren zbliżających się aut policyjnych.

– Nie opuść *Car Talk* – rzucił zachętę ten z radia NPR. – Ci dziwaczeni Tom & Ray, znani bracia, odpowiedzą na twoje pytania dotyczące problemów motoryzacyjnych.

W reakcji na zamknięcie oddziału zjawił się muskularny policjant. Za nim tłoczyło się dwunastu funkcjonariuszy. Między nimi Cole w towarzystwie dwóch dużych, krzepkich owczarków niemieckich, każdy na krótkiej smyczy i w kagańcu. Trzymał je też krótko Bangban, młody funkcjonariusz, którego poznałem w pierwszym dniu przy bramie wejściowej.

Policjanci nosili kamizelki kuloodporne, mieli w rękach pałki i na głowach specjalne hełmy – ostatnio opancerzone stalą na czole. Zgromadzili się wokół Xiang.

– Doktor Seager widział sztylet... ostry pręt – poinformował Xiang.

Policjanci i psy spojrzeli na mnie.

– Cervantes trzymał w ręku zaostrzony pręt – uzupełniłem.

– Gdzie teraz jest? – zapytał Bangban.

– Przeszukaliśmy go i jego pokój – rzekł Xiang. – Nic nie znaleźliśmy.

– Promienie rentgena? – zapytał Bangban.

– Jeszcze nie – stwierdził Xiang.

Porucznik Harrison – złota gwiazda na srebrnym hełmie, wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna o wojskowej postawie – wysunął kołnотatnik z tylnej kieszeni i otworzył.

– Czy przypominał takiego jak ten? – zapytał i podsunął mi teczkę z czterema tuzinami zdjęć migawkowych różnego rodzaju broni wykonanej domowym sposobem. Leżały pod różnymi, dziwnymi kątami i z drewnianą linijką pomiarową za każdym z nich. Wszystkie sprawiały wrażenie surowych, ale nader funkcjonalnych. Jednak zamiast nich wskazał cieniutki pręt.

– To ten właśnie – oznajmiłem.

– Tak, to uchwyt do okularów! – wykrzyknął Harrison, wyrwał mi teczkę

z ręki i schował do tylnej kieszeni. – Idziemy – rzucił krótko.

Funkcjonariusze zgodnie ruszyli parami. Bangban skrócił smycze psom, gdy posterunkowi podzielili między siebie cztery korytarze. Obserwując ich precyzyjne działania, zauważyłem, że Xiang i Cohen razem z resztą personelu też utworzyli odpowiednio sprawny oddział.

– Idziemy – rzekł Cohen i wzruszył ramionami. – To może być zabawne.

To, co nastąpiło, było „przetrzęsaniem” – czyli czynnością, w której oddział zostaje metodycznie przeszukany w poszukiwaniu kontrabandy.

Policjanci gwałtownie otwierali drzwi, zapędzali pacjentów pod ściany i szybko ich przeszukiwali. My pomagaliśmy przetrząsać komody, materace, sprawdzać szczeliny przy listwach podłogowych, obramowania i okucia drzwi oraz elementy instalacji elektrycznej. Zacząłem przewracać luźne części ubrań, wytrząsać książki i penetrować mlecze okna w łazience, przez które można było wetknąć jakieś przedmioty z zewnątrz.

Psy też miały dużo roboty. Obwąchiwały każde łóżko, szafę, a nawet – mimo protestów – samych pacjentów.

Psy dwa razy zaczęły skowytac i gorączkowo drapać łapami. Policjant znalazł w szufladzie biurka kopertę z pigułkami. Inny policjant wygrzebał z bielizny do prania małą buteleczkę. Odkręcił nakrętkę i powąchał.

– Alkohol – stwierdził.

– Dobre pieski – pochwalił Cole i poklepał je kolejno.

Podczas tych przeszukiwań linoleum pokryły śmieci wyrzucone z szafek i wytrzesione z łóżek oraz różnego rodzaju odpadki.

Początkowo pacjenci zachowywali się grzecznie, patrząc na to z niedowierzaniem, lecz szybko ogarnął ich słuszny gniew i oburzenie. Zaczęły się protesty. W pokoju numer jedenaście Cohen i Cole rozebrali młodego krzepkiego Murzyna, zmuszając go do uległości, gdy trzeci policjant ujarzmił jego współlokatora, przy okazji rozbijając na kawałki stół. Pies zawył. Zobaczyłem wpatrującą się w nas tępo Larsen.

Wybuchła wściekła awantura. Trzasnęły drzwi. Usłyszałem odgłos uderzeń. Do pokoju wpadło kilka osób personelu.

– Pięciopunktowy! – krzyknął Cohen i pchnął pielęgniarki w kierunku pokoju przymusu i odosobnienia.

Pochwyciłem wzrok Xianga.

– Mathews – rzekł.

Takich pokoiów używa się do lokowania niebezpiecznych pacjentów, jeśli fizycznie mogą zaszkodzić sobie, innym pacjentom albo członkom personelu szpitala.

Wyszkolony zespół przytwierdził nadgarstki i pięciny nóg w czterech rogach łóżka – nazwano to „przymusem czteropunktowym”. W skrajnym przypadku, gdy dodatkowo występuje kąsanie, stosuje się piąty „punkt” – czyli unieruchomienie głowy. A kiedy ma miejsce też plucie, zakłada się na twarz „maskę plucia”, czyli siatkę podobną do używanej przez pszczelarzy. W nagłych wypadkach stosuje się też odpowiednie zastrzyki.

W pokoju przymusu i odosobnienia za zamkniętymi drzwiami stoi tylko jedno łóżko. Zanadto pobudzony pacjent pozostaje tam w samotności, ale jest pilnie obserwowany do czasu, gdy sytuacja znajdzie się pod pełną kontrolą. Proces ten nazywa się „przymusem i odosobnieniem”.

Cole opuścił pokój i personel zabrał Mathewsa. Monabong otworzyła drzwi pokoju odosobnienia i Mathews został wciągnięty do środka.

– Potrzebuję lekarskiej recepty – rzekł Xiang od drzwi pokoju aptecznego.

– Czego zwykle używacie? – zapytałem.

– B52 – odparł Xiang.

– Doskonale. – I Xiang szybko zapisał skład tej mikstury.

„B52”, to skrót leku psychiatrycznego. Pięć miligramów Haldolu, silnego antypsychotycznego leku zmieszanego w strzykawce z dwoma miligramami Ativanu, silnym Valium – jak narkotyk – i dwoma miligramami środka uspokajającego, Cogentin. Taki koktajl może zwalić z nóg konia.

Nasza grupa z psami na czele skręciła do następnego pokoju. Obok mnie pojawił się Cohen.

Przy pobliskiej ścianie zobaczyłem Caruthersa i jego współmieszkańca, Manuela Ortegę – wątłego, podstarzałego Hiszpana na fotelu inwalidzkim.



Caruthers pochwycił mój wzrok i nie spuszczał ze mnie oczu, gdy przeszukujący policjanci obracali obu pacjentów.

– Czy ty też tak traktujesz swego ojca? – warknął Caruthers, widząc, jak brutalnie jeden z nich obchodzi się z jego przyjacielem.

Policjanci w żaden sposób nie zareagowali, a gdy okazało się, że obaj mężczyźni są czyści, zajęli się pokojem.

W czasie przeczesywania pokoju przez funkcjonariuszy przekopywałem się przez porozrzucane części garderoby na kapie łóżka, gdzie znalazłem ostre pióro do pisania.

– Dobra robota, doktorze – pochwalił Bangban i poklepał mnie po ramieniu. – Ostre pióro! – zawołał przez ramię. – Znalazł je nowy doktor. – I Bangban z namaszczeniem wrzucił je do plastikowej torebki podanej mu przez partnera.

– Lepiej żeby było w torbie niż w czyichś plecach – stwierdził Xiang.

Kiedy odwracaliśmy się do drzwi, Caruthers znowu wlepił we mnie wzrok. Czułem, jak pali mnie kark. Policjanci wyszli, a ja poszedłem za nimi wytrącony z równowagi.

Nasz zespół przetrząsał pokój Cervantesa.

Ustawiliśmy się kolejno w drzwiach z czujnymi psami przy nodze. Cervantes w masce Zorro i z myjkami w uszach stał przy swoim współmieszkańcu Hongu, upozowanym z wdziękiem młodym Azjacie z długimi blond włosami zaplecionych w warkoczyki i cukierkowo czerwonymi paznokciami. Kiedy wchodziliśmy, trzymali się silnie za ręce. Metalowy pręt zauszniaka do okularów leżał niczym jakaś uświęcona ofiara na środku koca przykrywającego jedno z dwóch łóżek.

Bangban schował pałkę, wyjął z kieszeni spodni lateksowe rękawiczki chirurgiczne i założył. Podszedł do cienkiego pręta na łóżku, jakby był radioaktywny. Chwycił go kciukiem i palcem wskazującym, uniósł ostrożnie do światła, a potem wrzucił do wąskiego otworu plastikowej torebki.

Zbliżyłem się. Był to zaostrzony drucziany zauszniak do okularów z wyprostowaną częścią zaokrągloną za uchem. Z łatwością można go było

wbić w ciało człowieka.

W czasie przeszukiwania pokoju przez personel policjanci kazali Cervantesowi i Hongowi stanąć w rozkroku, z dłońmi przyłożonymi do ściany. Potem psy obwąchały ich. Hong omal nie zemdlał. Cervantes założył ręce na piersi.

Skończyli, odwołano psy.

– Czysto! – krzyknął Cole.

– Cervantes i Hong, za mną – rzekł Xiang rozkazująco i poprowadził ich do drzwi.

Obserwowałem, jak wychodził Cervantes. Jego różowe uszy znowu zafalowały, gdy wtykał głębiej myjki i przyglądził jedną z nich do lewej skroni.

Personel skończył przetrząsanie pokoju i jak się okazało, niczego więcej nie znaleziono.

– Jak Cervantes zdobył ten zausznik do okularów? – zapytałem, gdy zespół gotował się do wyjścia.

– Łatwo zdobyć jakieś okulary – rzekł Xiang. – Prawa pacjentów mówią, że nie możemy im tego zabraniać. Teraz zdobył te, a potem może zdobyć następne.

– Ten zausznik, który nam dał dobrowolnie, może nie być tym, którym panu groził – stwierdziła pielęgniarka.

Obrzuciłem pokój ostatnim spojrzeniem.

– Gdzie może go ukrywać? – zapytałem, ale wszyscy już wyszli.

Ostatni pokój należał do Billa McCoya. Policjanci dołączyli do nas. Psy przybrały odpowiednią pozę, niczym na rozkaz do ataku.

McCoy zajmował w oddziale jeden z trzech jednoosobowych pokojów. Stał teraz w nieskazitelnie czystym stroju, oparty o ramę okienną w tyle pokoju. Kiedy policjanci z ponurymi twarzami i pałkami w rękach ruszyli do przodu, McCoy powitał ich uprzejmie. Stał bez obawy, nieporuszony, ze zwieszonymi po bokach wytatuowanymi rękoma, niczym dwoma wielkimi szynkami. Pies warknął.

Wtedy McCoy uniósł rękę.

– Panowie – rzekł. – Wejdźcie. Spodziewałem się was. Wybaczcie bałagan. Nieczęsto przyjmuję gości i to w dodatku tak nagłych.

Policjanci wydawali się zaskoczeni. Ale nie Cohen. Zdecydowanie podszedł do łóżka, przerzucił pościel i poklepał materac, przeszukał półkę z książkami. Potem padł na kolana i zajrzał pod łóżko. Jego twarz rozpromieniała i wyciągnął mały aparat.

– Lepiej umyj ręce – poradził McCoy. – Bóg wie, gdzie się poniewierał.

– Przyrząd do tatuażu – wtrącił wysoki policjant.

– Przyrząd do tatuażu – powtórzył McCoy z udawanym zdziwieniem. – A tu jest tusz i metalowa rzeźba, którą zrobiłem na zajęciach grupy artystycznej.

– Do torby z tym – polecił Cohen i nie przejmując się konsternacją McCoya, wstał i podał znalezisko.

Cole założył rękawiczki, roztropnie wrzucił przyrząd do podwójnej torebki plastikowej, którą z kolei wrzucono do większej torby z kontrabandą, którą trzymał Bangban. McCoy wsparł ręce na biodrach.

– Zabrało mi to dwa tygodnie pracy – westchnął i ruszył w kierunku wyjścia z pokoju na korytarz. – Znam zasady musztry, chłopcy.

Po tych słowach przeszedł bez żadnej asysty i minawszy znajdujące się u kresu wytrzymałości śliniące się psy, McCoy z uśmiechem zniknął w korytarzu.

Policjanci zrewidowali jego pokój.

\* \* \*

Zespół przeszukujący po zakończeniu pracy zebrał się w dyżurce pielęgniarek. Policjanci na roboczym kontuarze uporządkowali wyposażenie, by móc starannie wszystko obfotografować.

Do zamkniętego oddziału psychiatrycznego otoczonego wysokim ogrodzeniem, ze strażnikami, z maksymalnym systemem bezpieczeństwa, w zaskakujący sposób przeszmuglowano przedmioty, które w żadnym

wypadku nie powinny się tam znaleźć.

Funkcjonariusze zrobili zdjęcia ostrego pióra Caruthersa i przyrządu do tatuażu McCoya.

– Potem odtworzą na DVD – poinformował Xiang.

Z koperty wywączanej przez psy wysypano trzy tabletki Wellbutrinu, popularnego środka antydepresyjnego wysoko cenionego przez pacjentów, którzy kruszyli je i wdychali, oraz sześć tabletek Oxycontin, wypróbowanego przez Mathewsa środka łagodzącego głód narkotyczny, i małą buteleczkę alkoholu. Wszystko dokładnie sfotografowano, a na koniec jeszcze czternaście sztuk papierosów.

– Idą po dziesięć dolarów każdy – rzekł Xiang.

Następnie zajęliśmy się zausznikiem do okularów. Niektórzy nazwali go też chwytem albo wręcz majchrem. Oprócz tego przerobionego pręta odkryto jeszcze prostokątny fragment wyszczerbionej szyby z okna w łazience oraz mały spiłowany śrubokręt.

Zebrani przez chwilę milczeli.

– Ten zausznik, uchwyt czy majcher to złe określenia dla tego przedmiotu – zauważyłem, chwytając go, a potem podniosłem śrubokręt.

– Tak, technicznie nie jest to żaden majcher – zgodził się Cohen. – Majcher to dość stare określenie ostrej broni – kontynuował. – W dodatku wykonanej z tak mało przydatnego materiału jak zausznik do okularów i przystosowanej do klucia. Natomiast ten znaleziony śrubokręt jest sam przez się niebezpieczny, nie robi się go sposobem domowym i nie może być naprędce zmieniony w „majcher”.

Personel nadal wałkował ten temat razem z policjantami.

– To określenie pochodzi od kawałka metalu, który łączył pięty dwóch butów więziennych – informował dalej Cohen. – Nazywano go też „uchwytem” i właśnie „majchrem”. Więźniowie potrafili go odpiąć od butów i potem naostrzyć.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytałem, gdy policjanci zaczęli opuszczać dyżurkę po zakończeniu pracy.

Ale Cohen już wyszedł.

Kiedy policjanci skończyli identyfikowanie i katalogowanie skonfiskowanych przedmiotów, sprawdzili je po raz ostatni razem z Xiangiem, a potem powoli, pewnym krokiem poszli pustym korytarzem.

– Miło mi było spotkać pana, doktorze – zagrział Cole i pokiwał mi od drzwi.

Zobaczyłem, że po starciu z Mathewsem ma spuchnięty policzek. Wskazałem spuchnięte miejsce pod jego lewym okiem. Cole uśmiechnął się.

– Ale warto było – rzekł wesoło i Kate Henry wypuściła policjantów

Minęła godzina i zespół leczniczy zajął się przesłuchaniem Smitha w sprawie jego aktywności hazardowej.

– Nocna zmiana wspomniała, że schwytano ciebie na grze w kości – rzekł Xiang.

– To bzdura – odparł z oburzeniem Smith.

– Masz zakaz opuszczania oddziału przez tydzień – oświadczył Xiang.

– Wal się.

– Smith, co więc robiłeś w tej grupie, gdy odkryto, co się tam dzieje? – zapytała Palanqui.

– Ty też się wal – powtórzył.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jedna strona mnie mówi: „Lubię z nią rozmawiać i spotykać się z nią”. Druga strona mówi: „Zastanawiam się, jak wyglądałaby jej głowa wbita na kij?”.

EDMUND KEMPER, KTÓRY W WIEKU 15 LAT ZABIŁ BABCIE I DZIADKA. W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH DWUDZIESTEGO WIEKU NIEDALEKO SANTA CRUZ W KALIFORNII ZAMORDOWAŁ I ROZCZŁONKOWAŁ SZEŚĆ AUTOSTOPOWICZEK. NASTĘPNIE ZABIŁ MATKĘ I JEJ PRZYJACIELA. KEMPER BYŁ ZNANY Z IMPONUJĄCEGO WZROSTU (PONAD DWA METRY) ORAZ Z IQ W WYSOKOŚCI 145.

– ZAPRASZAM DO GABINETU – rzekła Kate Henry po zakończeniu wizyty u Smitha. Chwyciłem część kart pacjentów i poszedłem za nią.

Opuściliśmy oddział i szliśmy długim głównym korytarzem. Kate Henry otworzyła drzwi w szeregu innych i wręczyła mi klucze.

– Jeżeli będzie pan miał jakieś pytania, proszę je zadawać bez wahania – dodała.

Gabinet wielkością przypominał więzienną celę. Był to spartańsko urządzone pokój z jednym brudnym, nieotwieranym oknem, metalowym biurkiem w stylu lat czterdziestych i jednym krzesłem. Na biurku stał komputer z poprzedniej epoki. Całość uzupełniał powgniatany kosz na śmieci.

Położyłem karty na biurku i włączyłem komputer. W rzadkim ukłonie ku nowoczesności Gomora ostatnio wprowadziła zintegrowany system elektroniczny. Kliknąłem na „Zalecenia lekarskie” i arkusz dotyczący

skierowania „opiekuna” dla Cervantesa.

Opiekun to członek zespołu wyznaczony do pilnowania niebezpiecznego pacjenta i czuwania nad tym, żeby nikogo – ani siebie – nie skrzywdził. Opiekun wszędzie towarzyszy pacjentowi. Zmieniają się w ciągu doby, póki trwa okres alertu – zwykle przez dwa do trzech dni. To bardzo ważna służba i opiekunowie często ratują życie.

Usiłowałem uzyskać jakieś testy krwi, używając oddzielnego programu, który za każdym razem się zawieszał i ciągle wyskakiwał napis „error”. Sfrustrowany wyłączyłem komputer i wyszedłem z gabinetu, żeby ochłonać.

Z zaskoczeniem zobaczyłem, że korytarz jest pełen pacjentów. Pochłoneła mnie fala głodnych psychopatów, przebijających się z drugiej strony długiego korytarza na lunch do stołówki.

Ludzie są zwykle zaskoczeni, dowiadując się, że w Gomorze pacjenci i personel nie są rozdzielani. Pacjenci przebywają w niestrzeżonych dwuosobowych pokojach, tak jak w innych szpitalach. Mieszają się swobodnie z personelem w otwartych korytarzach. Podczas gdy drzwi oddziału są dla obcych zamknięte, pacjentów często eskortuje się na zewnątrz – na wizyty lekarskie w mieście, w celu spotkania z krewnymi w centrum odwiedzin, na grupowe terapie w innym budynku albo żeby odwiedzili bibliotekę w kampusie.

Pacjenci, cisnąc się w drodze do stołówki albo z niej wracając, dzielili tę samą przestrzeń z personelem zmierzającym do swoich pomieszczeń czy też z nich wychodzącym. Jest to niebezpieczne, szczególnie gdy na korytarzu znajdują się maruderzy. Kiedy nie ma nikogo w pobliżu, można się tam spotkać oko w oko z pacjentem.

Szybko wycofałem się do swojego gabinetu. Skupiłem uwagę na notatkach o pacjentach, a potem zacząłem przeglądać ich karty, aż w końcu zaczęło mi się dwoić i troić w oczach. O piętnastej jeszcze nigdy nie czułem się tak zmęczony.

Wstałem i znowu wychyliłem się na korytarz. Pusto. Skierowałem się do głównego wyjścia. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Po

pokonaniu chodnikiem mniej więcej dziesięciu stóp nagle znalazłem się przed natarczywym pawiem.

Zacząłem go płoszyć, jednak nie ustępował, usiłując mnie dziobnąć. Spróbowałem ponownie. Uniósł głowę, wydał w niebo okrzyk i wbił ostry jak sztylet dziób w moją prawą stopę.

– Hej! – krzyknąłem i odskoczyłem. Cofnął się i znowu na mnie natarł. Szybko uskoczyłem do tyłu i omal nie sięgnąłem do mojego osobistego alarmu. Jednak w porę uświadomiłem sobie, że to nie tego rodzaju zagrożenie i alarm został nietknięty. Stwierdziłem, że pawie są dużo większe, niż to sobie wyobrażałem.

Kiedy wróciłem do drzwi mojego gabinetu, usłyszałem alarm. Przyłączyłem się do Cohena i tłumu pędzącego w kierunku Oddziału C, gdzie właśnie miała miejsce inna bitwa.

– Głupia suka! – ryknął Mathews, gdy trójka członków personelu wlokła go do pokoju odosobnienia. Luella siedziała na podłodze z czołem opartym na zgiętych kolanach. Z jej nosa kapała krew.

Dodatkowy personel razem z policjantami zagarniali pacjentów na dziedziniec. Luellę otoczyła dzienna zmiana. Palanqui przyniosła papierowe ręczniki, które delikatnie przyłożyła po obu stronach nosa Luelli. Teraz przypominała sarnę uchwyconą w snopy świateł reflektorów samochodu ciężarowego. Miała szeroko otwarte oczy, szybko oddychała i mamrotała coś po hiszpańsku.

– Co się stało? – zapytałem Xianga, który klęczał obok Luelli i obejmował ją ramieniem.

– Luella powiedziała Mathewsowi, że pora na popołudniowe lekarstwa – wyjaśnił Xiang, próbując kontrolować emocjonalnie ton głosu. – Wtedy odwrócił się i uderzył ją pięścią w twarz.

– Czy Mathews nie został umieszczony w odosobnieniu? – zapytał Cohen, kiedy ja też ukląknąłem obok Luelli.

– Został wypuszczony po dwóch godzinach – wtrącił Xiang. – Oświadczył, że będzie spokojny.



– To szaleństwo – stwierdził Cohen. – On bił się z policjantem.

– Powiedz to ludziom z administracji – rzekł Xiang. – Stracę pracę, jeżeli pacjenci będą przebywać zbyt długo w odosobnieniu.

Łagodnie przyłożyłem teraz krwią poplamiony papierowy ręcznik do zniekształconego nosa Luelli. Zajrzałem z bliska w jej oczy. Krwawienie do oka może spowodować ślepotę. Krew wewnątrzgałkowa tworzy małe pólksieczyc świeżej krwi, zabarwiając część oka w dolnym skraju rogówki między nią i źrenicą. Przyglądając się z bliska, nie zobaczyłem ani śladu krwi.

Kiedy jednak poprosiłem Luellę: – Podążaj wzrokiem za moim palcem – jej prawe oko nie poruszyło się w bok. Zwykle sygnalizuje to pęknięcie twardówki otaczającej oko, uszkodzenie nerwu albo mięśnia. To poważna sprawa.

Zmacałem szyję Luelli i sprawdziłem integralność mięśni jej twarzy i języka. Każde uszkodzenie w tych miejscach mogło mieć zły wpływ na szyję. Albo powodować uraz kręgosłupa.

– Musimy panią dokładnie zbadać – stwierdziłem i ostrożnie pomogłem Luelli wstać. Ciągle była w szoku i chwiała się niepewnie. Ulokowaliśmy ją w fotelu, który Randy przyniósł z pokoju konferencyjnego. Pogłaskałem ją po ramieniu.

– Tak mi przykro – powiedziałem.

Inna załoga pielęgniarska ułożyła Luellę na wózku do przewożenia chorych i wywiozła z oddziału, aby przetransportować ją na pogotowie.

– Jak bardzo z nią jest źle? – zapytał nerwowo Xiang.

Cohen znajdował się w zasięgu głosu.

– Ma złamany nos – odparłem. – A także prawdopodobnie uszkodzoną twardówkę oka. Jej prawe oko nie porusza się w bok. Został uwięziony albo nerw, albo mięsień. Może potrzebować zabiegu chirurgicznego, aby je uwolnić.

– O Boże! – westchnął Xiang.

Cohen sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał eksplodować.

– Nie mam już więcej pielęgniarek – oznajmił Xiang. – Dwanaście pielęgniarek, połowa całego zespołu, zostało napadniętych i znalazło się na zwolnieniu z powodu ran. Nie mamy już rezerw pielęgniarskich. Nikt tu nie chce pracować!

– Pielęgniarki nie są głupie. – Larsen ciężko oddychała. – Kto tu zechce przyjść dobrowolnie, na ochotnika? Po to żeby mu złamali nos albo by oberwać pięścią w twarz? Czy warto?

– Ale ty tu jesteś – zauważył Cohen.

– Tak jak pan – odpowiedziała.

Cohen milczał.

– Proszę zadzwonić do tych palantów z administracji – kontynuowała Larsen. – Może podrzucą nam kogoś, aby zapełnić zmianę, albo dwie. Może sami zechcą nadstawić gęby. Jednak chyba lepiej zadzwonić do Sacramento i połączyć się z gubernatorem. Będę pierwsza w szeregu chętnych do rąbnienia w pysk.

Po tym dniu spodziewałem się fatalnego załamania. Jednak z zaskoczeniem stwierdziłem, że mój gniew i podniecenie opadły. W rzeczywistości w ciągu następnych kilku miesięcy często bywałem świadkiem podobnych zdarzeń. Po kilku dniach każda normalna ludzka istota nie powinna już być zdolna do znoszenia takiego koszmaru, jaki znosił nasz personel, który wielokrotnie robił coś wprost niewiarygodnie wyjątkowego. Z początku powoli, a potem stopniowo coraz szybciej wracało na Oddział C normalne życie.

Poszedłem do mojego gabinetu i wyglądałem przez odrapane, brudne okno. Wychodziło na stary ogrodzony dziedziniec dla pacjentów z resztkami ogrodowych grządek. Sześć inspektów już dawno popadło w ruinę i zarosło chwastami. Samotny paw dziobał jałowy grunt.

Nie pamiętam, jak długo stałem przy tym oknie, ale dawno minął czas, który obiecałem przeznaczyć na rozmowę z Caruthersem. Jednak nie miałem już na to sił. Słońce chyliło się ku zachodowi. Czas do domu. Zamknąłem gabinet na klucz. Pożegnałem Cohena, który przechodził obok

mnie.

W pobliżu drzwi wyjściowych odwróciłem się, żeby zobaczyć pacjentów Oddziału C idących do stołówki na kolację. W tłumie szli, trzymając się za ręce, Cervantes i Hong w towarzystwie opiekunki. Mathews – krzepki i pełen życia – rozmawiał uprzejmie z Boudreaux. Reporter z NPR włókł się w tyle.

– To już wszystkie wiadomości znad jeziora Wobegon... – mówił, wślizgując się do jadalni.

Chowałem już klucze, za wyjątkiem jednego tkwiącego jeszcze w zamku, gdy usłyszałem piekielny brzęk. Odwróciłem się, żeby ujrzeć, że spadła na podłogę metalowa taca. Została wrzucona przez otwarte drzwi i uderzyła w okno przeciwległego korytarza. Wszedł Eric, pomocnik medyczny, podniósł tacę i pewnym krokiem wrócił do środka.

Już byłem gotów przyjść personelowi z pomocą, ale najwyraźniej kłopoty dobiegły końca. Stałem blisko drzwi i słuchałem. Jedynym dźwiękiem, jaki do mnie dochodził, był brzęk kuchennych naczyń i cicha rozmowa.

Wróciłem do drzwi wyjściowych. Rzuciłem nerwowe spojrzenie w kierunku stołówki i kilka minut czekałem w korytarzu, żeby się upewnić, iż wszystko się już uspokoiło.

Otworzyłem główne drzwi i wyszedłem. Było ciemno jak w grobie, czarna jak smoła bezksiężycowa noc.

Przekroczyłem frontowy trawnik i po zejściu kilku stopni ku głównej drodze dostrzegłem coś kątem oka. Zatrzymałem się i odwróciłem. W świetle padającym z wysokich latarni ulicznych poniżej ogrodzenia i pod napisem „Strefa zakazana”, za budynkiem Oddziału C stały dwie postaci, rysujące się wyraźnie na tle ciemności.

Ta para cieni, z głowami zakrytymi kapturami, rzucała na boki spojrzenia, jednak zdawała się mnie nie dostrzegać. Jeden z nich wyciągnął karton paczek papierosów, drugi szybko go od niego odebrał i wsunął pod koszulę. Ten drugi wyciągnął garść banknotów i wcisnął je w dłoń pierwszego. Potem oba cienie zniknęły za budynkiem.

Zamarłem, niepewny, co robić. Bojąc się, że mogę być widoczny, usiłowałem zachować spokój, a potem powoli oddaliłem się. Po dziesięciu krokach zacząłem biec i zatrzymałem się dopiero w punkcie kontrolnym przy bramie.

Pochyliłem się, żeby zaczerpnąć tchu. Obejrzałem się za siebie na pustą drogę główną z postanowieniem, że cokolwiek tam się wydarzyło, i tak wyjdzie na jaw w świetle dziennym. Otarłem pot z czoła. Zwróciłem osobisty alarm z kluczami i wyszedłem, wracając przez labirynt systemu wejściowego. W ten sposób opuściłem teren szpitala dużo mniej kontrolowany niż przy wchodzeniu. Przy bramach przykładam moją kartę identyfikacyjną do czytnika i bramy otwierały się z bzykającym sygnałem.

Parking był słabo oświetlony i prawie pusty. Przytwierdzona do ogrodzenia samotna lampa sączyła słabe światło prosto na moje i dwa sąsiednie auta. Przy drzwiach do pojazdu sięgnąłem po kluczyki.

– Czyż nie jest to naprawdę zwariowane miejsce? – Usłyszałem padające z ciemności pytanie.

To był Cohen.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Choroba umysłowa może dotknąć każdego. Możesz być śmieciarzem, politykiem, pracownikiem Tesco, kimkolwiek. To może być twój ojciec, brat albo ciotka.

FRANK BRUNO, BRYTYJSKI PIĘŚCIARZ, BYŁY MISTRZ ŚWIATA WAGI CIĘŻKIEJ, CIERPIAŁ NA ZABURZENIA AFEKTYWNE DWUBIEGUNOWE.

W DOMU, PO PÓŻNEJ KOLACJI, znalazłem się w świecie alternatywnym. W tym z mego poprzedniego życia. Spożyliśmy posiłek w miłej atmosferze, a potem obejrzeliliśmy dwa odcinki *Portlandii*, ostatnio ulubionego serialu komediowego Johna.

Kładąc się do łóżka, stałem obok Ingrid, patrząc w nasze odbicia w lustrze. Ingrid wolno szczotkowała blond włosy.

– Jak było? – spytała spokojnie.

Nie wiedziałem, od czego zacząć. Na pewno Ingrid nie chce słuchać o tym, jak Luella została uderzona w twarz. Albo że Cervantes groził, że przebije mnie zaostrzonym prętem. Czy też o przemocy, o pacjentach tłoczących się w korytarzu. Jednak chciałem jej o czymś opowiedzieć.

– Ostatnimi osobami z personelu opuszczającego budynek Oddziału C byłem ja i nasz psycholog, doktor Cohen – oznajmiłem.

– To ten, którego spotkałeś podczas obchodu rekonesansowego? – zapytała Ingrid.

Skinąłem głową.

– Wyszedł przede mną. Usłyszałem hałas dochodzący ze stołówki

i pobiegłem zobaczyć, ale okazało się, że to nic groźnego. Wobec tego też opuściłem budynek. Na zewnątrz, już za światłami ogrodzenia, zobaczyłem dwóch mężczyzn za budynkiem oddziału.

– Policja? – zapytała Ingrid.

– Nie byli to policjanci – odparłem. – Jeden z nich wyjął karton paczek papierosów i podał drugiemu. W zamian odebrał od niego pieniądze. Potem zniknęli. Nie spodziewali się, że ktoś będzie w tym czasie obecny za budynkiem oddziału. Że będzie tam kiedykolwiek.

Czekałem na reakcję Ingrid.

– I...? – rzuciła tylko.

– I kiedy dotarłem do auta – kontynuowałem – znowu natknąłem się na doktora Cohena.

– Więc...?

– On mógł być jednym z tych dwóch, których widziałem za budynkiem – zakończyłem, zadowolony, że już po wszystkim. – Nie sądzę, żeby mógł mnie wtedy widzieć.

– Jeżeli jednym z tych mężczyzn był doktor Cohen – rzekła Ingrid – to jakim sposobem mógł się znaleźć na parkingu przed tobą?

Zastanawiałem się przez moment.

– Nie wiem. Masz rację. Ale to miejsce jest tak szalone, że i ja zaczynam świrować.

Nie mogłem zasnąć, przewracałem się z boku na bok. W końcu wstałem, sprawdziłem godzinę – była niemal północ – i poszedłem do gabinetu. Wyjąłem z półki podręcznik psychiatrii i usiadłem. Wiedza to potęga i teraz musiałem ją uzupełnić. Chciałem wiedzieć, dlaczego Gomora jest takim szpitalem, jakim jest.

\* \* \*

Problem chorób psychicznych i przestępczości sięga początków pisanej historii. Kodeks Hammurabiego – zbiór praw starożytnej Mezopotamii – był pierwszym na świecie spisany systemem prawnym zakazującym karania

za popełnione przestępstwa osób chorych psychicznie. Na przestrzeni wieków wszystkie społeczeństwa w taki czy inny sposób przestrzegały tego zalecenia.

Znalazłem wiele przykładów tak zwanej obrony ze względu na niepoczytalność, zarówno w amerykańskim, jak i brytyjskim prawie. Przebrnąłem przez długie, zagmatwane wyjaśnienia reguły McNaughtona, testu nieodpartego impulsu (*irresistible impulse test*), reguły Durhama, aby na koniec zagłębić się w modelowy test Amerykańskiego Instytutu Prawa ustalający odpowiedzialność karną (*The American Law Institute Model Penal Code Test*).

W konkluzji doszedłem do wniosku, że określenie Bena Cohena dotyczące obrony ze względu na niepoczytalność w sumie było poprawne. Jesteś „niewinny z powodu choroby umysłowej” (NGRI – *not guilty by reason of insanity*), co znaczy, że byłeś niespełna władz umysłowych w chwili popełnienia przestępstwa i jesteś niezdolny, aby stanąć przed sądem. Innymi słowy, taka osoba, zamiast trafić do więzienia, winna zostać poddana leczeniu psychiatrycznemu.

Inna klasyfikacja prawna dotyczy skazanych, którzy dopiero jako osadzeni w więzieniach zostają uznani za pozbawieni władz umysłowych. W dokumentach takiego zwolnionego więźnia zapisuje się, że jeżeli został uznany za niebezpiecznego z powodu choroby umysłowej, ma zostać skierowany na leczenie w szpitalu. Takie osoby zwane są przestępcami z zaburzeniami umysłowymi (MDO – *mentally disordered offenders*). I chociaż nie są to osoby, które mogą się bronić chorobą umysłową, to one właśnie zwiększają liczbę pacjentów szpitali stanowych.

Mimo obszernych sprawozdań prasowych obronę na skutek niepoczytalności skutecznie i prawidłowo stosuje się jedynie w jednej czwartej przypadków. A pole do nadużyć jest oczywiste: zabijasz kogoś, a następnie twierdzisz, że byłeś wtedy niespełna rozumu lub jesteś uzależniony od narkotyków, alkoholu lub wafelków Twinkies – tego rodzaju obrona nie powinna działać. Ale czasem jest skuteczna. Na Oddziale C, jak

się dowiedziałem, są pacjenci, którzy wykręcając się w ten właśnie sposób, uniknęli szubienicy.

Ostatnia grupa to kanciarze albo cwaniacy, zwykle figurujący pod dużym nagłówkiem antyspołecznych zaburzeń osobowości (osobowość dysocjalna, ASPD). W tym określeniu pojęcie „antyspołeczne” nie oznacza, że są to osoby samotne, wyobcowane, które nie potrafią znaleźć swojego miejsca w społeczeństwie, tylko że nie przestrzegają praw obowiązujących społeczeństwo, w którym żyją, i nie mogą się powstrzymać od rabowania, zabijania i gwałcenia.

Osoby typu ASPD to spiskowcy i oportuniści, w ten sposób starający się przewyciężyć swoje słabości. Są to „kombinatorzy”, ludzie kupujący i sprzedający narkotyki – dilerzy – oraz ludzie trudniący się kradzieżą różnych przedmiotów i broni. Oni tworzą „obronne” kręgi – płacisz albo dostajesz w czapę. Związani są ze światem prostytutki, hazardu i przemytu. Często wdają się w krwawe bójki.

Nazywani są też *con-men*, przy czym *con* to skrót od *confidence* (zaufanie, ale też pewność siebie). Ci ludzie używają swoich ogromnych umiejętności do manipulacji w celu pozyskania zaufania innych, których potem wykorzystują. Osoby z antyspołecznym zaburzeniem osobowości zwane są również „socjopatami”. Są to przestępcy o zasięgu ogólnoswiatowym, ci, którzy zrobili światową karierę. Osoby typu ASPD stanowią 50–75% populacji państwowych więzień.

Nigdy dużo nie czytałem o socjopatach, lecz przez wiele lat miałem z nimi do czynienia. To oni w większości zaludniają psychiatryczny kosmos. Osoby typu ASPD nie są umyślowo chore, jednak mogą takie udawać w sposób niezwykle przekonujący. Gomora gromadzi w swych murach niewielką, jednak realną liczbę przypadków stricte związanych z typem ASPD – ludzi, którzy zdołali przekonać sędziego i prokuratora, że są chorzy psychicznie, w tak wyraźny sposób, jak to uczynił McCoy.

Często, w obliczu groźby długoterminowego więzienia albo śmiertelnego zastrzyku, udają wariatów. Randle Patrick McMurphy odtwarzany przez



Jacka Nicholsona w filmie *Lot nad kukułczym gniazdem* nie był niepoczytalny. On był ASPD.

Aby w Gomorze było jeszcze trudniej, wielu naszych pacjentów ma zarówno osobowość dyssocjalną, jak i choroby psychiczne. Są psychotycznymi socjopatami – „psychopatami”, o których już wspomniałem. To pomaga wyjaśnić często dziwną, niezrozumiałą i odrażającą naturę pewnych zbrodni. Socjopaci mogą popełniać szablonowe oszustwa – na przykład ukradną ci portfel. Albo strzelą do ciebie podczas nieudanej transakcji narkotykowej. Natomiast psychopaci mogą pokroić cię na plasterki, ponieważ Bóg im tak kazał. Socjopaci i psychopaci to w znacznej części pacjenci Gomory. Z tego też powodu jest to tak trudne i niebezpieczne miejsce.

Dobrze po północy zamknąłem podręcznik, wsunąłem go z powrotem na półkę i wróciłem do łóżka.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

No, Clarice – czy te owce przestaną beczeć?

HANNIBAL LECTER, „MILCZENIE OWIEC”

NASTĘPNEGO DNIA RANO po źle przespanej nocy, walcząc z szarpiącym uczuciem strachu, wziąłem prysznic i ubrałem się. Ingrid wstała wcześniej, żeby poćwiczyć na rowerze stacjonarnym, który trzymaliśmy w salonie z telewizorem. Zgarnąłem ze stolika w holu portfel, mój identyfikator szpitalny i kluczyki do auta. John właśnie wstał.

Ingrid stanęła obok mnie, błyszcząc od potu, z kolorowym ręcznikiem na szyi.

– Wiem, że nie spałeś dobrze – stwierdziła. – Powiedz mi, jeżeli czegoś potrzebujesz.

Pocałowałem ją w policzek i kiwnąłem Johnowi, który właśnie pojawił się w holu. W odpowiedzi uśmiechnął się i też machnął ręką, jeszcze trochę zaspany.

Zapuszczając silnik na podjeździe, spojrzałem na frontowe okno naszego domu. Zobaczyłem, jak palec odchyła zasłonę, i ujrzałem szczupły profil Johna.

„Kocham cię!” – powiedziałem niemo i wskazałem go.

Zasłona zaciągnęła się z powrotem.

Włączyłem radio i wyjechałem na ulicę.

Po zajechaniu na miejsce i dotarciu do mojego gabinetu stwierdziłem, że

wszędzie panuje błogosławiona cisza, więc udałem się na Oddział C. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w pustym korytarzu oddziału. W drodze do pokoju konferencyjnego spotkałem Xianga razem z personelem. Po wejściu zająłem miejsce przy chwiejnym stole.

Ciągle czułem się przytłoczony, niepewny. Tak jakby język stanął mi kołkiem czy coś w tym sensie. Jednak nic nie powiedziałem o pogroźkach Cervantesa ani o papierosach. Nie zapytałem też o Luellę. Rzuciłem tylko krótko:

– Gdzie są wszyscy pacjenci?

– W swoich pokojach – odparł Xiang. – Wszyscy są bardzo spokojni. Jednak wiemy, że coś się szykuje. To tylko cisza przed burzą. Szykuje się coś dużego.

– Ale co? – zdziwiłem się.

– Słyszałam od kogoś z Oddziału B, że podobno Mike Morgan pokłócił się z jednym z naszych pacjentów – powiedziała Palanqui.

– Ten Morgan to niespokojna dusza – wtrąciła Virginia Hancock, nowa pielęgniarka – biała, w średnim wieku. – Jakiś czas przebywał tu, na Oddziale C. Dobrze pamiętamy Morgana.

– My się jeszcze nie znamy, jestem doktor Seager – przedstawiłem się.

– Pani Hancock przez wiele lat pracowała u nas – wyjaśnił Xiang. – Właśnie wróciła z sześciomiesięcznego urlopu. Teraz, gdy zostaliśmy pozbawieni Luelli, z zadowoleniem przyjmujemy jej powrót.

– Miło mi – rzekłem. – Witam z powrotem na oddziale.

– Cieszę się z powrotu – odparła Hancock – i również miło mi pana poznać.

– Morgan to wielki kombinator – dodał Xiang, wracając do tematu.

– To prawda, on może skombinować wszystko, czego tylko ktoś zapragnie – wyjaśniła Monabong. – Może panowie doktorzy czegoś potrzebują?

Cohen przecząco potrząsnął głową.

– Ja nie. Ale dzięki za troskę.

– Jeżeli pan zmieni zdanie – kontynuowała Monabong – to Morgan może dostarczyć narkotyki, pruno, papierosy, żywność... On macza palce we

wszystkim.

– Co to jest pruno? – zdziwiłem się.

– Ach... to alkohol pędzony przez więźniów, a właściwie wino – wtrąciła Palanqui. – Oni poddają fermentacji owocowy koktajl ze stołówki.

– Fermentacja koktajlu owocowego? – Cohen przyłożył palec do ust i odegrał pantomimę, wywołując u zebranych uśmiechy.

– Lepiej nie narażać się Morganowi – przestrzegł Xiang. – Wszędzie ma zwolenników. Jeśli narazisz się jemu, narazisz się innym.

– Teraz takim obiektem zapewne jest Mathews – powiedziała Larsen. – Moje źródła donoszą, że przed tygodniem posprzeczali się o zamówienie pacjenta.

– Pani ma jakieś „źródła”? – zapytałem.

– Ludzie nam mówią różne rzeczy – stwierdził Xiang.

– Domyślam się, że te informacje nie są tanie – zauważył Cohen.

Xiang nie odpowiedział.

Nagle z korytarza dobiegł głośny okrzyk Mathewsa.

– Nie pierdol mi tu, białasie!

– To ty się pierdol! – zabrzmiała równie głośna odpowiedź.

Nastąpiła eksplozja uderzeń, przekleństw i paskudnych ciosów pięści w twarz. Siedziałem jak sparaliżowany. Jednak inni wcale nie byli tym oszołomieni.

– Czas działać – rzucił Xiang i wcisnął przycisk osobistego alarmu przy biodrze, dodając do istniejącego tumultu ryk syren, a wraz z nim migające światła. Wszyscy, razem z Cohenem, wstali, Xiang otworzył drzwi i cały personel włączył się do akcji.

Z jakiego źródła ci dzielni ludzie czerpali siły – pozostaje dla mnie tajemnicą. Ja ich nie miałem. Oszołomiony gwałtownością bijatyki stałem jak skamieniały przy drzwiach. W całym oddziale – jak się wydawało – wszyscy się bili.

Mathews, z którego nosa tryskała fontanna krwi, wyrównywał porachunki z Shawnem Carverem, zwalistym młodym białym mężczyzną. Jego lewe oko

było prawie zamknięte opuchlizną policzka. Xiang i Hancock powalili Boudreaux na podłogę. Blisko ich stóp leżał już na podłodze Cohen i teraz usiłował się podnieść. Trójka członków personelu otoczyła Cervantesa i Honga, obezwładnili ich, a potem wrócili i rzucili się w wir rozdających ciosy rąk i kopiających nóg.

Mathews szerokim prawym sierpowym rąbnął Carvera w policzek. Ten zatoczył się jak pijany, złapał równowagę, odskoczył i oddał cios. Pięść wielkości głazu wylądowała na szczęce Mathewsa. Runął na podłogę jak podcięty.

Oswobodzeni – Xiang i pielęgniarki – otoczyli Carvera niczym Liliputy Guliwera i przydusili do linoleum.

Mathews, z twarzą spływającą krwią na linoleum, z rykiem podkurczył nogi i uniósł się na kolanach. Cohen pochwycił mój wzrok i – chociaż nigdy potem nie potrafiłem tego wyjaśnić – obaj rzuciliśmy się w wir walki, powaliliśmy Mathewsa, a później padłem na bezładną kupę skłębionych ciał. Po upływie nieskończonego czasu ktoś szarpnął mnie za kołnierz i uwolnił. To był Cole, a za nim stał Bangban.

Bijatyka nie ustawała mimo obecności policji. Na plecy Bangbana wskoczył jakiś starszy mężczyzna i zaczął walić go pięściami po głowie. Oderwał go Xiang. Policjanci w końcu obezwładnili Mathewsa i zawlekli go do pokoju odosobnienia.

Xiang i Cohen podnieśli oszołomionego Carvera na nogi i oparli o framugę drzwi.

Xiang dezaktywował biodrowy alarm, zgasły światła i umilkły syreny. Wszyscy w jednej chwili uspokoili się.

W tym momencie Carver z siłą Herkulesa uwolnił się z rąk trzymających go członków personelu, wyrwał ze skarpetki wykonany z kawałka metalu domowej roboty ostry nóż i zaatakował nim Mathewsa.

Wszyscy zamarli, z wyjątkiem Xianga, który odwrócił się, rzucił na Carvera i taranując go, popchnął silnie na pobliską ścianę. Chwycił go za rękę z nożem i uderzył o framugę drzwi. Nóż z brzękiem upadł na podłogę.

Xiang zablokował rękę, obrócił się i chwytem jujitsu rzucił Carvera na podłogę. Policjanci znowu pokryli leżącego. Pochyliłem się i podniosłem nóż. Był to spiłowany fragment zawiasu do drzwi.

W ciągu dziesięciu minut wszystko na Oddziale C wróciło do normy. Carverowi zaaplikowano środek uspokajający, Carter i Mathews leżeli w pokoju odosobnienia. Zbadałem obu pod kątem urazu neurologicznego albo urazu twarzy. Po tym, jak dostatecznie się uspokoili, zaordynowano im prześwietlenie rentgenem.

Personel ulokował pacjentów w pokojach. Policjanci sfotografowali i skatalogowali nóż Carvera. Porządkowi przetarli mopami i zdezynfekowali podłogi, potem personel udał się do dyżurki pielęgniarek, żeby się umyć.

– Jak mogliśmy przeoczyć w czasie rewizji ten nóż? – zapytał Cohen.

– Zastanawiam się, co jeszcze przeoczyliśmy – dodałem.

– Przeoczyliśmy McCoya w czasie bójki – zauważył Cohen.

– McCoy jest zbyt cwany – stwierdził Xiang, myjąc twarz. – Wybiera tylko takie walki, w których wie, że może wygrać.

Xiang szybko obejrzał w lustrze swój spuchnięty policzek, potem wszedł do pomieszczenia za dyżurką, gdzie włączył komputer. Cohen, Kate Henry i ja obserwowaliśmy tę scenę.

– Ten człowiek jest wyjątkowy – stwierdził Cohen.

– Amen – równocześnie rzuciła Kate Henry.

Przed opuszczeniem oddziału natknąłem się na Hancock. Staliśmy blisko drzwi dyżurki pielęgniarek. Pocierała swoje ramię.

– Jest pani ranna? – spytałem.

– To nic takiego – odparła.

– Mogę panią o coś zapytać? – powiedziałem.

– Oczywiście.

– Czy zraniła się pani tu, w czasie pracy? I dlatego poszła pani na zwolnienie?

– Sześć miesięcy temu – odparła Hancock – podczas rewidowania pacjenta doznałam uszkodzenia stawu barkowego

– Współczuję – rzekłem i dodałem: – Ale teraz już wszystko w porządku?

– Chyba tak... – odparła Hancock, uśmiechając się.

Odwzajemniłem się też uśmiechem.

– Pozwoli pani, że zadam jeszcze jedno pytanie?

– Naturalnie.

– Dlaczego pani tu wróciła?

Hancock przez chwilę milczała.

– Zanim panu odpowiem, proszę i mnie pozwolić o coś zapytać – powiedziała uprzejmie.

– Proszę pytać.

– Jest pan religijny?

– Urodziłem się w Utah – odpowiedziałem niepewny, do czego zmierza. – Pochodzę z rodziny religijnej.

– Ja nazywam pracowanie w tym miejscu pracą dla Jezusa – oświadczyła Hancock. – Często pytam ludzi, czy wiedzą, że Jezus wróci pewnego dnia i zechce się z nimi spotkać. Gdzie wtedy będą?

Spojrzałem w okno dyżurki. Burns wolno jechał na wózku inwalidzkim, nerwowo gestykulując i coś do siebie mrużąc.

– Kto się o nich zatroszczy? – zapytała Hancock.

Klepnęła mnie w ramię i wyszła z dyżurki.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co powiedziała. Nagle przypomniałem sobie, co mam jeszcze do zrobienia – musiałem znaleźć Toma Caruthersa.

Siedział sam na kanapie w pokoju dziennym, dużym pomieszczeniu oddziału, w którym pacjenci gromadzili się na pogawędki, gry planszowe i oglądanie telewizji. Telewizor był włączony na Fox News.

– Panie Caruthers – rzekłem, wchodząc do środka. – Możemy wyjść do holu i porozmawiać?

– Obiecywał pan porozmawiać we czwartek – odrzekł, nie ruszając się z miejsca.

– Przykro mi – odpowiedziałem – ale sprawy potoczyły się gorzej, niż

myślałem...

Caruthers odwrócił się od telewizora i wstał. Cofnąłem się. Niemal zapomniałem, że jest aż taki wysoki.

– Nie naprawi pan tego, co zdarzyło się w czasie przeszukiwania – splunął i postąpił krok do przodu.

Moja ręka powędrowała do przycisku osobistego alarmu.

– Bardzo mi przykro – powtórzyłem.

Caruthers zatrzymał się.

– O czym pan chce ze mną rozmawiać? – ostatecznie zapytał z westchnieniem. Jego żywy temperament zbliżał się do epizodu depresyjnego. Taki właśnie był Caruthers. Cierpiał na to, co nazywano „gwałtownymi cyklicznymi zaburzeniami dwubiegunowymi” – chorobę charakteryzującą się szybszymi niż standardowe dwubiegunowymi zaburzeniami zmian nastrojów. Zmiany te mogą zachodzić w ciągu jednego dnia, albo nawet godziny, od stanów kompletnej apatii do gwałtownych wybuchów. Wiedziałem, że u niego było to ściśle monitorowane. W przeszłości takie zmienne stany psychiczne powodowały napływ myśli samobójczych.

– Pójdziemy do pokoju konferencyjnego – zasugerowałem.

– Okej – zgodził się Caruthers. – I niech pan odsunie rękę od alarmu.

Zajęliśmy miejsca po dwóch stronach stołu konferencyjnego. Gdy patrzyłem na niego teraz, po tak długim czasie, nieoczekiwanie wzbudziły się we mnie te same uczucia, których doświadczałem przed dwudziestoma laty. Nie widziałem w nim dorosłego mężczyzny. Znowu był tym dawnym, zbuntowanym nastolatkiem, tak bardzo zwariowanym na punkcie potrzeby dodawania mu otuchy i okazywania współczucia. Widziałem też w nim bardziej starego przyjaciela niż pacjenta. Może też w pewnym sensie kogoś w rodzaju dorosłego syna.

– Tom, powiedz mi, co się takiego stało, że tu trafiłeś? – zapytałem.

Caruthers przez moment milczał.

– Ożeniłem się, doktorze – zaczął. Barometr jego nastroju rósł. Mówiąc



łagodnym tonem, obaj bardzo wolno cofnęliśmy się o te dwie dekady. – To była pomyłka. Ta kobieta przez te wszystkie lata była dla mnie tylko udręką. Czy pan wie, ile nieszczęść mogą sprowadzić na mężczyznę pewnego rodzaju kobiety?

– Wyobrażam sobie – stwierdziłem.

– W każdym razie – kontynuował Caruthers – pewnego dnia, jak zwykle gdy koło południa zaczęła pić, bardzo szybko zaczęła też kłapać pyskiem na pełnych obrotach. Jak ta dama potrafiła kłąć! Pan nigdy nie słyszał takich słów. Biliśmy się cały dzień. Wieczorem sprawy przybrały naprawdę zły obrót. Czułem się sprany jak szmaciana lala. A potem – dobrze pamiętam ten moment – o 22.23 na kuchennym zegarze, po tych wszystkich latach i po tych wszystkich gównach, którymi mnie obrzuciła, ostatecznie miałem już dość. Więc ją zabiłem. Walnąłem w głowę dechą dwa na cztery, a potem pokroiłem kuchennym nożem, zapakowałem wszystko do plastikowych worków na śmieci i umieściłem w bagażniku mojego samochodu. – Potrząsnął głową. – Może pan w to uwierzyć?

Wpatrywałem się w Caruthersa w milczeniu. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Jego opowieść wprawiła mnie w otępienie. To było przerażające. Caruthers był mordercą.

– Tydzień później odleciałem i zatrzymałem się dopiero na czerwonym świetle – ciągnął niewzruszenie. – Potwornie śmierdziało. Gliniarze otworzyli bagażnik. No i mnie dostali.

– Kto ci przepisywał lekarstwa? – zapytałem niepewnie.

– Do diabła, nikt – odparł Caruthers. – Przecież wiesz, doktorze, jak mogę świrować, kiedy nie biorę lekarstw. A to nie jest najbardziej szalona część tej historii.

– Więc co nią jest? – zapytałem ze zgrozą. Uczucia, jakimi darzyłem Caruthersa, zawsze były skomplikowane, teraz jednak zabrakło mi słów, żeby je opisać.

– Od chwili mego przybycia do tego miejsca – mówił dalej – przestałem pić i brać narkotyki. Pracuję razem z tutejszą załogą. Co niedzielę gram w kosza

i trzy razy w tygodniu biegam. Teraz jestem w najlepszej kondycji w życiu. Jestem członkiem samorządu Oddziału C. Moja stała dziewczyna przebywa tu, w skrzydle A. Do diabła – ciągnął, rozkładając szeroko ręce – gdybym wiedział, że wyślą mnie do takiego miejsca jak to, zabiłbym tę kobietę dziesięć lat wcześniej.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oficjalnie dołączyłam do kakofonii tych obrzydliwych sukinsynów...

BETSY LERNER, AUTORKA „FOOD AND LOATHING: A LIFE MEASURED OUT IN CALORIES”

IDĄC W PIĄTEK RANO na odprawę, wiedziałem, że mam mało czasu. Jeszcze przedtem planowałem rozmowę z Cohenem, ale uświadomiłem sobie, że będę musiał ją przełożyć.

– Wychodząc z pracy wieczorem w ostatni czwartek – oznajmiłem, gdy tylko wszyscy zajęli miejsca – widziałem kogoś poruszającego się za budynkiem oddziału. Powinienem donieść o tym wcześniej.

– Co się stało? – spytał Xiang.

– Ktoś sprzedał komuś karton paczek papierosów.

– Kupił go pacjent? – zapytała Palanqui.

– Być może. Było ciemno – odparłem.

– To bardzo poważna sprawa – stwierdził Xiang. – Zawiadomimy zaraz policję szpitala.

– Widziałeś, kto sprzedawał? – zapytał Cohen, jednak niczego nie mogłem wyczytać z jego nieruchomej twarzy.

– Stali w cieniu, poza kręgiem światła lamp na ogrodzeniu – odpowiedziałem.

– Ja też wtedy wyszedłem późnym wieczorem – oświadczył Cohen. – Spotkaliśmy się na parkingu. Pamiętasz? – Skinąłem głową. – Ja nic nie widziałem – kontynuował Cohen. – Ale tego rodzaju przypadki mają tu

miejsce. Jakoś dostarcza się tu kontrabandę.

– Powiadomiłam policję szpitala – wtrąciła Kate Henry. – Proszę nikomu o tym nie mówić. Niech się tym zajmą odpowiednie służby.

– Nie ma sprawy – odparłem.

– Oczywiście – dodał Randy.

Narada trwała, jakby nic się nie stało. Była to umiejętność, którą szybko sobie przyswoiłem.

– Czy tylko ja odnoszę takie wrażenie – stwierdziłem tego dnia po południu w dyżurce pielęgniarek – że dziś na oddziale panuje dziwna atmosfera?

Cohen kiwnął głową w kierunku pacjentów wychodzących na dziedziniec. Uśmiechali się i rozmawiali. McCoy, mijając dyżurkę, pozdrowił nas kiwnięciem ręki.

– Zauważyliście coś dziwnego? – zapytał Xiang.

– Nie tłuką się po pyskach? – podsunął Cohen.

– Niosą Biblię – rzekł Xiang. – Czy to zły znak?

– Jakiś problem z tą Biblią? – spytałem.

– Każdy ma Biblię – odparł Xiang. – Kryją w nich wszystko, co złe.

– Narkotyki, religię mas – wtrącił Cohen.

– Raz w miesiącu, w piątek wieczorem, w szpitalu jest msza – wyjaśnił Xiang. – Uczestniczą w niej pacjenci z wszystkich oddziałów. Duży problem.

– Myśli pan, że jest coś złego w chodzeniu do kościoła? – spytałem.

– Zawsze jest – odparła Palanqui. – Handel narkotykami, bójki, seks, pieniądze, papierosy. Normalka.

– I to wszystko w kościele? – pytałem z niedowierzaniem.

Personel patrzył na mnie jak na idiotę.

– No cóż... – Cohen udał śmiertelną powagę – to zły kościół.

– Nie można temu zapobiec? – spytałem.

– Piątkowa msza wieczorna to najważniejsze wydarzenie miesiąca – stwierdził Xiang. – Jeżeli ją zlikwidujemy, z pewnością będziemy tu mieli bunt.

– A ci z wydziału praw pacjenta twierdzą, że przeszukiwanie Biblii to łamanie prawa do prywatności. Zrobisz to, a dobiorą ci się do dupy – wtrąciła Monabong. – Do końca życia będziesz miał zszarganą opinię.

– Więc co powinniśmy zrobić? – zapytałem.

– A co możemy zrobić? – odparł pytaniem Xiang.

McCoy, jakby czegoś zapomniał, cofnął się i zboczył do dyżurki pielęgniarek. Zatrzymał się, przycisnął Biblię do piersi i wzniosł oczy ku niebu. Następnie ryknął śmiechem i ruszył dalej.

– Któregoś dnia potknie się – rzucił krótko Xiang.

– Wtedy zobaczymy, kto się będzie śmiał – dorzucił Cohen.

Tego popołudnia odebrałem w gabinecie telefon z oddziału.

– Jest tu detektyw Levin i chce się z panem widzieć – rzekł Xiang.

Byłem właśnie zajęty wypełnianiem tuzina dziennych kart pacjentów.

– Może przyjdzie do mnie, tu do gabinetu?

Xiang odpowiedział po chwili:

– Nie. Pan ma przyjść do niego.

– O co chodzi...? – Ale Xiang już się wyłączył.

Skierowałem się na oddział, nerwowo dzwoniąc kluczami w kieszeni. Wszedłem do dyżurki pielęgniarek.

– Doktor Seager? – spytał wysoki mężczyzna w białej koszuli z krótkimi rękawami, w szarych spodniach i krawacie. Spojrzałem na jego obuwie. Słyszałem coś o nazwie „buty gliniarza”, jednak nigdy jeszcze nie widziałem takich prawdziwych butów. Czarne oksfordy z zaokrąglonymi czubkami, zapewne kryjącymi stalowy pancerz, z wysokim korkiem, nieco za bardzo wyświecone. Policyjne buty.

– Jestem detektyw Levin – rzekł i podaliśmy sobie rękę.

– O co chodzi? – spytałem.

– Wróćmy do pokoju konferencyjnego – rzekł Levin i wyszliśmy z dyżurki.

Doskonale wiedział, gdzie się mieści pokój konferencyjny. Zajęliśmy miejsca po dwóch stronach drewnianego stołu. Tak jak sierżant Joe Friday z *Dragnet*, Levin też wyjął mały notes oraz gruby krótki ołówek.

– Jeśli dobrze zrozumieliśmy, widział pan członka personelu sprzedającego pacjentowi karton paczek papierosów – zaczął.

– Minionego czwartku wieczorem za Oddziałem C – potwierdziłem – widziałem kogoś, kto mógł być członkiem personelu i sprzedał komuś coś, co wyglądało jak karton paczek papierosów.

– Powiedział pan, że to był członek personelu – odparował Levin. Nie spodobał mi się ton jego głosu.

– Nie wiem, kto to był. To mógł być ktoś z personelu.

Levin przekartkował wstecz mały notes. Wyciągnął go na długość ręki i użył ołówka jako wskaźnika.

– Tu wyraźnie widnieje „członek personelu” – rzekł. – Zmienia pan poprzednią wersję?

Czułem, że zaczyna mi walić serce.

– Co? Nikomu o tym nie mówiłem. Pani Kate Henry telefonowała do pana w tej sprawie.

Levin sprawiał wrażenie zdziwionego, ale przez chwilę milczał. Był dobrym detektywem. Jeżeli coś przeszkrobałem, to i tak prędzej czy później pękne.

Ostatecznie ustąpił.

– Może ma pan rację. Pani Henry nie wspomniała o tym. – Odetchnąłem. – Powiedział pan pani Henry, że widział członka personelu sprzedającego papierosy pacjentowi?

Skupiłem całą uwagę.

– Nie ma znaczenia, co komu powiedziałem – odparłem. – Widziałem kogoś sprzedającego komuś za budynkiem Oddziału C coś, co wyglądało na karton paczek papierosów.

– Może pan opisać którąś z tych osób? – Levin zapytał oficjalnym tonem i przez następne piętnaście minut podawałem mu możliwie najwierniejszy opis. Levin zanotował najistotniejsze szczegóły, potem zamknął notes i wstał. Potrząsnąłem wyciągniętą rękę.

– Jeżeli coś pan sobie przypomni – rzekł – albo zobaczy pan coś jeszcze, czy

ktoś powie panu coś o tym, proszę do mnie zadzwonić.

– Nie omieszka – zapewniłem go z ulgą. Potem przyszło mi coś na myśl.

– Pamięta pan pacjenta nazwiskiem McCoy? – zapytałem.

– Tego olbrzyma. Z wytatuowanym na czole napisem „piekło” – odparł Levin. – Pobił krzesłem pacjenta.

– Czy został postawiony w stan oskarżenia?

Levin milczał.

– W tej sprawie trwa śledztwo – rzekł i ruszył do wyjścia.

Odwrócił się w otwartych drzwiach pokoju konferencyjnego.

– Jeszcze jedno – dodał. – Pan chyba wie, że taki handel papierosami to ciężkie przestępstwo. Winien takiego przestępstwa może stracić pracę i zostać skazany na długoletnie więzienie.

– Teraz już wiem – odpowiedziałem i też wstałem.

– Praca w policji to dziwne i zabawne zajęcie – zwierzył się Levin z rozbajającym uśmiechem. – Bywa, że ten, kto włączy alarm pożarowy, sam wzniecił ogień.

Wyszedł, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

\* \* \*

Minął mój pierwszy tydzień w Gomorze. W sobotę rano, gdy wyruszyłem z Ingrid na przejażdżkę rowerową w pobliskie góry, żona zapytała mnie o wrażenia z pracy. Zatrzymaliśmy się, zsiadliśmy z rowerów i rozłożyliśmy się na ziemi.

– Mnie się wydaje, że w Gomorze wszyscy są pomyleni – zacząłem. – Personel jest tak samo świrnięty jak pacjenci. Szkoda, że ich nie widzisz. Rzucają się do walki ze skazańcami albo pacjentami, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Na korytarzu dwóch osiłków rozkwasza sobie gęby pięściami wielkości szynek. Krew tryska na ściany, a ja nie mogę się ruszyć z miejsca. A jednak cały personel – pielęgniarki, terapeuci, psycholog – wszyscy dają nura w samo jądro walki. Pan Xiang – przełożony pionu pielęgniarskiego – bierze na siebie najgorszego bandziora.

Na twarzy Ingrid ukazał się wyraz grozy. Widziałem go przedtem tylko kilka razy.

– Nie wiedziałem, że... – zacząłem.

– W porządku. Już dobrze – przerwała Ingrid. – Jest coś jeszcze?

Kontynuowałem. Rewizje. Noże własnej roboty. Różnego rodzaju przestępstwa. Bójki, takie jak Mathewsa z Carverem. Rozlew krwi. Terror. McCoy. Caruthers („On jest okej – sądzę, że mordercy znają nas lepiej niż my ich”). Komputer. Mój gabinet. Kate Henry. Zarząd. Doktor Tom. Xiang. Ben Cohen.

– I ten paw próbujący dziobać mnie w nogę – mówiłem dalej. – Tam każdego dnia toczy się prawdziwe życie, realny Mortal Kombat. Ale szalenie niebezpieczny.

– To wszystko? – spytała Ingrid.

– Nie dość tego? – Nie wspomniałem o grożeniu mi śmiercią przez Cervantesa, o pobiciu Luelli czy detektywie Levinie i jego zawołowanych insynuacjach. Ledwo mogłem o tym myśleć.

– Już dość.

Ingrid milczała przez chwilę.

– Nie spałeś przez cały tydzień – powiedziała w końcu. – John jest zdenerwowany, nawet psy zachowują się nerwowo.

– Tak, zauważyłem, że są nieswoje – potwierdziłem.

Ingrid wstała, przeszła kilka kroków i spojrzała w dół, w dolinę.

– Dlaczego tam wróciłeś? Dlaczego chcesz pracować w takim strasznym miejscu? – pytała.

– Potrzebujemy pieniędzy.

– Tu nie chodzi o pieniądze – zauważyła Ingrid i odwróciła się do mnie. – Nie wiem, o co chodzi, ale to nie są pieniądze. Nikt nie wystawia się na takie niebezpieczeństwo tylko dla pieniędzy.

Przez chwilę milczałem.

– Nigdy przedtem nie znalazłem się w podobnej sytuacji – stwierdziłem. – Nie lubię porzucać zespołu. Właśnie ich poznałem i wydają się naprawdę



dobrzy. A ten oddział bardzo potrzebuje lekarza – zakończyłem cicho.

– Kocham cię i chcę cię wesprzeć – powiedziała Ingrid. – Jednak teraz nie wygląda to dobrze.

– Rozumiem – odpowiedziałem.

Ingrid wróciła do roweru i wskoczyła na siodełko.

– Co myślisz o tym, żeby poczekać jeszcze dwa tygodnie? – zapytała. – To chyba będzie fair, prawda? – Zapięła pod brodą pasek kasku rowerowego i skierowała się w dół wzgórza.

– Dwa tygodnie – powtórzyłem..

– Chyba, że pan Piekło-Na-Twarzy przedtem wybije ci z głowy cały zdrowy rozsądek.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wciąż dniem i nocą krzyczał, tłukł się kamieniami w grobach...

EWANGELIA WG ŚW. MARKA 5,5

A Jezus zapytał go: „Jak ci na imię?”. On odpowiedział: „Legion”, bo wiele złych duchów weszło w niego...

EWANGELIA WG ŚW. ŁUKASZA 8,30

NA ODDZIALE C BARDZO CZĘSTO działy się rzeczy niezwykle. W ciągu następnych dwóch tygodni płynął niemal nieustający strumień chaosu i alarmów. Brałiśmy udział w całej serii bójek – zwykle wybuchających w stołówce. Miał też miejsce bardzo przykry wypadek molestowania seksualnego przez notorycznego maniaka seksualnego, Gomeza, który chwycił Palanqui, wywlókł przez drzwi dyżurki pielęgniarek i usiłował ściągnąć z niej spodnie. To wywołało niemal bijatykę. Pacjenci byli tak samo podnieceni i wściekli na Gomeza jak personel i chcieli go zabić.

Palanqui, poważnie zaszokowana, została zwolniona do domu, jednak – co zdumiewające – wróciła do pracy po dwóch dniach.

– Nie ma pracy, nie ma pieniędzy – tego drugiego czwartku usprawiedliwiała się wszystkim dookoła.

Xiang źle odbierał te incydenty. Miał teraz pielęgniarki skrzywdzone zarówno fizycznie, jak i psychicznie, co dla niego osobiście było ogromnym problemem. Nie rozmawiał na ten temat, ale wyraźnie był wściekły.

Potem jednak wydarzyło się coś niezwykłego.

– Panie McCoy, jest pan spóźniony na lunch! – zawołał Xiang w korytarzu oddziału, gdy inni pacjenci zniknęli już w drzwiach stołówki.

– Przepraszam, dziękuję – odrzekł McCoy, chwytając spojrzenie Xianga.

Nerwowo założył niebieską koszulkę, a potem podszedł do drzwi oddziału, które Randy trzymał otwarte.

Po rozdaniu i zaaplikowaniu lekarstw tego piątkowego poranka Mathews dostrzegł na podłodze bezpieczną pigułkę. Pochylił się, podniósł ją, przytrzymał w palcach i pokazał Palanqui, widocznej w otwartej górnej części dwuczęściowych drzwi pokoju z lekarstwami.

– Pani to zgubiła – rzekł Mathews i położył pigułkę na wyciągniętej dłoni Palanqui.

Później Carver zderzył się z Mathewsem w korytarzu. Zamarłem, stojąc za oknem dyżurki pielęgniarek. Jednak, po błysku krótkiego spięcia, Mathews rzekł:

– Przepraszam. – I obaj poszli dalej swoją drogą.

Boudreaux rozmawiał z Randym.

– W poniedziałek wieczór zaprosił mnie na wspólne oglądanie meczu Gigantów w pokoju dziennym – powiedział Randy. – Grają z Dogersami. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto wiedziałby więcej o baseballu niż on.

– Dlaczego teraz wszyscy są tu tacy mili? – zapytałem.

– Ja temu nie ufam – rzucił Cohen. – Ci faceci to zawodowi matacze. Kręcą. Zawsze coś ściemniają.

Obok nas przeszła niezauważona Larsen.

– Ci faceci to dno dna – stwierdziła. – Zabili swoich rodziców albo jakieś dzieci, czy też zgwałcili całą kolekcję obcych ludzi. Oni robili takie rzeczy, za które nikt nigdy nie odpokutuje, a mimo to nadal są istotami ludzkimi.

– Jeśli tylko masz naprawdę słabą definicję „istoty ludzkiej” – stwierdził Cohen.

– Pacjenci w Gomorze i tutejszy personel tkwią zamknięci w kręgu tego samego szalonego tańca – kontynuowała Larsen. – Czy nie zalewa cię fala

bezsilności, gdy wkraczasz na oddział? Czują to też pacjenci. Tylko że oni tu mieszkają. Co rano budzą się w tym koszmarze. Tkwią w nim przez dwadzieścia cztery godziny każdego dnia w tygodniu.

Larsen opuściła wzrok na podłogę.

– Nie można się ciągle bać. Codziennie, w każdej minucie. Każdy z nas tworzy swoją własną historię, mówiącą o tym, dlaczego tu pracujemy, dlaczego tu wracamy i dlaczego nie jest aż tak źle. Pacjenci też tworzą na ten temat własne legendy. Jednak gdy eksploduje przemoc, rujnując tę pieczołowicie stworzoną fasadę, znowu stajemy oko w oko z twardą rzeczywistością, że wszyscy tkwimy razem zamknięci w tym wariatkowie.

– Rozumiem – wtrącił chłodno Cohen – że tą twardą rzeczywistością jest fakt, iż ci wszyscy faceci nie dostali tego, na co zasłużyli.

Minęli nas Cervantes i Hong, trzymając się za ręce.

– Tak, nie dostali – zgodziła się Larsen. – I my musimy się zmagać z tym niezwykle ważnym dylematem. W tym równaniu sprawiedliwość nie jest istotnym czynnikiem. To podstawowy problem – dobro lub zło. Stan Kalifornia wysyła tych ludzi tu na leczenie, a oni odpłacają się nam, odrzucając je. Tu wszyscy się targują. Oni szpital uważają za więzienie, my zaś traktujemy go jako źródło zarabiania pieniędzy. I wszyscy, jak tylko potrafimy, próbujemy przebrnąć przez każdy kolejny dzień. Wszystko zależy od kontroli – kontynuowała Larsen. – Tu każdy, pacjenci i personel, wierzy w tę kontrolę. Lecz przemoc ujawnia, jak bardzo jest złudna. I to właśnie najbardziej nas niepokoi. Pacjenci cierpią tak samo jak my.

– Może tylko jeden dzień – wtrącił Cohen.

– To prawda – odparła Larsen. – I pewnie dlatego Mathews zwrócił pigułkę. Dlatego nie pobił się z Carverem. I dlatego Boudreaux skupia się teraz na baseballu. Oni chcą odzyskać normalną równowagę psychiczną.

Cohen po chwili zwrócił się do Larsen:

– Ja jednak ciągle nie ufam tym facetom – rzekł. – Bez względu na to, co powiesz.

Larsen uśmiechnęła się.

– Ufam im tak samo jak ci studenci, którzy zrzucili pianino z dachu, myśląc, że się nie rozwalą – oświadczyła i wyszła z dyżurki pielęgniarek.

W ciągu piątkowego przedpołudnia Oddział C wrócił do stanu normalnego. Jednak kiedy pacjenci ustawili się na lunch w kolejce u wejścia do stołówki, dwóch słabych pacjentów – Oliver Burns, chudy, stary Murzyn, i Manuel Ortega, współlokator Caruthersa – zaczęło się bić, usiłując wcisnąć swoje fotele inwalidzkie na kółkach w to samo miejsce. Burns nieumyślnie najechał na stopę Carvera.

– Co, do kurwy nędzy! – wrzasnął Carver i skacząc na jednej nodze, trzepnął Burnsa w potylicę. Burns rzucił się do przodu, twarzą do podłogi i zsuwając się z fotela, runął na podłogę z głuchym łomotem.

– Cholerny głupiec – stwierdził Carver i z wściekłością kopnął fotel Burnsa.

Rozwścieczony Ortega cofnął swój fotel i z rozmachem staranował kolana Carvera, posyłając go na podłogę.

Włączyłem swój alarm. Ryknęły syreny. Nastąpiło krótkie zamieszanie. Personel opanował je i zaskakująco szybko zapanował spokój. Carvera zawleczono do pokoju odosobnienia. Xiang pospieszył z gotową strzykawką. Podniosłem razem z Cohenem Burnsa i usadowiliśmy go na fotelu.

Próbowałem obmacać Burnsa, żeby zbadać, czy nie doznał jakichś złamań, ale odtrącił moją rękę.

– Nic mi nie jest. Chcę tylko zjeść lunch – warknął.

– Proszę mi pozwolić... – nalegałem.

Burns jeszcze silniej odtrącił moją rękę.

– Pieprz się! – rzucił z gniewem. – Otwórz mi tylko te cholerne drzwi. Jestem głodny.

– Rozmawialiśmy z Carverem – rzekł Cohen, zwracając się do Burnsa. – To się już nie powtórzy.

– Carver nic mi nie zrobił – odparł Burns. – Po prostu zsunąłem się z fotela na podłogę. Nic mi nie jest. Otwórzcie te pieprzone drzwi.

Czasami zapominałem, że mimo ich wieku i szpitalnych strojów, ci starsi

pacjenci ciągle są skazańcami. A skazańcy nie donoszą na siebie. Wymieniłem spojrzenia z Cohenem i otworzyłem drzwi.

Tego wieczoru późno wyszedłem z pracy. Miałem zaległości w wypełnianiu kart pacjentów i postanowiłem je nadrobić. Było ciemno, gdy otwierałem drzwi oddziału i wychodziłem na chłodne nocne powietrze.

Nocny spacer główną drogą był surrealistycznym doświadczeniem. Otoczenie tętniącą grozą psychozą i nieustannie trwającym chaosem, zamknięcie za niepokonalnym ogrodzeniem, to wszystko sprawiało, że poczułem się klaustrofobicznie. Przyspieszyłem kroku.

I nagle poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła. W połowie drogi do punktu kontrolnego za mną z ciemności błysnęła para samochodowych reflektorów. Skręciłem w bok, ale nie zwolniłem. Samochód jechał wolno, nie tak szybko, żeby mnie wyprzedzić. Kiedy znalazł się w kręgu światła lampy ulicznej, zobaczyłem, że był to pojazd policyjny.

Może fakt, że przebywałem na zamkniętym wysokim ogrodzeniu terenie, a może ta duszna ciemność, jednak widok tego samochodu sprawił, że poczułem, jak cierpnie mi skóra.

Nadal nieprzerwanie szedłem, starając się unikać świateł reflektorów, myślałem o detektywie Levinie i kartonie papierosów.

Samochód policyjny jechał za mną aż do punktu kontrolnego i gdy wszedłem na krawężnik, wolno skręcił, kierując się na boczną drogę do kaplicy katolickiej.

Wsiadłem do mojego auta i zapuściłem silnik. Odetchnąłem z ulgą, spoglądając w lusterko wsteczne. Moje czoło zroszone było kropelkami potu. Rozejrzałem się i uniosłem wzrok na spiralne walce z drutu kolczastego na szczycie muru szpitala. Błyszczały w świetle księżyca. Po chwili byłem już zdolny nazwać to, co czułem. Śmieszna ulgą, że znajduję się już poza bramami Gomory.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Okej chłopcy, sparować się trójkami.

MIŚ YOGI

W NASTĘPNYCH TYGODNIACH walczyłem ze sprzecznymi uczuciami dotyczącymi Gomory i zacząłem wykorzystywać pewnego rodzaju autopilota, z nadzieją, że sprawy potoczą się lepiej, albo że moja decyzja kontynuowania pracy w szpitalu lub opuszczenia go zostanie przez niego podjęta za mnie. Potem, w niewytłumaczalny sposób, odczułem ulgę i zacząłem się rozglądać.

Przyjrzałem się bliżej pacjentom na fotelach inwalidzkich. Obserwowałem, jak Ortega walczy, przeciskając się przez zatłoczony korytarz. Zauważyłem, jakich trudności doświadczał Burns, manewrując swoim fotelem po sali stołówek. Zaczynałem już rozumieć, jak bardzo obaj byli narażeni na skrzywdzenie i jak potwornym miejscem był dla nich – tak jak i dla mnie – Oddział C, z którego ja jednak mogłem w każdej chwili wyjść, ale oni musieli zostać.

W tym całym ogólnym tumulcie zaczynałem dostrzegać wiele oznak zyczliwości. Pewnego poranka zobaczyłem, jak Hancock wypycha fotel Ortegi z rozgardiaszu, gdy pacjenci przed śniadaniem cisnęli się i rozpychali łokciami, walcząc o wejście do stołówki. Kiedy wszyscy w końcu przecisnęli się, przytrzymałem drzwi, aby mogła wepchnąć go bezpiecznie do sali. Widziałem też, jak Randy rzuca robotę i popycha fotel Burnsa na lunch tuż przed zamknięciem drzwi. Potem Randy biegł z powrotem do dyżurki

pielegniarek i bez słowa kontynuował przerwana pracę.

Pewnego wieczoru wyszedłem późno na korytarz, przystanąłem przed drzwiami pokoju konferencyjnego i zajrzałem do środka przez małe okienko. Kate Henry siedziała w odległym kącie pokoju razem z parą starszych ludzi. Mężczyzną był nasz pacjent, a kobietą ktoś z jego rodziny. Kobieta płakała cicho. Kate Henry chwyciła rękę kobiety i trzymała ją, kobieta drugą ręką objęła Kate. Obie siedziały w milczeniu.

Zauważyłem też wiele zatraconych w tym morzu nieznaczących psychicznie ludzi osób w podeszłym wieku, które kryjąc się gdzieś z tyłu, stałe przygarbione, tępo wpatrując się w podłogę. Niewielu – jeśli w ogóle byli tacy – coś mówiło. Przynajmniej tak mi się zdawało, gdy ich obserwowałem.

Znałem niektórych z nich, z tych starych bywalców, ponieważ opowiadał o nich Xiang. O ludziach, którzy byli tylko umysłowo upośledzeni. O tych, którzy przybyli do Gomory jeszcze przed wzniesieniem wysokich ogrodzeń, przed zjawieniem się tu przestępców. Zanim zostali na stałe otoczeni przez drapieżników.

Jeden ze starszych pacjentów na fotelu inwalidzkim przypominał mojego ojca.

– Kto to jest? – zapytałem kiedyś Xianga.

– To Alvin Washington – odparł Xiang. – Jest tu dłużej niż ja. Tak długo, że już nikt nie pamięta odkąd. Wydaje się, że jest tu tak długo, że obudowano go tym wszystkim, co tu teraz stoi.

– On pewnie nie waży więcej niż dziewięćdziesiąt funtów. Czy jest tu bezpieczny? – zapytałem.

– Nikt tu nie jest bezpieczny – stwierdził Xiang. – A Washington najmniej.

Z wielkim zaskoczeniem stwierdziłem – mimo okrutnej świadomości, jak straszne rzeczy zrobili moi pacjenci – że do niektórych z nich zacząłem odczuwać rosnącą sympatię; do tych morderców i gwałcicieli, którzy znajdowali się pod moją opieką medyczną.

Często prowadziłem rozmowy z Caruthersem. Mimo wiedzy, jak straszne



popęłnił morderstwa, odrzuciłem dawne animozje, jakimi go darzyłem. Ustaliliśmy pewien stały rytm – raz albo dwa razy na tydzień zasiadaliśmy do rozmowy i dyskutowaliśmy o tym, co czuje i jakie ma plany.

– Ma pan na myśli to, co ze mną będzie, gdy zostanę stąd wypisany? – zapytał z uśmiechem.

Potem wspominaliśmy chwile spędzone razem w hrabstwie Los Angeles. Rozmawialiśmy o Gomorze i wspólnych znajomych. Śmialiśmy się. Po jakimś czasie znaleźliśmy się w miejscu, od którego zaczęliśmy.

Hong, przechodząc, na nasz widok rutynowo zawsze się uśmiechał.

– *Buenos dias* – witał nas co rano Ortega.

Bill McCoy za każdym razem, gdy mijaliśmy się w korytarzu, zderzał się ze mną, robiąc „żółwika”. Nie pamiętam, jak i dlaczego zaczął się ten rytuał, lecz stopniowo stał się standardem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Po prostu zaczęliśmy to robić.

Nadal trzymałem się od Cervantesa na długość ręki. Nie zbliżał się do mnie, żeby porozmawiać. I ciągle, gdy się mijaliśmy, na mój widok klepał oprawki swoich okularów, żeby przypomnieć, co zamierzał mi zrobić.

Niektórzy starzy pacjenci, jak Burns i Washington, oraz wielu poważnie chorych na schizofrenię, nie pojawiali się na moim radarze – zamykali się w sobie i nie chcieli rozmawiać nawet wtedy, gdy zadawałem im pytania albo prosiłem o nie. Poza porą posiłku rzadko opuszczali swoje pokoje. Personel odczytywał ich nazwiska w czasie przeglądu pacjentów. Ja zaś czuwałem nad ich stanem fizycznym i psychicznym, jednak na nic więcej mi nie pozwalali.

Facet z obsesją radiową (NPR), był w swej zwykłej formie. Krążył tu i tam, był wszędzie, pozornie niezmęczony, okazując niezwykłą energię.

– Wszystko rozpatrzone, wszystko rozważono – niemal od miesiąca powtarzał to na koniec każdego zdania.

Zaczynałem coraz bardziej poznawać Raymonda Boudreaux – kiedy nie przepełniała go okresowa psychotyczna wściekłość, był wyszukanie grzeczny.

– Lubisz muzykę, doktorze? – zapytał pewnego popołudnia, gdy się

mijaliśmy. W tym momencie przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie.

– Lubię – odparłem i zatrzymałem się.

– Co pan myśli o jazzie nowoorleańskim? – zapytał. – Nie mam tu na myśli dixielandu. Pan wie, że są różnice.

Nic nie myślałem, ale powiedziałem, że wiem, o co chodzi.

– Jeżeli chce pan słyszeć prawdziwy jazz nowoorleański – nie te komercyjne śmieci Pete Fountaina, ale ten prawdziwy – kontynuował Boudreaux – to niech pan tu przyjdzie. Zaprezentuję panu Petera Streeta i posłuchamy Preservation Hall Band.

– To starsi faceci – zauważyłem.

– Oni teraz wracają – stwierdził Boudreaux. – Słodka Emma Barrett, Kid Thomas Valentine, oni się już nie liczą. Ciągłe pojawia się nowa grupa. I to one tworzą teraz prawdziwe podstawy klasyki jazzu.

– Brzmi interesująco – stwierdziłem. – Dziękuję za propozycję.

Boudreaux skinął głową i rozeszliśmy się.

Mimo tego, czego teraz byłem świadkiem, nadal rosło we mnie przerażenie Gomorą. Dotąd nigdy nie byłem tak bardzo przerażony. Mimo coraz to lepszego poznawania pacjentów, mimo cieplejszych do nich uczuć, nie mogłem pozbyć się przerażającego dźwięku pięści lądujących na twarzach i widoku mózgu Wilkinsa na podłodze. Tego rodzaju wspomnienia zdawały się przebijać wszystko.

\* \* \*

Pewnego popołudnia jadłem lunch razem z Cohenem.

– Próbuję określić rodzaj uczuć, jakie żywię do tego miejsca – oznajmiłem, gdy siedzieliśmy za ogrodzeniem przy metalowym stoliku piknikowym, racząc się meksykańskim jedzeniem, które kupiliśmy w mikrobusie stojącym przy krawężniku za trawnikiem. – Rozwazałem odejście. Żona twierdzi, że powinienem stąd odejść. Jednak nie jestem zdecydowany. Jak to odbierasz, mając więcej ode mnie doświadczenia?

– Mnie się tu podoba – odparł Cohen i rozpakował porcję burrito. – Wiem, że czyni mnie to dziwakiem, ale nic na to nie poradzę. Wychodzę stąd i czuję się, jakbym się przebudził, jakby otaczające powietrze było czystsze. Jedzenie ma lepszy smak. No, do diabła, nawet seks jest jakiś lepszy. Wiem, że to głupio brzmi, jednak nigdy w życiu nie czułem się tak jak teraz... po prostu czuję, że żyję!

– Masz rację, to rzeczywiście dziwactwo – odparłem zaskoczony wyznaniem Cohena. Ja nic takiego nie czułem.

W drodze do domu rozmyślałem o naszej rozmowie i wspominałem wszystkie wypadki, jakie miały miejsce w Gomorze od chwili, gdy zacząłem tu pracować, potem próbowałem dokonać przeglądu moich odczuć, a na koniec zacząłem myśleć o przyszłości. Kiedy zastanawiałem się nad pozostaniem w Gomorze, puls przyspieszał gwałtownie, kiedy zaś myślałem o porzuceniu tej pracy, natychmiast się uspokajał. W końcu podjąłem pozorną decyzję – postanowiłem odłożyć ten problem do czasu dyskusji z Ingrid, przed którą chciałem się przyznać do chęci porzucenia pracy. Nawet przygotowałem sobie wstępny tekst.

Już przed domem nabrałem głęboko powietrza i podszedłem do drzwi. Ingrid siedziała z Johnem w jadalni przy stole. Byli pogrążeni w rozmowie. U ich stóp leżały psy, Muller i Scully. Oboje się śmiali.

– Cześć, skarbie – przywitała mnie Ingrid. – Jak minął dzień?

Nie jestem w stanie wytłumaczyć, co nastąpiło później. I nie chcę nawet myśleć, jakie miało znaczenie. Po prostu opowiem o tym.

– Spokojnie – powiedziałem, zbliżając się do nich. – Co tam czytacie? Czyżbym też już zupełnie zdziwaczał?

\* \* \*

Praca w stanowym szpitalu, leczenie chronicznie chorych umysłowo – a w tym wypadku psychicznie chorych przestępców – w odosobnionym miejscu na głuchej prowincji, nigdy nie była atrakcyjna dla wykształconych i doświadczonych lekarzy amerykańskich. Zaczynając od Freudowskiej

psychoanalizy i jej kuszącego nacisku na seks i nieświadome popędy, przez ekscytujące dni nieformalnych i improwizowanych teorii psychoanalitycznych na temat chorób psychicznych – kiedy wydawało się, że psychiatria może rzeczywiście stać na straży zmian społecznych – w porównaniu z tym wszystkim bladły ponure szpitale stanowe i ich nieustannie chorzy pacjenci. Podobnie jak ogół społeczeństwa, trzy pokolenia amerykańskich psychoanalityków, psychoterapeutów i psychiatrów zapomniały o tych szpitalach.

W połowie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, gdy miała miejsce rewolucja biologiczna, uznano bezspornie, że choroby umysłowe mają pochodzenie strukturalne i genetyczne – podobnie jak wszystkie inne choroby – i kiedy ostatecznie stało się dostępne naprawdę skuteczne leczenie, było już za późno. Opieka nad naszymi najbardziej chorymi umysłowo była już „powierzana” lekarzom pochodzenia zagranicznego – i stało się to regułą. Większość stanowych szpitali psychiatrycznych, łącznie z Napa State, gromadziło geograficznie zróżnicowane rejony świata i różniące się społecznie środowiska.

Uwidocznilo się to szczególnie wtedy, gdy pewnego poranka w połowie września Monabong po odprawie wspomniała, że ekipa gwiazd ze stałego zespołu pacjentów letniej ligi baseballu wyzwala personel medyczny do stoczenia z nimi meczu kończącego sezon softballu.

– Świry przeciwko Konowałom – rzekł Cohen. – To mi się podoba.

Mnie też.

Tak więc w następny poniedziałek po pracy zgłosiłem się na boisko softballu – na trening zespołu medycznego. Stawiło się dwunastu lekarzy w stosownych ubraniach i butach, niektórzy w strojach hindi, urdu albo arabskich, a inni podkreślając akcenty angielsko-hinduskie. Łączyła ich, jak stwierdził Cohen, jedna wspólna cecha – nie mieli pojęcia o softballu.

Rękawice do gry zakładali z reguły na niewłaściwe ręce. Jeden z graczy, przystępując do ćwiczeń z pałką, zajął miejsce na bazie domowej. Inny trzymał pałkę w połowie długości. Medycy posyłali piłki uderzeniem pałki

z finezją osiemnastoletnich dziewcząt, aby potem niezręcznie i niecelnie ciskać je do najbliższej bazy. Często spadały im z głowy gogle, pękały spodnie... Dwa płaskie uderzenia sprawiły, że piłki nie zostały złapane. To był prawdziwy chaos. Ale nie dla Cohena.

– Grywałem w softball z braćmi – wyznał Cohen po odbyciu rundy do bazy i po kilku rzutach za linię drzew tworzących lewą granicę pola.

Ja wykonałem swoje rzuty poprawnie. Uprawiałem sport w szkole średniej i potrafiłem utrzymać swoją pozycję. Ale to wszystko, na co było mnie stać.

Następnego dnia po południu obserwowałem trening pacjentów. Wprawy w naszym narodowym hobby nabyli w czasie mieszczącym się gdzieś między chorobą umysłową a uwięzieniem. Szczególną bystrością zdawał się odznaczać Boudreaux. On i dwóch pacjentów z Oddziału D wyraźnie błyszczeli na polu. Konowały, co się wyraźnie rzucało w oczy, w tej grze nie były zdolne pokonać swoich przeciwników

W dniu meczu panował upał i spokój – było to jedno z tych wrześnieowych popołudni, dla których wymyślono softball. Słońce skryło się uprzejmie za chmurką, gdy szedłem wolno z Cohenem z Oddziału C na pole gry. Beztrosko paplaliśmy, idąc z butami piłkarskimi i rękawicami w rękach. Dotarliśmy do tafli szmaragdowej trawy pola gry, usiedliśmy na krawężniku i zmieniliśmy buty.

W tym czasie podjechał szpitalny mikrobus i wypuł drużynę Świrów – uporczywie tkwiące w nich wzajemne urazy tego dnia najwyraźniej ulotniły się i dwunastu ludzi szło, żartując, poklepując się i wygłupiając jak dzieci. Boudreaux założył kask.

– Piękny dzień na grę, panowie – rzekł. – Puszczamy pierwszą parę.

– On nie pasuje do pary – stwierdził Cohen. – Czy to nie on kiedyś zagnał cię do kąta i zagroził, że cię zabije?

– Słyszałeś o tym? – zapytałem.

– Palanqui prosiła wszystkich, żeby uważali na ciebie – dodał Cohen.

– Było mi to potrzebne – odparłem, wracając do tych dni pamięcią. – I ciągle jest potrzebne.

Z mikrobusu wyszło trzech ostatnich członków personelu, człowiek z NPR i trzech szpitalnych policjantów. Potem auto odjechało.

– Następne jest *Fresh Air* z Terryem Crossem – zaczął radiowiec. – A teraz wiadomości i informacje o ruchu ulicznym.

Cohen usiadł ze mną na naszej ławce biegnącej równoległe do linii trzeciej bazy, ławka Świrów zaś stanowiła lustrzane odbicie po stronie pierwszej bazy. Wolno dołączali do nas inni lekarze. W czasie gdy kolejno zjawiali się członkowie drużyny Świrów, z konspektu zapoznawałem się ze szczegółami gry w softballa i detalami dotyczącymi obowiązującego stroju. Członkowie drużyny przeciwników ubrani byli w ciemne spodnie i zapięte pod szyję koszule. Przynajmniej te dwie rzeczy mieli właściwe. My zaś prezentowaliśmy się jak żywe reklamy firmy Nike, nosząc nowiutkie białe buty do baseballu. No i nasi przeciwnicy założyli rękawice na właściwe dłonie.

Wszystkie oddziały szpitala miały zezwolenie na wzięcie udziału w kibicowaniu rozgrywce i mała trybuna na końcu pola była wypełniona błękitem. Podobna liczba widzów zgromadziła się wzdłuż linii bocznych. Dostrzegłem też McCoya Caruthersa, Mathewsa, Honga i Cervantesa z nowymi różowymi ręczniczkami w uszach – założonymi specjalnie na tę okazję – a także wiele osób z personelu Oddziału C, które siedziały po naszej stronie. Personel przemieszał się z pacjentami. Naliczyłem dziesięciu policjantów. Arbitrem był Sam Tillson, jeden z naszych elitarnych strażników. Zjawił się z ciężkim, brezentowym worem pełnym pałek i piłek, które wysypał na ziemię i rozdał.

Spotkałem się z Tillsonem i rozgrywającym Świrów na domowej bazie.

– Doktorze, w tym roku twoja drużyna będzie drużyną gospodarzy – oznajmił Tillson. – Panie Wilson – dodał, zwracając się do przeciwnika w błękitnym stroju – pańska strona uderza pierwsza.

Uścisnąłem dłoń Wilsona i wróciliśmy do naszych drużyn.

– Jesteśmy drużyną gospodarzy, więc uderzamy ostatni – oznajmiłem, następnie powtórzyłem to głośno, informując całą drużynę, i wyznaczyłem

każdemu pozycję na polu. – Okej, zaczynamy. – I z Cohenem zająłem też swoją pozycję.

Świry powędrowały na sąsiednie, wyznaczone im miejsca. Środkowozapolowy zajął pozycję pięć stóp za drugą bazą. Kiwnąłem mu, żeby się cofnął. Podbiegł i na murawie jego buty przypominały białe kości toczące się po zielonym suknie stołu w kasynie. Zająłem pozycję obrońcy, między drugą i trzecią bazą. Przy pierwszej bazie Cohen uśmiechał się zza rękawicy przy twarzy.

– Piłka w grze – krzyknął Tillson i ruszyliśmy do akcji.

Boudreaux, pierwszy miotacz Świrów, posłał wykręconą piłkę, która minęła pole i zaskoczono lewozapolowego Pakistańczyka. Obrócił się i obserwował, jak piłka pada gdzieś daleko. Ktoś wrzasnął:

– Bieg-nij! Las! Bieg-nij! – a po nim cała drużyna Świrów zaczęła skandować.

Zacząłem machać ręką niczym wiatrakiem.

– Pędź! Chwytaj ją! – krzyczałem.

Drobny mężczyzna w szarych flanelowych spodniach i porcelanowo białych butach odwrócił się i pognał jak szalony. Jednak nagle stanął jak wryty. Z krzaków wyskoczył z hałasem duży paw. Przestraszone ptaszysko z przerażeniem wpatrywało się w białą kulkę na trawie, a potem spojrzało na naszego zapolowego. Paw dziobnął piłkę, a potem stojąc wyprostowany, z rozłożonym szeroko ogonem, wydał z siebie skrzekliwy okrzyk. Po krótkiej chwili ptak zmęczony konfrontacją zmienił barwy i leniwie się oddalił. Nasz zapolowy skoczył do przodu, chwycił piłkę i – tak jak mu pokazywałem – przyłożył ją w dłoni do głowy w okolicy ucha i starał się rzucić nagłym wyrzutem ręki. Niestety, piłka nie wyleciała, tylko spadła za nim.

Mając Boudreaux na domowej bazie, nasz zapolowy chytrze rzucił piłkę do mnie. Upadła kilka stóp od mojej rękawicy. Świry zaczęły się więc w dzikich chichotach.

– Dobry miotacz – stwierdziłem.

Nasz lewozaporowy uprzejmie potwierdził i uśmiechnął się.

Mieliśmy jeszcze kilka podobnych katastrof proceduralnych, lecz wraz z rozwojem gry stopniowo było ich coraz mniej. Każdy odpowiednio trzymał pałkę, chociaż zbyt sztywno, jakby cierpiał na jakieś zaburzenie neurotyczne. Zaskakujące, ale miotacze posyłali piłki w wyznaczone miejsca na polu. Jednak w rzeczywistości większość piłek uderzano tak słabo, że ich łapacze z dużym wysiłkiem biegali, aby przed naszymi miotaczami dotrzeć do pierwszej bazy. Świry oczywiście szybko zaskoczyli i zaczęli rozgrywać swoimi zawodnikami tak blisko bazy domowej, że pod koniec meczu oni i miotacze mogli sobie niemal podać ręce.

Gra w toku. Cohen i ja zaliczyliśmy kilka rund. Na bazie znalazłem się dwa razy, gdy Cohen odbył gigantyczny bieg przez drzewa w lewym polu. Tłum szalał.

Świry pokazały kilka razy swą rzeczywistą naturę. Jeden z nich, ten, co myślał, że jest dziennikarzem radiowym, zdumiewająco zręcznie posłał piłkę między dwóch zapolowych, i zanim zdążyli się zorientować i odesłać piłkę, radiowiec z łatwością pognął do domowej. Był jednak tak podekscytowany, że zaczął po raz drugi okrążyć bazy. Cohen zebrał piłkę od naszego zaskoczonego miotacza, wybił między drugą i trzecią bazę i naznaczył przebiegającego radiowca. Wszyscy odwrócili się do Tillsona.

Otoczony podekscytowanymi psychopatami skonfrontowanymi z odzianymi w narodowe stroje dwunastoma międzynarodowymi lekarzami, Tillson natychmiast zawołał:

– Zapisane! – I tłum zgotował mu za to owację.

Następny rzut posłał piłkę za pole, daleko od bazy domowej i nasz środkowozapolowy pobiegł, chwycił, a potem rzucił prosto do Cohena, który zakręcił się i wybił piłkę do mnie, gdy dotarłem do domowej. Po drodze klepnałem przebiegającego przeciwnika i Tillson krzyknął prawidłowo „out!”.

Biegł Spencer z Oddziału B, duży mężczyzna, wyraźnie przyzwyczajony do osiągania celów. Po drodze opieprzył biednego Tillsona, ale chociaż w stanie podniecenia chwycił z ziemi pałkę, został szybko uspokojony przez członków



swojej drużyny.

Zerknąłem na Cohena, który nawet nie mrugnął okiem, i przez ułamek sekundy obaj zastanawialiśmy się, czy dawanie psychopatom do ręki kijów baseballowych to dobry pomysł. Zajęliśmy nasze pozycje.

Mecz miał szansę zakończyć się o czasie. Wynik zapewne będzie się kształtował blisko setki do pięciu – jednak i tak wszyscy spędzili miłe popołudnie i wszystko poszło dobrze. Największym kłopotem okazał się ten wojowniczy paw, chociaż i tak nie popsuł meczu. W ciągu pięciu inningów dwanaście, czy coś koło tego rzutów, sięgnęło zapola, co opóźniło grę.

Czekając na oczyszczenie pola, skierowałem się do linii, gdzie na naszej ławce siedzieli lekarze z Gomory.

– A tak przy okazji, skąd tu się wzięły te pawie? – zapytałem.

Wokół mnie rozwinęła się zagorzała dyskusja. W końcu ktoś odpowiedział:

– Nie mamy pojęcia. One po prostu były tu od zawsze.

W ostatniej rozgrywce tego meczu Spencer – ten, co opieprzył Tillsona – znowu wybił piłkę poza pole gry. Nasz zapolowy pobiegł po nią i rzucił w kierunku Cohena, który sprytnie ją przechwycił. Spencer bez trudu przekroczył domową, jednak został powstrzymany przez dobrze ustawionego Tillsona, który wydał następny okrzyk:

– Czas minął! – I spojrzał znacząco na zegarek.

Konowały zeszły z pola, Świry świętowały zwycięstwo, wszyscy ściskali sobie dłonie. Odwracając się, zobaczyłem Tillsona oddalającego się chwiejnym krokiem. Dwadzieścia kroków od siatki osłaniającej upadł twarzą w trawę.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Moje wnętrze kurczy się – niedobrze.

– Kim jesteś? – pytam głośno.

I on mówi to, czego się bałem od zabicia ojca Lestera.

– Jeszcze nie odgadłeś? Jestem tobą. Naprawdę tobą.

BONNIE SHIMKO, „YOU KNOW WHAT YOU HAVE TO DO”

KTOŚ KRZYKNAŁ, WSKAZUJĄC NA TILLSONA, i natychmiast wybuchło zamieszanie. W kierunku leżącego spłynęła masa błękitu, jak się okazało pozbawiona przedstawicieli personelu i ochrony.

– Dajcie mu dostęp do świeżego powietrza!

– Cofnijcie się!

– Pieprz się!

Przebiłem się przez tłum i ukląknęłam przy leżącym w trawie jęczącym i wijącym się Tillsonie. Obama rękoma usiłował niezręcznie dosięgnąć butelkę z lekarstwem, która właśnie potoczyła się poza ich zasięg. Podniosłem ją – nitrogliceryna.

– On ma atak serca – stwierdziłem.

Caruthers i McCoy stali w wewnętrznym kręgu otaczającego nas tłumy. Tillson zaczynał blednąć, jego oddech stawał się coraz płytszy, jęki słabły.

– Dzwonić 911! – krzyknąłem.

– Zrobione – odpowiedział ktoś z tłumy.

– Potrzebuję przestrzeni – warknąłem, ale mój głos zagłuszył chór

nerwowych bełkotów otaczających nas ludzi. Tłum gęstniał. Krąg wokół Tillsona zacieśniał się. I wtedy, w odległości pięciu stóp, zobaczyłem za sobą Cervantesa.

Wstałem, niemal już pochłonięty lawiną osób w dziecięcych błękitach. Już nie mogłem rozpostrzeć rąk.

– Cofnąć się! – krzyknąłem i uniosłem ręce nad głową, machając nimi tak jak tylko mogłem. – Odstąpcie! Zróbcie miejsce! – wołałem, lecz bez skutku. Ze wszystkich stron napierały łokcie i ramiona.

Spojrzałem na Caruthersa i McCoya.

– Do cholery! – wrzasnął McCoy, razem z Caruthersem prostując się na całą wysokość. – Ten człowiek kazał wam się cofnąć!

– Do tyłu! – zawtórował Caruthers.

I tłum rozstąpił się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Proszę bardzo – odpowiedzieli równocześnie McCoy i Caruthers, gdy szybko przebiegłem wzrokiem morze twarzy. Cervantes zniknął.

Tillson, leżąc na ziemi, bełkotał coś niezrozumiale. Stłumiłem uczucie złości i ukląknęłem przy McCoyu. Caruthers kontrolował tłum. Rozpiąłem koszulę Tillsona.

– Jak się czujesz? Co z tobą? – pytał McCoy i potrząsał leżącego za ramię.

Wtedy Tillson przestał oddychać.

– Musimy mu zrobić sztuczne oddychanie – oświadczyłem i odwróciłem go na plecy.

– Mam świadectwo upoważniające do robienia resuscytacji krążeniowo-oddechowej – rzekł McCoy. – Będę go uciskał.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, McCoy ukląknął się obok Tillsona, położył dłoń na jego mostku i przycisnął drugą rękę.

– Gotowe – rzekł.

– W porządku – rzuciłem niepewnie.

McCoy zaczął rytmicznie uciskać klatkę piersiową Tillsona z odpowiednią siłą i rytmicznością metronomu. Przerwał po minucie, sprawdził, czy pojawił

się oddech lub bicie serca – ale niczego nie wyczuł i nie wysłyszał.

– Jeszcze raz – poleciłem i McCoy powtórzył sekwencje uciskania. Po następnym odpoczynku Tillson zaczerpnął powietrza. Poczułem na szyi tętno. Twarz się zaróżowiła. Na szczęście usłyszałem daleki sygnał ambulansu.

– Wrócił do nas – stwierdziłem.

McCoy odchylił się z uśmiechem.

Gdy syrena zabrzmiała głośniejsze, Cohen przebił się przez wewnętrzny mur tłumy. Przenosząc wzrok z Caruthersa na McCoya, zobaczył, że słowo „piekło” na jego czole błyszczy od potu.

Cohen spojrzał na mnie.

– Czy z tobą wszystko w porządku? – zapytał z rezerwą.

– Absolutnie – odparłem.

– Miejsce dla sanitariuszy! – krzyknął Cohen.

Syrena ryknęła i zamarła. Nikt się nie ruszył.

McCoy wstał.

– Zrobić drogę dla ludzi z ambulansu! – zagrzemiał i rozłożył ręce. I tłum znowu rozdzielił się. Podbiegło dwóch sanitariuszy.

Strażak ocenił wielkość i ciężar Tillsona, wkuł mu się w żyłę i dźwignął go na nosze. Tłum przyglądał się w milczeniu, gdy sanitariusze ładowali nosze do ambulansu i odjeżdżali. Pacjenci stopniowo gromadzili się w grupy należące do odpowiednich oddziałów i pod przewodnictwem personelu odchodzili wolno do swoich budynków.

McCoy i Caruthers dołączyli do pacjentów Oddziału C.

– Jeszcze raz dziękuję. Dobra robota – pochwaliłem.

– Nie ma sprawy – odparł Caruthers.

– Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić – dodał McCoy, wyraźnie z siebie zadowolony.

Grupa z Oddziału C odeszła, tylko Cohen pozostał w tyle.

Obserwując, jak pacjenci wolno odchodzą, zobaczyłem na ziemi coś błyszczącego jak metal. Niezauważony schyliłem się i wyskubałem z trawy

zaostrzony zausznik do okularów leżący dwie stopy za mną. Z dreszczem grozy wsunąłem go do tylnej kieszeni spodni.

Podszedł do mnie jeden z Konowałów z brezentową torbą Tillsona w ręce.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał i pokazał mi masywną pałkę. – Zostawili to na polu.

– Ja to zabiorę – rzekł Cohen i chwycił torbę. – Gdyby ci faceci się zorganizowali, to mogliby nas wszystkich tym pozabijać. – Wskazał na zawartość torby.

Następnego dnia rano, podczas odprawy, przed rozpoczęciem dyskusji na temat poszczególnych pacjentów, wyjąłem z kieszeni zawinięty w papier pręt, odwinąłem i położyłem na stole konferencyjnym.

– Znalazłem to dwie stopy ode mnie w trawie po zakończeniu meczu w softballa – oznajmiłem. – Cervantes groził, że pewnego dnia wbije we mnie coś takiego.

Palanqui chwyciła pręt, starannie obejrzała i ostrożnie odłożyła na stół.

– Co on wtedy powiedział? – zapytał Cohen.

– Że mi to wbije, jeżeli nie zabiorę go stąd.

– To straszne – wtrąciła Monabong.

– Natychmiast powiadomię policję szpitala – powiedziała Kate Henry i wyszła z pokoju.

– No, no, coś takiego, taki mizerny punk – rzuciła Palanqui.

– Dupek – dodał Cohen.

– Po naradzie proszę, żeby zespół porozmawiał z Cervantesem – polecił Xiang.

Godzinę później znaleźliśmy Cervantesa w holu i poprosiliśmy, żeby wrócił z nami do swojego pokoju.

– Doktor Seager znalazł to na trawniku po meczu w softballa – rzekł Xiang i pokazał leżący na dłoni zaostrzony pręt. Zespół utworzył półkole wokół Cervantesa stojącego na środku pokoju.

– Nigdy przedtem tego nie widziałem.

W dodatku do papierowej maski i różowych szmatek w uszach paradował

w nowiułkich rogowych okularach.

– Jest taki sam jak ten, który znaleźliśmy w czasie rewizji na twoim łóżku – rzucił ostro Cohen. – Doktor Seager powiedział, że groziłeś mu tym.

– Kłamie – warknął Cervantes.

– Zabrać Cervantesa do pokoju dziennego – polecił Xiang i Monabong wyprowadziła pacjenta. – Przeszukamy ten pokój.

– Cervantes miał nowe okulary – rzekł Cohen, gdy niczego nie znaleźliśmy.

– Widziałem – potwierdziłem.

\* \* \*

W piątek rano udawaliśmy się razem z Cohenem do naszych gabinetów; jego gabinet znajdował się w odległości trzech drzwi od mojego. Kiedy szliśmy, zatrzymał nas przykry zapach.

– Jezus Maria – jęknął Cohen, rozglądając się. – Czy tu ktoś umarł?

Zobaczyłem idącą Hancock. Krzywiła się z obrzydzenia.

– To już było – zauważyła.

– Już przedtem też tak śmierdziało? – zapytałem.

Kiedyś zostawiłem rybę w pudełku wędkarskim przez miesiąc. Śmierdziało podobnie.

– Tak już jest od lat. Przychodzi i mija – wyjaśniła.

– Ale co to jest? – zapytał Cohen.

– Tego nikt nie wie – odparła Hancock.

\* \* \*

Wracałem z Cohenem z lunchu. Wchodząc do głównego budynku Oddziału C, minąłem policjantów, którzy właśnie z niego wychodzili, gdy rozległ się alarm podrywający wszystkich do działania.

Otworzyłem drzwi, pozwoliłem wszystkim, którzy mnie otaczali, aby wbiegli do środka, a potem zamknąłem je i włączyłem się w ogólny nurt akcji.

– Pokój dwanaście! – krzyknęła Kate Henry, kiedy bieглиśmy obok dyżurki pielęgniarek w kierunku pokoju Smitha. Zatrzymałem się w drzwiach.

Na podłodze Xiang mocował się ze Smithem. Przy ich stopach toczyły się kości do gry. Dwóch uczestników gry, współlokatorów Smitha, próbowało kopnąć Xianga, lecz Cohen szybko wypchnął ich za drzwi.

Do pokoju wpadł Cole i oderwał Smitha od Xianga.

– Nie ruszaj mnie, sukinsynu! – wrzasnął Smith i zaczął się miotać, próbując się uwolnić.

Ostatecznie Cole’owi udało się wywlec go z pomieszczenia. Z końca korytarza obserwowała to grupka pacjentów. Gdy Cole ciągnął go do pokoju odosobnienia, Smithowi udało się uwolnić lewą rękę i uderzył pięścią w szczękę Cole’a.

– Ty pieprzony idioto! – krzyknął Cole i chwyciwszy oboma rękoma Smitha za koszulę, uniósł go nad podłogę.

– Złamałeś mi rękę, ty cholerny nazisto! – wrzeszczał Smith, w ostatnim wysiłku wykręcając się i niemal uwalniając. Jednak Cole, czerwony na twarzy, z napiętymi bicepsami, rzucił nim o ścianę korytarza i przycisnął swym masywnym ciałem. Smith zaczął się przeraźliwie drzeć.

Ten wrzask wzbudził okrzyki protestu ze strony grupy gapiących się pacjentów.

Cole odwrócił głowę.

– Macie jakiś problem, panowie? – rzucił.

Pacjenci umilkli.

Pojawił się Xiang ze strzykawką w ręce. Policjanci szybko wepchnęli Smitha do pokoju odosobnienia, za nimi wszedł Xiang. Ja obejrzałem się na pacjentów.

– Z panem wszystko okej? Odpowiada ci ten rodzaj żalospnego udupiania, doktorze? – zapytał z korytarza McCoy.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i poczułem dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Nie – odpowiedziałem – ale nie wolno bić policjantów.

McCoy ciągle się we mnie wpatrywał.

Dołączyłem do Xianga i policjantów w drodze powrotnej do dyżurki pielęgniarek.

– Przedstawienie skończone, panowie – rzekł Xiang, zwracając się do pacjentów. – Na podwórze albo do swoich pokojów, proszę.

Stałem z Cohenem w dyżurce pielęgniarek i obserwowałem przechodzących pacjentów – zaciśnięte szczęki, opuszczone oczy. Nikt nie patrzył na policjantów stojących daleko w korytarzu przy ścianie. Poprawiali bluzy i sprawdzali ekwipunek. Skończyli i ruszyli do wyjścia. Cole odwrócił się w drzwiach.

– Minał następny dzień w raju – rzekł.

\* \* \*

Przez resztę tego dnia i większość następnego pacjenci byli niespokojni, ich nastroje ponure. Personel też był niespokojny i poirytowany.

Incydent między Cole'em i Smithem przypominał wszystkim, jak blisko pod powierzchnią leży prawdziwy chaos i jak bliscy jesteśmy eksplozji. Wiedzieliśmy, że jedno nieostrożne słowo albo nierozsądne działanie może podpalić beczkę prochu.

Jadąc do domu, rozmyślałem o wielu sprawach – Smith i Cole; McCoy i Wilkins; Gomez i Palanqui; Mathews, Luella i doktor Tom. Przypomniałem sobie, co mówiła Larsen. Jeżeli stale otacza cię gwałt i strach, zaczynasz wszystko widzieć inaczej. Wiesz, że niebezpieczeństwo jest wszechobecne, ale udajesz, iż tego nie dostrzegasz. Udajesz, chociaż wszystkie dowody świadczą przeciwko temu, że wszystko jest w porządku.

Uświadomiłem sobie, iż zasadniczą chorobą dręczącą Gomorę jest gwałt i przemoc, lecz symptomem było zaprzeczanie temu. Wilkins, Luella i doktor Tom – rzadko o nich mówiono. A jeśli już mówiono, szybko zmieniano temat. Oni tworzyli zbyt realną rzeczywistość. Więc ignorowaliśmy ich. Zachowywaliśmy się tak, jakby nic się nie stało, i wracaliśmy do naszych zajęć.



Pewnego poniedziałku rano, tydzień po meczu softballu, gdy przed zebraniem spotkaliśmy się w dyżurce pielęgniarek, w końcu poczułem, że jestem częścią Gomory. Polubiłem personel, z którym pracowałem. Polubiłem ludzi, którzy sprawiali kompetentne i profesjonalne wrażenie. Poznałem moich pacjentów i większość z nich też polubiłem. Przez jakiś czas nie mieliśmy żadnej poważnej awantury. Sprawy – stwierdziłem – układały się wyjątkowo dobrze. Tego ranka poczułem coś nowego, czego nie doświadczyłem od przybycia do Gomory – wiarę w siebie i w lepszą przyszłość.

Xiang rozmawiał przez telefon, sprawiając wrażenie przygnębionego. Mówił cicho, potem odwiesił słuchawkę i odwrócił się.

– Tej nocy zmarł doktor Tom – rzekł Xiang.

W następnych kilku minutach zapadła cisza, jedynym dźwiękiem było słabe tykanie zegara.

– Spotkałam doktora Toma dziesięć lat temu – odezwała się w końcu Kate Henry – w moim pierwszym dniu pracy tutaj. Byłam młoda, nerwowa. To on nauczył mnie, jak sobie radzić. Był uprzejmy. Nigdy go nie zapomnę.

– Pamiętacie dzień – wtrąciła Palanqui – w którym doktor Tom przyszedł do pracy w tych dużych, czerwonych butach klauna?

– Na przyjęcie halloweenowe w piątek – dodała Hancock i uśmiechnęła się.

– Co wywołało konsternację, bo nosił je w piątek, podczas gdy Halloween był w czwartek – rzekł Randy.

Personel snuł opowieści na ten temat, wylano trochę łez i ukazały się słabe uśmiechy.

– Wiem, że pacjenci też lubili doktora Toma – stwierdziła Monabong i wszyscy się zgodzili, że razem będą go jeszcze wspominać tego popołudnia.

– Co z Mathewsem? – zapytała Palanqui.

– Nie wiem... – odparła Kate Henry.

– Teraz jest mordercą – wtrąciłem.

– Oni wszyscy są mordercami – odparował Cohen i to zamknęło dyskusję.

Tego popołudnia w leżącej poza obrębem Oddziału C świetlicy ustawiono

pięćdziesiąt krzeseł. Szybko zapełniliśmy je. Mathews też uczestniczył w nabożeństwie, siedząc między Carverem i McCoyem.

Ortega, jeden z starych rezydentów, powiedział niepewnie:

– Ja lubiłem doktora Toma. – Wszyscy się z tym zgodzili.

Niektórzy podnosili się z krzeseł, ale Cohen kazał im usiąść.

– To sprawka komunistów. – Jakiś staruszek uśmiechnął się szyderczo.

– Dziś nawet komuniści są smutni – rzucił chłodno Cohen.

– Kto to jest doktor Tom? – zapytał inny pacjent, cierpiący na demencję.

– Doktor Tom był przyjacielem wszystkich na Oddziale C – odparł Cohen.

Boudreaux wspomniał Uniwersytet Yale, na którym on i doktor Tom uzyskali immatrykulację.

– Doktorze Tom, spotkamy się jeszcze w zielonym kampusie. Przespacerujemy się do Sterling Library. Posłuchamy kapeli Whiffenspoons. *Fight on* (Walcz dalej), kolego Eli, a potem żegnaj!

Pod koniec nabożeństwa Mathews sprawiał wrażenie, jakby chciał przemówić, i zaczął się unosić z krzesła. Wstrzymałem oddech, ale McCoy powstrzymał go, kładąc stanowczo rękę na jego kolanie. Zamiast niego wstał Caruthers i podsumował powszechną jednomyślność.

– Kochaliśmy doktora Toma i będzie nam go brakowało – mówił i spojrzał w górę. – Spoczywaj w Bogu, przyjacielu.

Na resztę dni tego tygodnia na cały Oddział C opadła ponura mgła. Dyżurka pielęgniarek wypełniła się kolorami i zapachem kwiatów, napływały kartki kondolencyjne. Hancock i ja na ochotnika zostaliśmy na oddziale, podczas gdy reszta personelu wzięła udział w pogrzebie. W korytarzu zatrzymał mnie McCoy.

– Nie poszedł pan na pogrzeb, doktorze? – zapytał.

– Nie znałem doktora Toma – odparłem.

– To był miły człowiek.

– Słyszałem.

McCoy rozejrzał się po korytarzu.

– Ktoś powinien wysadzić to miejsce w powietrze – oświadczył i odszedł.

\* \* \*

Następnego ranka personel i pacjenci wrócili do rutynowych zajęć. A przynajmniej tak się wydawało. Personel był przygnębiony. Dla nich świadomość, że doktor Tom został zamordowany przez osobę, z którą muszą się spotykać każdego dnia, była trudną do zniesienia ponurą rzeczywistością. W dodatku ta osoba nigdy nie poniesie kary za popełnioną zbrodnię. I może znowu zabić.

Zorientowałem się, że pacjenci też zostali skonfrontowani z podobnym dylematem. Oni też musieli żyć razem z Mathewsem i teraz stało się to bardziej skomplikowane. Ale czy wielu z nich też nie było mordercami? Chociaż Mathews był mordercą *per se*, to jednak zamordował całkiem niedawno, a w dodatku zabił kogoś, kogo wszyscy znali, kogoś z naszego domu.

W świadomości personelu, tak jak w świadomości wszystkich pracujących w służbie zdrowia, tego rodzaju uczucia szybko zanikały i przechodzono nad nimi do porządku dziennego. Naszym zadaniem była opieka medyczna. Aplikowanie leków. Terapia i stosowanie zabiegów. To była nasza praca. Ludzie byli od nas zależni. Musieliśmy wykonywać nasze obowiązki. Więc je wykonywaliśmy. Rozpamiętywanie przeszłości nie było częścią tego paradygmatu. Chociaż w następnych miesiącach od czasu do czasu wspominano doktora Toma, to bardziej z uczuciem smutnej rezygnacji, niż w jakimś innym aspekcie.

\* \* \*

Po kolacji siedziałem z Ingrid sam. Ingrid westchnęła i rzekła:

- No cóż, czas znowu porozmawiać o twojej pracy.
- Już nie musimy – stwierdziłem.
- Ostatnio nie mówisz o niej zbyt dużo.
- Nie, nie mówię.

Ingrid przez chwilę milczała.

– Czy to znaczy, że wszystko się unormowało?

– Tak. Jak sądzę, jest już lepiej – oświadczyłem i Ingrid się uśmiechnęła.

– Dziś rozmawiałam z pośrednikiem nieruchomości w Utah – oznajmiła. – Pojawiła się propozycja kupna naszego domu.

– Szybka tania sprzedaż?

– Nie, to poważna i rzetelna oferta. – Ingrid promieniała. – Skończy się nasz koszmar.

– Wspaniale – ucieszyłem się.

– Będziemy mieli dość pieniędzy na spłacenie tego tu domu – ciągnęła Ingrid. – Odkąd oboje mamy już nową pracę, mamy też wystarczające dochody, żeby zakwalifikować się do otrzymania pożyczki. Nie chcę jednak pakować nas w coś takiego, jeżeli twoja praca... albo jeśli zamierzasz... No, wiesz, co mam na myśli.

– Ale czy powinniśmy zaciągać kredyt – zauważyłem – jeżeli pan McCoy chce mnie zabić?

– Tak, to poważna sprawa – stwierdziła Ingrid.

Zastanawiałem się tylko ułamek sekundy.

– Myślę, że ze mną wszystko będzie okej – powiedziałem. – Chociaż niczego nie mogę gwarantować. Tak przynajmniej uważam. Poznałem już dość dobrze niektórych pacjentów i nie czuję się już tam taki spięty jak przedtem. Teraz mniej już mnie martwi pan McCoy.

– Zatem planujesz zostać w Gomorze?

Spoważniałem.

– Tak, myślę, że wszystko będzie dobrze.

– Coś się zmieniło? – zapytała.

– Ja się zmieniłem albo zmienili się pacjenci – odparłem. – No, nie wiem, coś się zmieniło.

Ingrid spojrzała mi prosto w oczy.

– Więc mogę tu zaprosić pośrednika handlu nieruchomościami? – zapytała.

– Jak najbardziej – odparłem bez wahania.

Ingrid nawet nie mrugnęła.

- Chcesz mi wmówić, że ci twoi psychole są jacyś inni?
- Dostrzegamy symptomy poprawy i widzimy, że sprawy idą ku lepszemu.
- I ty w to wierzysz?
- Wierzę.

Tak więc zostałem w Gomorze. Chociaż myślałem, że wiem dlaczego, tak naprawdę nie rozumiałem mojej decyzji aż do rozmowy następnego dnia z doktorem Cohenem.

Znowu siedzieliśmy przy metalowym stoliku piknikowym stojącym zaraz za ogrodzeniem i rozpakowywaliśmy meksykańskie jedzenie.

– Pamiętasz tę sprawę z kartonem papierosów? – zapytał Cohen i otworzył porcję taco. – Ustaliliś już, kim byli ci ludzie?

– Detektyw Levin z policji szpitala robił mi aluzje, że mogłem w tym brać udział – oświadczyłem. – Dlatego, że o tym doniosłem.

– Zdecydowanie polubiłeś Gomorę – stwierdził Cohen ze śmiechem.

– A ty ciągle masz w planach zostać tutaj? – odparłem pytaniem.

– Oczywiście – rzekł Cohen. – A dokąd miałbym iść? – Spojrzał na mnie. – Ciągle myślisz o odejściu?

Odsunąłem na bok jedzenie.

– Właśnie wczoraj rozmawiałem na ten temat z Ingrid. W końcu udało się nam sprzedać dom w Utah. Powiedziała, że możemy liczyć tu na otrzymanie kredytu, jeżeli oboje wykażemy odpowiednie dochody. Moja żona kocha swoją pracę. Jest naprawdę szczęśliwa.

– Zatem zostajesz?

– Zostaję.

– Godne uznania – rzucił Cohen i ugryzł kęs meksykańskiego jedzenia. Potem obrzucił mnie drwiącym spojrzeniem i roześmiał się. – Doskonale – dodał. – Postanowiłeś tu zostać, ale tak naprawdę to cały czas chciałeś tego i teraz będziesz mógł winić żonę, jeśli to nie wypali.

– O czym ty mówisz? – zdziwiłem się.

– Dobra robota – kontynuował Cohen i klepnął mnie w ramię. – Bardzo chytrze. Jestem z ciebie dumny.

– Ale ja... Nie to...

– Wygląda na to, że twoja żona kupiła to – mówił dalej Cohen. – Nie doceniłem cię. – Zerknął na zegarek. – Powinienem być bardziej ostrożny – stwierdził. – Teraz pewnie zechcesz przekonać mnie, że byłem jednym z tych ludzi sprzedających papierosy za budynkiem oddziału.

Byłem zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć.

Cohen wstał.

– Jestem już spóźniony na spotkanie z psychologami – rzekł, zmiął papierową torebkę po jedzeniu i odszedł.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy ma się do czynienia z chorobą umysłową, najlepszą metodą jest udawać, że się jest zdrowym na umyśle.

HERMANN HESSE

LATO POWOLI ZMIERZAŁO ku jesieni. W Północnej Kalifornii jesień nie była tak dokuczliwa jak w Nowej Anglii. Przymrozki występują tu rzadko, jednak też opadają z drzew liście. Zieleń zmienia barwę na żółtą i jaskrawoczerwoną, rozświetlając żywymi płomieniami winnice.

– Tego roku jesteśmy gospodarzami piątkowego przyjęcia z okazji Halloween – oznajmiła Palanqui pod koniec października po poniedziałkowym zebraniu.

– Przyjęcia dla personelu? – zapytałem.

– To wydarzenie jest przeznaczone dla pacjentów – wyjaśniła Monabong.

– Będą krążyć z oddziału na oddział? – spytał Cohen z uśmiechem.

– Tak, to może być interesujące – stwierdziła Palanqui.

– W ten dzień szpital co roku sponsoruje tańce – rzekł Xiang. – I tym razem nasz oddział będzie gospodarzem. Musimy zapewnić muzykę i dekoracje. To skomplikowane zadanie. Będą chłopaki z oddziałów męskich i kobiety z oddziału żeńskiego.

– I oni naprawdę będą tańczyć? – zdziwiłem się.

– Chciałbym to zobaczyć – wtrącił Cohen.

– Potrzebni są opiekunowie – rzekła Palanqui. – Mogę na was dwóch

liczyć?

- Oczywiście – zgodziłem się.
- Może puścimy z doktorem Seagerem jakieś filmy – zaproponował Cohen.
- Kupię bilet na seans – oświadczyła na zakończenie Palanqui.

W środę rano jak zwykle przechodziłem przez posterunek kontrolny, ale w bramie nie usłyszałem brzęczyka. Zamiast tego strażnik zastukał w grubą szybę. Spojrzałem zaniepokojony. Otworzyła się mała szybka i jak w scenie z zamkiem w *Czarnoksiężniku z Oz*, w okienku ukazała się twarz.

- Pan jest doktorem Seagerem? – zapytała.
- Tak – potwierdziłem nerwowo.

Twarz znikła i zastąpiła ją wyciągnięta ręka trzymająca kartkę papieru.

- To dla pana – rzekł strażnik.

Chwyciłem papier i szybko przeczytałem. Było to wezwanie do Sądu Najwyższego Hrabstwa San Francisco, nakazujące stawienie się w roli świadka na procesie dotyczącym możliwości zwolnienia Williama Jamesa McCoya. Termin wyznaczono na połowę grudnia.

„O Boże!”, pomyślałem. Zeznawanie przeciwko pacjentowi jest jedną z najniebezpieczniejszych rzeczy, jakie może zrobić psychiatra. Stojąc na miejscu dla świadków, opisujesz, jak bardzo niebezpieczny i chory jest dany pacjent, podczas gdy siedzi on na sali sądowej. Pacjenci zawsze biorą wszystko osobiście i knują potem zemstę.

Tego ranka po odprawie, gdy szliśmy gęsiego korytarzem, otworzyły się drzwi oddziału i weszła kobieta pod trzydziestkę, o blond włosach i czysto błękitnych oczach. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i odwróciła się. Cohen i ja wymieniliśmy pytające spojrzenia.

- Emily Carstairs – przedstawił Xiang. – Nasza stażystka socjalna. Spotkałem się z nią wczoraj. Została przydzielona do pani Larsen na trzy miesiące.

Gdy Carstairs szła korytarzem, każdy mijany pacjent stawał jak wryty. McCoy, niczym pies myśliwski, który wpadł na trop, wypadł z pokoju, odgarnął włosy i szybko ruszył ku niej. Inni pacjenci czmychnęli. Wydawało



się, że wytrąciło to Carstairs z równowagi, lecz McCoy zachował się jak dżentelmen.

– Przykro mi, że panią przestraszyłem – rzekł, cofnął się o krok i wyciągnął rękę. – Nazywam się William McCoy.

Xiang podskoczył, przechwycił w porę Carstairs, zanim zdołała wymienić uścisk dłoni, i poprowadził ją do dyżurki pielęgniarek.

– Panie Xiang, uniemożliwił mi pan dokonanie zamierzonej czynności – rzekł McCoy z udawanym oburzeniem. Carstairs obejrzała się. McCoy promieniał.

W dyżurce pielęgniarek na Xiang i Carstairs czekał cały personel. Carstairs przedstawiła się i kolejno uścisnęła podane ręce, a my z kolei podaliśmy nasze nazwiska.

– Cała przyjemność po mojej stronie – oświadczyła i zniknęła cały poprzedni dyskomfort.

– Z zadowoleniem witamy panią u nas – stwierdził Xiang.

– Trzymaj się z dala od McCoya – wtrącił Cohen.

– Co? – spytała Carstairs.

– To ten człowiek na korytarzu ze słowem „piekło” wytatuowanym na czole – wyjaśnił Cohen. – Najlepiej traktować go obojętnie.

– A jeszcze lepiej unikać – stwierdził Xiang.

Do Carstairs podeszła Larsen.

– Zapraszam do mojego gabinetu – rzekła i wyszły.

Rzuciłem okiem wzdłuż korytarza i dostrzegłem McCoya, ciągle spoglądającego w ślad za Carstairs.

Na szczęście Carstairs została wyznaczona na dyżur w poniedziałki, środy i piątki. Na Oddziale C nie mogła dyżurować częściej. W tej sytuacji personel w tych dniach musiał powstrzymywać McCoya od niekontrolowanych wybuchów sympatii, ponieważ w tych dniach spotykał Carstairs przy drzwiach, eskortował ją do dyżurki pielęgniarek przez nagle wyludniony korytarz, a potem szarmancko wycofywał się do swojego pokoju. Próbowaliśmy uprzedzić go przy drzwiach, ale McCoy działał tak, jakby miał

w głowie radar; zjawiał się w chwili, gdy klucz Carstairs zgrzytał w zamku. Potem następowało to, co stało się już rutyną. A Carstairs nie zdawała się tym ani trochę zaniepokojona.

W dzień tańców z okazji Halloween pomagałem razem z Cohenem eskortować reprezentację Oddziału C z naszego budynku przez kampus do głównej sali rekreacyjnej. Ludzie wylewali się, żartując, popychając się i śmiejąc głośno.

Ukazały się pacjentki – włosy uczesane, czyste stroje szpitalne w kolorze stalowobłękitnym – przywołując na myśl beztrioskie żarty i dzikie harce. Mężczyźni z Oddziału C poprawiali koszule i przyglądali niesforne włosy. Któryś czyścił tenisówki, ocierając je o spodnie na łydkach.

Wchodząc do sali rekreacyjnej – będącej też boiskiem do koszykówki, teraz z koszami uniesionymi do góry – pacjenci z Oddziału C zachowywali się zaskakująco porządnie i spokojnie. Przybyli też pacjenci z innych oddziałów, aż ściany sali w końcu pokrył rząd błękitnych uniformów. Kate Henry wygłosiła powitalną mowę i przedstawiła regulamin tańców, zaczęła grać muzyka i rozpoczęły się uroczystości Halloween.

Z początku szło to niemrawo. Tańczyło kilka par, wydawało się, że wielu pacjentów nie bardzo wie, co robić. Duża grupa mężczyzn, szczególnie starszych, tkwiła w rzędzie jak skamieniała. Inni, jak Cervantes, Hong i ci na wózkach inwalidzkich, po prostu czekali z boku i nerwowo się przyglądali.

Jednak zgodnie z przewidywaniami przyjęcie powoli się rozkręcało. Caruthers, McCoy, Boudreaux i lepiej funkcjonujący pacjenci z innych oddziałów włączyli się do zabawy. Tańczyli z wszystkimi chętnymi kobietami, wykazując dużą aktywność.

Muzyką płynącą z odtwarzacza CD przez głośniki stojące na składanych krzesłach były utwory sięgające lat pięćdziesiątych – od doo-woop, czyli rhythm & blues, przez Beatlesów, po Nirwanę i hip-hop. Planowano puścić przynajmniej jedną piosenkę, którą wszyscy znają.

W sali snuli się też tacy, którzy mieli bardzo słabe pojęcie o tańcu. Ale

lubili muzykę. Wśród nich był radiowiec z NPR; wykręcał się, podskakiwał i kopał powietrze. Wyrażając uznanie dla tego wieczoru, dał upust swym zdolnościom werbalnym, synchronizując je z muzyką. To było niemal hipnotyzujące. Rapował na melodię *Proud Mary*.

Radiowiec stał na środku boiska koszykówki i krzyczał:

– Jestem Ira Glass, z *This American Life*. Moim producentem jest Doug Berman. Nie jest on niewolnikiem mody. Nie jest Hillary Clinton. On w ogóle nie jest kobietą.

Tłum zgotował mu owację.

Za bawiącymi się ludźmi wznosiła się waza z ponczem i ciągnęły się rzędy papierowych kubków. Na podium stało dwanaście odpowiednio wykrojonych dyni.

W odróżnieniu od zwykłej potańcówki, w hali była obecna policja. Nad spokojem i porządkiem czuwały dwa tuziny policjantów szpitala, stojąc w szeregu po jednej stronie hali.

Wezwano ich do akcji tylko raz, gdy w zamieszaniu na odległym kącie hali odkryto parę in flagranti.

Gomora to instytucja koedukacyjna. Tu przeważają mężczyźni – w stosunku prawie dziewięciu na jedną kobietę. Istnieją oddziały koedukacyjne. Podczas wstępnego rozeznania Wydział Praw Pacjentów jasno stwierdził, że stosunki seksualne są normalną częścią życia i tak długo nie można ich ograniczać, jak długo odbywają się za obopólną zgodą i nie są wulgarne – a także jeśli „nie przeszkadzają w planowym leczeniu pacjentów”. Mówiono nam, że w Gomorze miały miejsce śluby i rodziły się dzieci.

Dzięki Bogu, przez cały czas uroczystości nie wybuchła ani jedna poważna bijatyka. Nikogo nie pobito, nikt nie został pokłuty nożem. Wszystko trwało półtorej godziny i zakończyło się ogólną zgodą.

Pewna liczba pacjentów i większość personelu Oddziału C zostali po zakończeniu imprezy, żeby posprzątać. Złożyliśmy krzesła, zdjęliśmy serpentyny i usunęliśmy dekoracje ścian. Na koniec zaczęliśmy zbierać

powykrawane dynie. Zauważyłem razem z Cohenem, że niektórych bardzo fascynowały; stali cicho i wpatrywali się w nie.

– Jaki był Halloween, gdy byłeś dzieckiem? – zapytał Cohen Caruthersa. Caruthers zaśmiał się.

– W Watts? – spytał i zwrócił się do mnie: – Doktorze Seagers, pan wtedy tam był. Może pan sobie wyobrazić chodzące od drzwi do drzwi dzieci przebrane za klaunów?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– To trwałoby minutę – wtrącił Boudreaux, przeciągając słowa.

– Słyszałem o tym – zaćwierkał jakiś staruszek i wszyscy się roześmiali.

– A jak to było u pana? – zapytał Caruthers Cohena.

– Żartujesz sobie? – odparł Cohen. – Halloween to najważniejsza noc w roku. Razem z przyjaciółmi opracowałem mapę sąsiadów, jak do manewrów wojskowych.

– To musiało być coś wspaniałego – stwierdził Caruthers. – Te słodycze. I kostiumy.

– Żadnego picowania – wtrącił Boudreaux.

– Pewnego roku razem z siostrą przebraliśmy się za piosenkarzy Donny’ego i Marie Osmondów – oznajmiłem.

– A ja z braćmi udawaliśmy braci Marx – dodał Cohen i strzepnął tytoń z wymyślanego cygara.

McCoy dźwignął dwie ogromne dynie, odwrócił się i ulokował ja na wózku stojącym za nim.

– Pewnego roku w Halloween nasz najbliższy sąsiad w Stockton zabił żonę – rzekł i odwrócił się. – Rozwalił jej głowę, strzelając z dubeltówki. Z dwururki. Stałem wtedy z przyjacielem na chodniku. Byliśmy przebrani za Luke’a Skywalker’a i Hanę Solo. Z drzwi trysnęła fontanna krwi i ołowiu. Ależ to był burdel.

I znowu poczułem jak uderzenie w twarz całą absurdalną rzeczywistość Gomory. Co miałem odpowiedzieć mordercy opowiadającemu o potwornym wydarzeniu z Halloween czasów jego młodości? Jak byście się wtedy czuli?

Nawet nie pomyślałem, że któryś z tych ludzi kiedykolwiek miał jakieś dzieciństwo. Czy niektórzy z nich nie skradli dzieciństwa swym ofiarom? Gdzie można się nauczyć równoważyć tego rodzaju sprawy?

Staliśmy w milczeniu, gdy McCoy kontynuował ładowanie dyni.

– Co z wami? Stoicie jak sparaliżowani – rzekł i wrzucił następne duże dynie na wózek

Spojrzałem na Cohena. Uniósł brwi. Chwyciliśmy dynie i dołączyliśmy do McCoya.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W tym ich krótkim czasie bycia razem Slothrop stworzył wrażenie, że ta ośmiornica nie jest zdrowa na umyśle, chociaż skąd miał o tym wiedzieć, nie mając żadnej bazy porównawczej?

THOMAS PYNCHON, „TĘCZA GRAWITACJI”

JESIEŃ ZACZEŁA SIĘ ZMIENIAĆ w zimę. W połowie listopada Oddział C był oazą spokoju. Może w wyniku tańców czy dyń, kto wie? Jednak przez dwa tygodnie nie poszły w ruch pięści, nie rozbito żadnego wózka inwalidzkiego, nie włączono alarmu. Ten spokój nie mógł trwać wiecznie, ale przyjemnie było widzieć, jak mogłoby być na oddziale. Skorzystałem z okazji, żeby zrobić to, co zamierzałem od dłuższego czasu – sprawdzić, na czym polega organizowana przez personel „terapia grupowa”.

– Panowie, w sali dziennej zbiera się grupa walki z gniewem – ogłosiła pewnego dnia Larsen przez intercom po porannej odprawie. – Zapraszam wszystkich.

W wyznaczonym pomieszczeniu zjawiły się dwadzieścia cztery osoby. Obserwowałem je od drzwi i muszę przyznać, że byłem zaskoczony. Zagrożenia, z jakimi miałem do czynienia na Oddziale C, były niczym w porównaniu z tymi, z którymi mieli do czynienia terapeuci. Larsen z markerem w ręce stała w tyle sali przed białą tablicą. Między nią i drzwiami siedziały dwa tuziny chorych umysłowo przestępców.

Przyjrzałem się pacjentom. Niektórzy uważali, inni spali, a jeszcze inni coś

mamrotali. Mathews wyglądał przez okno. McCoy po kryjomu sprzedawał papierosy Carverowi. Radiowiec ciągle gadał, udając, że podaje komunikaty do mikrofonu. Gomez masturbował się w kącie.

Przez tydzień obserwowałem inne grupy. W studio, przy holu, działała klasa rękodzieła. Wyglądało to lepiej. Tu pacjenci mogli przynajmniej zająć czymś ręce. Monabong – sama – chodziła wśród nich od stołu do stołu.

Na koniec zajrzałem do Cohena w czasie, gdy prowadził kurs umiejętności życia. Stał na przedzie sali dziennej, nie słyszałem, co mówi, jednak widziałem, że wzbudzał ogólne zainteresowanie. Rozkładał szeroko ramiona, przysiadał, zginając nogi w kolanach, i wskakiwał na stół. Do drzwi, w których stałem, docierały wybuchy śmiechu. Gdyby Cohen miał jakieś kłopoty, to zawsze mógł czmychnąć przez drzwi na zewnątrz.

Pod koniec tygodnia nie chciałem już oglądać zajęć terapii grupowej. Wiedziałem, że są to zajęcia pożyteczne, i pacjenci mówili, że je lubią, jednak nie mogłem pozbyć się widoku Larsen stojącej przed tłumem psychopatów, z których jeden trzymał penisa w erekcji w ręce.

– Musimy pomóc w organizacji uroczystego lunchu w Święto Dziękczynienia – oznajmiła Hancock w środę po naradzie, gdy siedzieliśmy przy stole konferencyjnym.

– Uroczysty lunch? – zdziwiłem się.

– Przyjęcie dla pacjentów i ich rodzin – wyjaśniła Hancock.

W to święto planowałem miłą kolację z teściami. Nie miałem pojęcia, że szpital też zechce formalnie to celebrować.

– Wspaniale jest widzieć, jak wiele rodzin ponownie się integruje – wtrąciła Kate Henry. – Jeżeli nawet tylko na kilka godzin. Szczególnie dotyczy to rodzin z dziećmi.

Cohen przechylił głowę.

– Ten lunch jest przeznaczony dla wszystkich pacjentów?

– Dla każdego pacjenta z każdego oddziału – rzekł Xiang.

– Czy dzieci zostały też zaproszone?

– Bardzo zachęcaliśmy naszych pacjentów, żeby nie tracili kontaktu ze

swoimi dziećmi – stwierdziła Kate Henry.

Ja i Cohen pomyśleliśmy o tym samym.

– A co z pacjentami, którzy popełniali przestępstwa na tle seksualnym? – zapytałem.

– Będziemy na nich uważać – oświadczyła Kate Henry tonem ucinającym dyskusję.

Zapanowała krótka cisza.

– Możemy na was liczyć, chłopcy? – zapytała pogodnie Palanqui.

– Oczywiście – zapewniłem.

– Z pewnością nie możemy tego przepuścić – dodał Cohen.

Tego popołudnia zatrzymałem Cohena w holu.

– Czy oni poważnie mówią o tym rodzinnym lunchu? – zapytałem.

– Wydaje się, że tak.

– Powiem wprost – ciągnąłem. – Szpital zaprasza gromadę dzieci na lunch z najgorszymi znanymi w tym stanie przestępcami oskarżonymi o molestowanie dzieci?

– Proszę się nie martwić – odparł Cohen. – Oni będą nad wszystkim czuwać.

Następnego dnia przyjechali do nas teściowie z okazji Święta Dziękczynienia. Ucałowali Johna w oba policzki, potem cofnęli się i teściowa stwierdziła:

– Ależ on wyrósł! Jaki przystojny!

Zmierzyła palcami włosy Johna i zauważyła rozpromieniona:

– Ma to po babci.

Rodzice Ingrid byli dla Johna jedynymi łącznikami z ich pokoleniem. W 1940 roku byli w przybliżeniu w wieku Johna, gdy Niemcy napadły na Danię. Moi przyszli teściowie znaleźli się w pułapce i swoje młode lata spędzili pod brutalnym butem niemieckim. Wtedy to właśnie spotkali się i po wojnie wzięli ślub. Rzadko mówili o tamtych czasach. Doceniali życie w Ameryce, w sposób, którego nigdy w pełni nie mogłem zrozumieć.

Wydawało się, że John intuicyjnie to wyczuwał; rozumiał, że rekompensuje



dziadkom ich skradzione wojną lata. Było to wyraźnie widać po sposobie, w jaki on i oni wymieniali spojrzenia i nikłe uśmiechy. Mogli siedzieć w milczeniu i wiedzieli, o czym myślą. Niepohamowany entuzjazm, jaki okazywali, interesując się najdrobniejszymi szczegółami życia Johna, pokazywał, jak bardzo go kochają i jak silnie są z nim związani. Ja i Ingrid widzieliśmy to wyraźnie.

Wychodząc następnego dnia do pracy, zatrzymałem się w drzwiach. W salonie na stoliku do kawy przed kanapą stały dwie duże miski po popcornie i tuzin opróżnionych puszek po wodzie sodowej. W powietrzu ciągle unosiła się woń kringle – marcepanowych ciasteczek specjalnie zamawianych w duńskiej piekarni w Solvang – i pobrzmiwało słabe echo śmiechów z poprzedniego wieczoru. Uśmiechnąłem się i poszedłem do samochodu.

Tego dnia, gdy przybyłem do Oddziału C, zebranie trwało bardzo krótko.

– Wielki dzień – rzekła Kate Henry do zgromadzonego przy stole personelu. – Lunch z okazji Dnia Dziękczynienia. Mamy do zrobienia mnóstwo rzeczy.

– Potrzebujemy was, chłopcy, na dziesiątą trzydzieści – dodała Palanqui.

– Nie ma sprawy – odparłem.

– Jesteśmy do dyspozycji – uzupełnił Cohen.

Za dziesięć jedenasta szliśmy do sali, w której odbywały się tańce z okazji Halloween. Po naszej lewej stronie punkt kontrolny kipiał od napływających gości. Szpitalni policjanci uwijali się jak w gorączce. Na parkingu utworzył się rząd aut. Wszędzie biegały dzieci.

Salę wypełniały rzędy standardowych stolików i plastikowych krzesełek, coś, co każdemu musiało przypominać szkolne czasy.

Na końcu sali widać było dwie wnęki kuchenne, skąd wydobywała się para, gdy obsługa wyjmowała indyki z piekarników przemysłowych.

Stoliki wkrótce zapełniły się miskami z zieloną sałatą, kandyzowanymi przysmakami, groszkiem, biskwitami, purée z ziemniaków oraz plackami z dyni. Gdy zjawilem się tam razem z Cohenem, podeszła do nas Palanqui.

– Wybierzcie sobie miejsce – rzekła. – Potrzebna nam obsługa gości.

Cohen stanął za tacą z przysmakami. Ja wybrałem dużą misę z groszkiem. Otwarto drzwi wejściowe i zaczęli napływać pacjenci z poszczególnych oddziałów, zajmując miejsca przy wyznaczonych dla nich stolikach, równocześnie zostawiając miejsca dla członków rodziny. Weszła ostatnia grupa i drzwi zamknięto. Na straży przed drzwiami stanęło dwunastu policjantów.

\* \* \*

W sali panował dziwny spokój, mimo że wszystkie stoliki zostały zajęte. Rozmawiali członkowie personelu, natomiast pacjenci odzywali się rzadko. Większość siedziała z rękoma złożonymi na blatach stolików, rzucając nerwowe spojrzenia na drzwi. Zniecierpliwienie osiągnęło szczyt w chwili pojawienia się z kuchni dwunastu indyków – gorących, parujących, złoto-brązowych na drewnianych, rzeźbionych półmiskach.

Wtedy znowu otwarto drzwi i do sali wpłynął strumień członków rodzin. Wyciągali szyje i rozglądając się, szukali swoich przy właściwych stolikach. Wymieniono uściski – niektóre pełne uczucia, inne niezręczne, obojętne. Dzieci paplały i wierciły się w ramionach matek.

W końcu wszyscy się uspokoiли i goście oraz pacjenci zaczęli kolejno wstawać od stołów z talerzami w rękach. Kate Henry, doktor Francis i gospodarze z innych oddziałów kroili i rozdzielali porcje indyka. Ja łyżką nakładałem groszek, uśmiechałem się i od czasu do czasu wymieniałem kilka słów z tym i owym pacjentem. Randy wypchnął fotel inwalidzki Burnsa przed rząd czekających i poświęcał mu całą uwagę, żeby upewnić się, iż dostanie to, co będzie chciał. Caruthers zjawił się razem z Ortegą.

– *Happy holidays!* – rzuciłem w ich stronę.

– *Feliz dia de Acción de Gracias* – odparł Ortega.

Zamieniłem kilka słów z krewnymi Honga i Cervantesa. Alex Mathews precyzyjnie się do mnie z atrakcyjną żoną i dwoma dziesięcioletnimi synami.

– To bliźniaki – wyjaśnił.

– Wspaniali chłopcy – stwierdziłem. – Musisz być z nich dumny.  
– Tak, jesteśmy z nich dumni – odparła matka.  
– Dziękuję, doktorze – rzekł McCoy, gdy nadeszła jego kolej. Podszedł do mnie sam.

Tak jak Boudreaux.

– Założę się, że nie tego rodzaju potrawy przywykł pan jadać na tej uroczystości – zauważyłem, gdy się do mnie zbliżył.

– Moja babcia co roku przygotowywała kaczi indyka, czyli obranego z kości indyka faszerowanego kaczką również bez kości – odparł Boudreaux.

Nałożyłem mu groszku.

– Co to takiego?

– No, taki pieczony indyk nadziany kaczką – uzupełnił. – Poza tym świeże ostrygi, langusta, no i... no i masz coś specjalnego.

– To brzmi przerażająco – stwierdziłem.

– Jednak nie mogłem tego przepuścić, doktorze – ciągnął Boudreaux. – To moja rodzina. Ale od tego czasu, gdy... no, pan wie, doktorze, nie mieliśmy ze sobą zbyt dużo kontaktu.

– Wesołego Święta Dziękczynienia, panie Boudreaux – powiedziałem.

– Nawzajem, doktorze Seager – odparł Boudreaux i odszedł.

Podobnie jak Boudreaux i McCoyowi, wielu innym pacjentom też nie towarzyszyła rodzina. Sporo z nich przyszło, zjadło i wyszło z sali. Inni w ogóle nie przyszli. Nie wiedziałem radiowca ani Smitha. Zamierzałem przysiąść się i porozmawiać z każdą rodziną pacjentów z Oddziału C, ale rząd czekających z talerzami był długi i wszyscy byli głodni. Czas mijał. Mimo wszystko było okej.

Jedzenie zostało podane. Razem z Cohenem miałem okazję też co nieco przekąsić i obserwować rozwój wypadków. Z przyjemnością obserwowałem pacjentów wyraźnie cieszących się obecnością rodzin. Tu i ówdzie rozlegały się śmiechy, ale prawdę mówiąc, nie były liczne. W sali powszechnie unosiło się uczucie strachu.

Wiele rodzin jadło w milczeniu, ledwo patrząc na siebie. Wydawały się

zajęte miejscem, w którym znalazły się tylko przypadkowo. Rodzic zadawał pytanie, ale nie otrzymywał odpowiedzi. A nawet odwzajemnionego spojrzenia. Trochę później znowu padało pytanie. Milczenie.

Niektórzy rodzice prowadzili monolog z dziećmi, wymieniając rodzinne nowinki i sąsiedzkie plotki, ale nigdy niczego nie otrzymując w zamian.

Dwunastu pacjentów jadło samotnie. Spojrzałem na Cohena. Dołączyła do nas Hancock.

– Są wśród nich ci, którzy pozabijali swoje rodziny – wyjaśniła.

– Villegas zamordował swojego ojca – rzekł Cohen. – Ale jego matka ciągle go odwiedza.

– Oczywiście – wtrąciła Hancock – bo jest jego matką.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Jeżeli choroby umysłowe są dziedziczne – rzekłem, nadając głosowi ton, jakiego zawsze używałem, poruszając temat psychiatrii – to dlaczego ich rodzice wydają się tacy normalni?

Dzieci śmiały się, biegały, bawiły w berka. Rodzice zostawiali im swobodę. W końcu sali Kate Henry była pochłonięta rozmową z doktor Francis. Rozejrzałem się po stolikach. Pochwyciłem wzrok McCoy. Siedział z Mathewsem i jego żoną. McCoy mrugnął do mnie i poczułem zimny dreszcz.

– Czy ktokolwiek jeszcze myśli, że to, co tu urządziliśmy, jest najbardziej szalone z wszystkiego, co dotąd zrobiliśmy? – zapytałem.

Lecz Hancock już się odwróciła i zaczęła z kimś rozmawiać, a Cohen odszedł.

\* \* \*

Kate Henry podziękowała wszystkim za przybycie, wypowiedziała kilka końcowych uwag i poleciła rodzinom, żeby się pożegnały. Pożegnania były różne – smutne, dziwne, albo jedno i drugie. Niektóre dzieci płakały. Potem policjanci wyprowadzili gości z sali i dalej eskortowali ich za teren szpitala.

Pacjenci utworzyli grupy i odeszli do swoich oddziałów. Zostałem

z Cohenem, żeby pomóc w porządkach. Podczas gdy inni sprząтали i myli naczynia, my zajęliśmy się porządkowaniem pomieszczenia. Składaliśmy i ustawialiśmy w rzędach stoliki.

Wkrótce opuściłem salę. W drzwiach natknąłem się na Hancock. Stała, przyglądając się rodzinom czekającym na przejście przez punkt kontrolny.

– Dzięki Bogu, wszystko się dobrze skończyło... – powiedziała.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tak się przypadkowo złożyło, że częściowo jestem istotą ludzką – w każdym razie w większości. W takim stopniu nie są nimi klauni. Te złe sukinsyny nigdy nie przestają się uśmiechać.

MIMI JEAN PAMFILOFF, „ACCIDENTALLY... EVIL?”

WEEKEND DNIA DZIEKCZYNIENIA upłynął w wesołym nastroju. Przez cztery dni w otoczeniu rodziny obejrzeliliśmy wszystkie ulubione filmy Johna; zjadaliśmy tony wspaniałego jedzenia i rozmawialiśmy o milionie spraw, a żadna z nich nie wiązała się z morderstwami, gwałtami ani obłędem. Wiedziałem, że teściowie byli ciekawi mojej pracy, jednak ten temat został poruszony tylko raz.

– Mogę sobie wyobrazić, że masz ciekawą pracę, prawda? – zapytała teściowa i Ingrid szybko zmieniła temat. Później, gdy staliśmy obok siebie przy zlewozmywaku, myjąc naczynia, Ingrid podjęła ten temat:

– Jak ci idzie w pracy? – zapytała.

– Dobrze.

Przerwa.

– Kłamiesz, prawda?

– Trochę – odparłem.

\* \* \*

W czasach Karola Dickensa chorzy umysłowo w Londynie byli umieszczani

w Bethlehem Hospital, albo Bedlam, jak go nazywano w cockneyu. W weekendy członkowie wyższych klas angielskiego społeczeństwa brali rodziny na wycieczkę do tej instytucji, gdzie za opłatą pokazywano im najbardziej dotkniętych obłędem pacjentów i jawnie z nich kpiono. Wczesne amerykańskie instytucje dla umysłowo chorych kopiowały ten lukratywny spektakl. Wierzono, że chory psychicznie stracił zdolność wykazywania zdrowego rozsądku – coś, co wysoko ceniono w okresie oświecenia – i upodabiając się do dzikiego zwierzęcia, należy go traktować brutalnie i można bezkarnie obrażać.

W tych czasach leczenie chorób umysłowych polegało na terapii szokowej, mającej na celu przywrócenie tych nieszczęśników do rzeczywistości. Polegała ona na biciu, upuszczaniu krwi, stosowaniu elektrowstrząsów – zwykle na genitaliach – głodzeniu, całkowitej izolacji i chemicznym przypalaniu skóry.

Pacjenci, których nie poddawano zabiegom, byli przywiązywani łańcuchami do ściany i mocowani za szyję tak, aby utrzymywać ich w pozycji wyprostowanej. Mogli tylko jeść i pić, natomiast taka pozycja uniemożliwiała sen. Umysłowo chorzy egzystowali w cuchnących łachmanach, w gromadzących się pod nimi ekskrementach. Nie zmieniano im ubrań, a ich cele nie były sprzątane.

Na początku dziewiętnastego wieku dwóch ludzi – francuski lekarz i były angielski handlarz herbata – uznało ten model leczenia za niewystarczający i równolegle zaproponowali wdrożenie planów korygujących. W 1792 roku francuski lekarz, Philippe Pinel, zdjął łańcuchy czterdziestu dziewięciu chorym w Bicêtre, osławionym paryskim zakładzie dla umysłowo chorych. W Londynie wojowniczy kwakier William Tuke, były handlarz herbata, w roku 1796 założył Ustronie York (York Retreat) i zaprezentował podobne metody opieki nad chorymi.

Tuke i Pinel wprowadzili reformę zwaną „leczeniem moralnym” (*moral treatment*), gdzie w leczeniu chorych umysłowo podkreślano konieczność tworzenia domowej atmosfery. Wykluczali stosowanie ograniczeń i kar

cielesnych, nadając nowej terapii pryncypia „współczucia i życzliwości”.

W Stanach Zjednoczonych orędowniczką „moralnego leczenia” była kobieta z Massachusetts, Dorothea Lynde Dix. Będąc słabego zdrowia, wyjechała na leczenie do Anglii. W czasie pobytu przedstawiono jej angielskie reformy socjalne i zwolenników Tuke’a. Dix wybrała się na wycieczkę do Ustronia York i była zdumiona.

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku, przejmując poznany w Anglii model leczenia moralnego, Dix odegrała znaczącą rolę w tworzeniu trzydziestu dwóch stanowych szpitali dla umysłowo chorych. Nazwano je „azylami” – miejscami schronienia.

Zauroczona skutecznością leczenia opiekuńczego, Dix domagała się – bez specjalnego wsparcia – żeby nowe azyle leczyły chronicznie chorych umysłowo.

Jednak w następnych dziesięcioleciach wszystkie wysiłki oraz cały terapeutyczny optymizm zostały zgaszone przez Wielki Kryzys i dwie wojny światowe. Chorzy psychicznie, zgromadzeni w odosobnionych azylach, w ogólnonarodowym wysiłku przeciwstawiania się wojnom i kryzysowi nie byli najważniejsi. Pozostawione bez kontroli nowe szpitale dla obłąkanych zaczęły się zapełniać do maksimum. Ograniczono leczenie do szczątkowego, warunki sanitarne były poniżej normy, brakowało jedzenia.

Piętrzyły się problemy, było coraz gorzej – chorym umysłowo w stanowych azylach nie polepszało się, a wręcz przeciwnie, byli coraz bardziej chorzy. Wszelką nadzieję zastąpiła dręcząca rzeczywistość rozprzestrzeniania się chronicznych chorób psychicznych. Jak zawsze pozostawał problem uporczywego opierania się wysiłkom terapeutycznym. Opieka nad chorobami psychicznymi zmieniła się w to, co słusznie nazwano „przechowywaniem”.

Jednak po drugiej wojnie światowej, na skutek publikacji opisujących przerażający stan azylów stanowych – pisanych przez sumiennych krytyków, ludzi przydzielonych do szpitali w ramach alternatywnej służby wojskowej – ponura rzeczywistość wyszła na jaw w serii artykułów,



mających swą kulminację w brzemiennej w skutki pracy pod tytułem *Stany wstydu*. W 1948 Albert Deutsch w magazynie „Life” przedstawił przykry obraz amerykańskiego systemu azylów. W następnych latach opinia publiczna konsolidowała się i reforma stanowych zakładów psychicznych znowu stała się priorytetem.

Czynione w tym zakresie wysiłki znalazły swoje apogeum w 1955 roku wraz z powstaniem federalnej Komisji do spraw Chorób Umysłowych i Zdrowia (Joint Commission on Mental Illness and Health – JCMIH). Zadaniem komisji było przeanalizowanie wszystkich dostępnych informacji na temat leczenia chorób umysłowych i wysunięcie konkretnych wniosków, które można by wprowadzić w życie w skali ogólnokrajowej. Końcowy raport pod tytułem *Działanie na rzecz zdrowia psychicznego* został opublikowany w roku 1961.

W 1963 roku, poparty przez prezydenta Johna Kennedy’ego, którego siostra Rosemary cierpiała na chorobę umysłową, raport JCMIH doprowadził do uchwalenia Ustawy o społecznym zdrowiu psychicznym, w której wezwano do gruntownej i rewolucyjnej zmiany całego systemu leczenia chorób umysłowych w Stanach Zjednoczonych. Leczenie powinno zostać przeniesione z niewydolnych szpitali stanowych do nowej, skoordynowanej sieci ośrodków zdrowia psychicznego.

Te nowe ośrodki miały – według raportu – zagwarantować utworzenie natychmiastowych, intensywnych, kompleksowych „punktów kontaktowych” leczenia w miejscach zamieszkania i w miastach, gdzie została stwierdzona – nawet bez wyraźnych oznak – potrzeba profilaktycznego zapobiegania rozprzestrzenianiu się chronicznych chorób umysłowych. Oznaczało to eliminowanie dalszej potrzeby szpitali stanowych. W niektórych stanach niezbędne okazało się wsparcie finansowe nowego układu organizacyjnego. Fundusze wysychały. A szpitale stanowe zaczynały świecić pustkami.

Ponadto trzy wyroki Sądu Najwyższego zagwarantowały, że szpitale te nie miały się powtórnie zappełnić. W sprawie Lessard przeciwko Schmidt (1972), O’Connor przeciwko Donaldson (1975) oraz Suzuki przeciwko Quisenberry

(1976) Sąd Najwyższy wyraźnie orzekł, że nie można ich wbrew woli hospitalizować, jeśli mogą „egzystować” w społeczeństwie. W wyrokach tych ważniejsze było niebezpieczeństwo niż konieczność leczenia umysłowo chorych. W sprawie Donaldsona wymiar sprawiedliwości stwierdził z całą mocą, że pacjent może być hospitalizowany wbrew woli, tylko gdy zapadnie wyrok orzekający taką konieczność zgodnie z obowiązującym prawem karnym.

Powyższe zmiany powszechnie uważano za postępowe, a w zakresie humanitarnym postrzegano je jako duży krok naprzód. Szpitale stanowe pustoszały, a poważnie chorzy umysłowo pacjenci byli odsyłani na leczenie w ich środowiskach. Jednak te lokalne środowiska nie radziły sobie, nie przejawiając absolutnie zainteresowania napływem psychotycznych osób. Kongres właściwie nigdy nie finansował ośrodków zdrowia psychicznego, zatem wiele z nich po prostu nie powstało. Pacjenci zwolnieni ze szpitala stanowego, nie mając gdzie mieszkać i gdzie się leczyć, znaleźli się na ulicach, stając się chorymi umysłowo bezdomnymi.

Siedemdziesiąt procent chorych umysłowo bezdomnych w końcu zaczęło naruszać przepisy prawa i w efekcie trafiało do więzienia, gdzie nie mogli otrzymywać adekwatnego leczenia – byli tam po prostu „przechowywani”. Po zwolnieniu z więzienia z reguły powracali na ulice, aby po jakimś czasie wrócić do więzienia, spędzić pewien czas w odosobnieniu, a potem znowu zwalniani trafiali na ulice – i tak w nieskończoność.

Opustoszałe, teraz pozbawione funduszy szpitale stanowe zmieniły się w ośrodki psychiatrii sądowej, specjalizując się w leczeniu chorych umysłowo przestępców. I tego rodzaju leczenie władze stanowe finansowały.

Ta niezwykła sytuacja miała swoje skutki – dawni pacjenci szpitali stanowych wędrowali na ulice, stając się chorymi umysłowo bezdomnymi, skąd w efekcie trafiali do więzienia, a pobyt w więzieniu często robił z nich znowu chorych umysłowo przestępców.

Natomiast szpitale stanowe, najlepiej przystosowane do leczenia osób umysłowo chorych, zamiast leczyć zwykłych ludzi dotkniętych tą chorobą,

zaczęły gromadzić przestępców.

W następnym tygodniu zająłem się archiwalną dokumentacją szpitala dotyczącą Billa McCoya, a także przeglądaniem kart Oddziału C. Chciałem mieć obiektywne informacje. Wyjąłem notes.

W drzwiach ukazała się głowa Cohena. Zobaczył mnie zanurzonego w pracy.

– To na jutrzejszą rozprawę?

– W San Francisco – potwierdziłem.

W naszym stanie hrabstwo, w którym popełniono przestępstwo, posiada jurysdykcję nad pacjentami umieszczonymi w naszym szpitalu. Wszystkie sprawy sądowe związane ze zdrowiem psychicznym są rozpatrywane na miejscu, w odpowiednio przynależnym hrabstwie. Mieszkamy w dużym stanie. Aby dotrzeć do najodleglejszych jego zakątków, trzeba podróżować wiele godzin. Zatem rozprawa w sądzie może trwać cały dzień, a czasem nawet dłużej.

– Wydaje się, że to pewne zwycięstwo – zauważył Cohen. – Kto jest niebezpieczny, jeżeli nie McCoy?

Przez kilka ostatnich dni wiele myślałem o sprawie McCoya i miałem z tym prawdziwy problem. Cohen miał rację – McCoy był najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego spotkałem. Jednak nie to było kwestią, ale to, czy był niebezpieczny w wyniku choroby umysłowej. I czy obecnie naprawdę jest chory psychicznie, pomijając sprawę zabicia pracownika stacji benzynowej.

Bill McCoy nie był umysłowo chory! Prawdopodobnie nigdy nie był chory. Popełniając zbrodnię, działał pod wpływem metamfetaminy. Zapisy w dokumentach jasno to stwierdzały. Wiedziałem o tym. I wiedział też o tym McCoy. Można się też założyć, że wiedział o tym jego adwokat.

– Zobaczymy, jak się sprawy potoczą – zwróciłem się do Cohena.

Tego popołudnia przed wyjściem ze szpitala niektóre karty zostawiłem w dyżurce pielęgniarek.

Kiedy przechodziłem korytarzem, McCoy wyskoczył ze swojego pokoju

i rzekł:

– Jutro mamy wielki dzień.

– Panie McCoy, mam nadzieję, że da pan z siebie wszystko – odparłem i poszedłem dalej.

Czułem się dziwnie. Byłem przecież świadkiem ataku McCoya na człowieka, którego zapewne zabił. Ale równocześnie McCoy był moim pacjentem. Razem robiliśmy resuscytację, chcąc ocalić życie. Wymienialiśmy opowieści o Halloween. Przysięgałem przedkładać jego dobro nad moje – jako mój etyczny obowiązek. Ale równocześnie teraz miałem zeznawać przeciwko niemu i wiedziałem, że to mu się nie spodoba. Tak, miałem z tym nie lada problem.

Robert Leung – Azjata w wieku ponad trzydziestu lat, człowiek o sympatycznej twarzy, asystent prokuratora okręgowego Hrabstwa San Francisco – wstał, gdy wchodziłem do jego gabinetu.

– Doktor Seager? – zapytał.

– Panie Leung, miło mi pana poznać osobiście – rzekłem i uścisnęliśmy sobie ręce. W tym tygodniu rozmawialiśmy przez telefon i podałem mu treść mojego zeznania.

Wyjąłem notes, Leung sięgnął po swój bloczek prawniczy i usiedliśmy. Przedstawił mi pytania, jakie zamierzał zadać, a ja wyrecytowałem odpowiedzi, jakich chciałem udzielić. W sądzie prawnicy nigdy nie zadają pytań, na które nie znają odpowiedzi. W obecności telewizji niedopuszczalne są wszelkie niespodzianki.

Na koniec spotkania Leung zadał mi pytania na temat „bieżących chorób umysłowych”. Wyraziłem na ten temat pewne obawy.

– Nie powiem panu, co robić – rzekł Leung. – Musi pan to przemyśleć i zatrzymać dla siebie. Chyba, że pan chce, aby pan McCoy wyszedł stąd jako człowiek wolny.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Seks to jedna z przyczyn mojego upadku. W każdym razie miałem to, czego chciałem. Jeżeli kogoś musiałem do tego zmuszać, robiłem to... Zabijałem te zwierzęta, aby uprawiać z nimi seks, i uprawiałem z nimi seks, póki żyły.

HENRY LEE LUCAS, NAJWIĘKSZY AMERYKAŃSKI ZABÓJCA. UWAŻA SIĘ, ŻE W LATACH 1975–1983 ZAMORDOWAŁ 350 LUDZI. JEGO WYROK ŚMIERCI ZOSTAŁ ZAMIENIONY NA DOŻYWCIE PRZEZ ÓWCZESNEGO GUBERNATORA GEORGE'A W. BUSHA. LUCAS UMARŁ W WIEZIENIU 12 MARCA 2001 Z PRZYCZYN NATURALNYCH.

SĄD W SPRAWACH DOTYCZĄCYCH przypadków zdrowia psychicznego działa w sposób następujący: pacjent zostaje oskarżony o popełnienie zbrodni. Przy pierwszym spotkaniu z adwokatem prawnik ustala, jaki jest stan jego umysłu, a następnie czas popełnienia rzekomego przestępstwa. Zaraz po przedstawieniu sądowi wniosku o uznanie podsądnego za chorego umysłowo sąd wyznacza psychiatrę, aby wydał opinię o stanie zdrowia psychicznego pacjenta – obecnie albo w chwili popełnienia przestępstwa.

Jeżeli w opinii psychiatry osoba oskarżona była chora umysłowo w chwili popełnienia przestępstwa i dlatego nie potrafiła rozróżnić „dobra od zła”, obrońca publiczny może wnioskować, aby sąd wydał orzeczenie, iż jest niewinna na skutek choroby umysłowej (NGRI). Tego typu decyzji nie podejmowano pochylnie. Orzeczenie sędziego, że oskarżony jest NGRI prowadzi do uniewinnienia go i równocześnie do wysłania do stanowego szpitala dla umysłowo chorych, na leczenie psychiatryczne. „Niewinny”

bowiem wcale nie oznacza, że nie jest winny. Na tym kończy się rozpatrywanie kwestii związanej z przestępstwem. Oskarżenie zostaje oddalone. Teraz jedynym problemem pozostaje leczenie.

Zgodnie z wyrokiem Sądu Najwyższego celem opieki psychiatrycznej nie jest łagodzenie objawów, ale ustalenie skali niebezpieczeństwa pacjenta. W celu podtrzymania orzeczenia o niepoczytalności (NGRI) szpital musi udowodnić – zasięgając opinii specjalisty – że pacjent nadal cierpi na chorobę umysłową, ale równocześnie nie jest niebezpieczny.

Jeżeli Bill McCoy zostanie uznany NGRI, mimo potwornego charakteru popełnionej przez niego zbrodni nie zostanie postawiony w stan oskarżenia. Jeżeli Leung i ja nie udowodnimy, że obecnie jest chory umysłowo i z tego powodu jest niebezpieczny, wtedy zostanie zwolniony.

Leung zwrócił się do mnie:

– Wiem, że ta rozprawa postawiła pana w trudnej sytuacji – rzekł. – McCoy jest pańskim pacjentem i rozumiem, że zeznawanie przeciwko niemu jest dla pana kłopotliwe. Ale ja myślę o tych tam ludziach. Wskazał głową najbliższe okno. – Oni liczą na naszą opiekę i ochronę.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Musimy już iść – rzekł w końcu Leung. Wziął sponiewieraną aktówkę i podszedł do drzwi. Minęliśmy niezbyt gęsty tłum przed salą sądową.

Zająłem miejsce w sekcji dla publiczności. Leung przekroczył wąską bramkę oddzielającą właściwy sąd od widzów, położył aktówkę na półkę pod jednym z dwóch stolików stojących przed ławą sędziowską i usiadł.

W czasie gdy publiczność zapełniała salę, przejrzałem moje notatki. Pomyślałem o Oddziale C. Myślałem o McCoyu. I o tym, co powiedział Leung. Wyjrzałem przez małe okno. Po drugiej stronie ulicy, uprawiając jogging, biegły dwie kobiety.

Są dwa typy postępowania prawnego w przypadku rozpatrywania kwestii zdrowia umysłowego: pierwszy to proces sądowy, w którym przewodniczy tylko jeden sędzia; drugi to rozprawa przed ławą przysięgłych. Oskarżeni w takich procesach mogą wybierać. McCoy wnioskował o ławę przysięgłych.

Oprócz obowiązku „sądowego” przeglądu pacjenta stanowego szpitala i poddawania go ocenie, jak każdej osoby znajdującej się w stanowym więzieniu, pacjent raz w roku ma obowiązek stawienia się na skutek urzędowego nakazu w sądzie, zgodnie z ustawą zabraniającą aresztowania obywatela bez zgody sądu. „Nakaz urzędowy” oznacza „działanie prawne” zgodnie z wyżej wymienioną ustawą opartą na starym prawie angielskim, określającą „prezentowanie ciała”. Nakaz urzędowy *habeas corpus* wymaga od każdej jednostki przetrzymującej – w naszym przypadku szpitala – aby stawiła się w sądzie w celu wykazania i zbadania legalności dalszego przetrzymywania. McCoy miał taki nakaz urzędowy *habeas corpus*.

Tego ranka mieliśmy być przesłuchiwać w ramach nakazu urzędowego. Schemat takiego przesłuchania jest w większości przypadków podobny. Interesy szpitala reprezentuje prokurator okręgowy hrabstwa i to on przedstawia argumenty za dalszym przetrzymywaniem pacjenta w szpitalu. Adwokat obrony albo obrońca publiczny – również zatrudniony przez dane hrabstwo – prezentuje argumenty za zwolnieniem pacjenta. Ja zawsze byłem wzywany jako świadek prokuratora okręgowego.

Są też dwa typy świadków: świadek co do faktów i rzeczoznawca-biegły. Świadek może zeznawać tylko to, co widział lub słyszał; rzeczoznawca-biegły może wydawać tylko opinie i wysuwać wnioski. Ja należałem do rzeczoznawców-biegłych. Prokurator okręgowy może zadawać mi pytania jako pierwszemu z zeznających świadków, a następnie obrońca publiczny poddaje przesłuchaniu rzeczoznawcę-biegłego strony przeciwnej.

Przesłuchania w sprawach zdrowia umysłowego nie posiadają specjalnego priorytetu w dziennym rozkładzie rozpraw Sądu Najwyższego. Tego dnia musiałem czekać dwie godziny, aby rozpatrzono tuzin innych spraw – aresztowania za narkotyki, znęcanie się na małżonkiem, napad, maltretowanie ogólne – i ogłoszenie wyroków. Następnie sędzia, niepozorna kobieta o zmyśle praktycznym, zajrzała do rozkładu dziennego i oznajmiła:

– Sprawa Williama McCoya.

Zaczekaliśmy, aż urzędnik sądowy pilnujący porządku przejdzie

przejściem dzielącym obie nawy widzów i otworzy drzwi na korytarz. Weszło dwunastu sędziów przysięgłych wybranych poprzedniego dnia i zajęli miejsca w wyznaczonym boksie odgrodzonym od sali sądowej. Następnie weszli pełnomocnicy i usiedli przy stołach ustawionych przed ławą sędziowską.

Teraz urzędnik otworzył boczne drzwi i do sali wszedł McCoy pod eskortą dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Na rękach i nogach miał kajdanki, był w czysto błękitnym, szpitalnym stroju. Wolno powlókł się na miejsce obok swego pełnomocnika. Nie patrzył na mnie. Tatuaż „piekło” na czole został zaklejony plastrem opatrunkowym w kolorze skóry.

– Czy stan jest gotów do wszczęcia postępowania, panie Leung? – zapytała sędzia.

– Tak, wysoki sędzie – odparł Leung.

– Czy obrona jest gotowa, pani McCarthy? – kontynuowała sędzia.

– Tak, wysoki sędzie – odparła Susan McCarthy, młoda kobieta w ciemnych spodniach.

– Panie Leung, proszę wezwać swojego pierwszego świadka – poleciła sędzia.

Leung wstał, odwrócił się i rzekł:

– Stan wzywa doktora Seagera.

Dziękowałem za te dwie godziny ekstra przed rozpoczęciem rozprawy. Dały mi okazję do dokładnego przejrzenia notatek, ale – co istotniejsze – umożliwiły rozważenie tego, co uważałem, że będzie fair, co czułem, iż jest moim obowiązkiem wobec Billa McCoya, wobec siebie i wobec ludzi poza szpitalem.

W istocie byłem w pełni zdecydowany dopiero wtedy, gdy usłyszałem swoje nazwisko. Wstałem i podszedłem do miejsca dla świadków. Stałem na lewo od sędzi, obok miejsca dla świadków.

– Proszę podnieść prawą rękę – rzekł urzędnik sądowy. Wykonałem polecenie.

Urzędnik wyrecytował formułkę:



– Czy pan uroczyście przysięga, że będzie pan zeznawał w tej sprawie prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg?

– Tak.

– Proszę siadać – rzekła sędzia.

Wróciłem na miejsce dla świadków i usiadłem.

Na niewidocznej dla sędziów przysięgłych półeczce po mojej lewej stronie ulokowano mały dzbanek z wodą, plastikowy kubek i paczkę higienicznych chusteczek. Do bariery miejsca dla świadków przymocowano mikrofon, który teraz odpowiednio ustawiłem.

– Proszę przeliterować swoje nazwisko – rzekł urzędnik.

Zrobiłem to. Sekretarka sądowa szybko je zapisała. Spojrzałem na nią, a potem przeniosłem wzrok na sędziów przysięgłych, dwanaście twarzy – pięciu mężczyzn i siedem kobiet – decydujących o losie Billa McCoya. Nie patrzyłem na McCoya, ale wiedziałem, że on patrzy na mnie.

Odwróciłem się, gdy Leung podniósł się ze swojego miejsca.

– Doktorze Seager, jaki jest pana zawód?

To, co potem nastąpiło, było standardowym zestawem pytań i odpowiedzi zwanych *voir dire*. Ten zwrot prawny o niepewnej etymologii oznacza procedurę przesłuchiwania potencjalnych sędziów pod kątem ich bezstronności, albo – jak w moim przypadku – badanie kwalifikacji świadka, zanim otrzyma on certyfikat „eksperta”.

Pytania Leunga były proste, nieskomplikowane, w przeciwieństwie do szybkich pytań McCarthy.

– Gdzie pan uczęszczał do szkoły średniej? – zaczęła. I przez następne pół godziny odpowiadałem na pytania dotyczące tego, gdzie mieszkam, jaki ukończyłem koledż, jaka jest moja specjalizacja w medycynie, jakie miałem oceny, a potem – szczegółowo – musiałem opisać moje wykształcenie w psychiatrii i wszystkie poprzednie zajęcia.

Te pytania były nużące i wyczerpujące. Jednak rozumiałem ich cel. Wiedziałem, że McCarthy sprawdzała moje kompetencje jako świadka eksperta. Byłem jedynym świadkiem wezwanym w tej sprawie, lecz

zawodowa odpowiedzialność nakazywała jej reprezentować McCoya najlepiej, jak tylko potrafi. Doskonale wiedziała, że sędziowie śledzą jej pytania. I jeżeli podczas *voir dire* znajdzie choćby najmniejsze pęknięcie w mojej zbroi, wykorzysta je na swój użytek.

– Od sześciu miesięcy pracuje pan w Napa State Hospital? – zapytała McCarthy i dla efektu ostentacyjnie zajrzała do swoich notatek.

– Tak.

– Czy to wystarczająco długo, żeby zakwalifikować pana jako eksperta w tej skomplikowanej sprawie?

– Tak.

McCarthy odłożyła notes.

– Akceptuję doktora Seagera jako eksperta – oświadczyła.

McCoy był żywo zainteresowany pytaniami McCarthy. Teraz wiedział o mnie dużo więcej niż powinien. Poczujęm się nieswojo. Posłał uśmiech McCarthy, która lekko skinęła mu głową.

Wstał Leung i zaczęło się prawdziwe przesłuchanie. Zadał mi te wszystkie pytania, jakie przeciwiczyliśmy przez telefon, a potem w jego gabinecie. Przedstawiłem całą historię zachowania się McCoya od chwili mego przybycia na Oddział C. Nasza rozmowa weszła w fazę konkretów, gdy dotarliśmy do napadu na Wilkinsa.

– Czy pan zeznał, że widział, jak pan McCoy walnął w głowę pana Wilkinsa ciężkim drewnianym krzesłem? – zapytał Leung.

– Sprzeciw – wtrąciła McCarthy – za użycie słowa „walnął”.

– Podtrzymany – oznajmiła sędzia.

Leung powtórzył pytanie:

– Czy zeznał pan, że widział, jak pan McCoy uderzył pana Wilkinsa w głowę ciężkim drewnianym krzesłem?

– Tak – odparłem.

– I że został pan też zraniony przez pana McCoya?

– Tak. Zostałem tak pchnięty, że uderzyłem głową o ścianę. Miałem szytą ranę i założono mi dziesięć szwów.

Leung przewrócił stronę żółtego prawniczego bloczku i po chwili zadał następne pytanie:

– Może pan sformułować opinię dotyczącą diagnozy psychiatrycznej pana McCoya?

– Tak.

– I jak brzmi ta diagnoza?

– Zaburzenia dwubiegunowe, maniakalne z cechami psychotycznymi.

– To bzdura i on o tym wie! – wrzasnął McCoy. Sędziowie przysięgli wzdrygnęli się

Sędzia zastukała młotkiem.

– Pani McCarthy, proszę pouczyć swojego klienta, aby powstrzymał się od tego rodzaju wybuchów – rzekła. – Inaczej będę zmuszona usunąć go z sali.

McCarthy odwróciła się i ostro skarciła McCoya. Uspokoił się, chociaż trwało to dłuższą chwilę.

– Przepraszam, wysoki sędzie – rzekła McCarthy. – To się już nie powtórzy.

Sędzia skinęła głową w kierunku Leunga.

– Na czym pan opierał swoją diagnozę? – spytał Leung.

– Pan McCoy miał już w swojej historii poważną huśtawkę nastrojów i słyszał głosy – odparłem.

– Czy te symptomy obecnie też występują? – zapytał Leung.

– Nie.

– Czy występowały w ciągu minionych sześciu miesięcy?

– Tak.

– Gdybym przedstawił kartę szpitalną McCoya – rzekł Leung – to czy mógłby pan wskazać, gdzie te symptomy zostały udokumentowane?

– Tak.

McCoy coś szepnął do McCarthy, ale nie odwróciła do niego głowy.

Leung wrócił do swojego stolika, podniósł ze stosu papierów czerwoną kartę Gomory, cofnął się i podał mnie.

Znalazłem odpowiednią stronę.

– Mam odczytać? – zapytałem.

– Proszę – rzekł Leung.

– Z zapisu pielęgniarki, datowanego na dzień, gdy pan McCoy napadł na pana Wilkinsa – zacząłem i odczytałem dosłownie zapis w karcie: – „Po ataku pan McCoy stwierdził – chwytając się za głowę – »kazały mi to zrobić głosy«, a potem wyszedł na dziedziniec”.

McCarthy nacisnęła ramię McCoya, który już zamierzał zerwać się z miejsca. Szybko zamienili między sobą kilka słów.

– Świadek należy do pani – rzekł Leung i usiadł.

McCarthy upewniła się, że McCoy jest spokojny, i wstała.

– Czy w karcie McCoya – zapytała spokojnie – jest jeszcze gdzieś opis innych symptomów psychozy?

– Nie ma.

– Ta karta jest dość obszerna – rzekła McCarthy. – Doktorze Seager, może pan pokazać ją sędziom przysięgłym?

Podąłem kartę, odwracając tak, aby każdy mógł zapoznać się z jej zawartością.

– I w całej karcie – kontynuowała McCarthy – istnieje tylko jeden zapis, który według pana dokumentuje, że pan McCoy nadal cierpi na permanentną psychozę?

– Tak.

McCarthy podeszła do mnie.

– Czy jest możliwe, żeby tę jego wypowiedź potraktować jako żart?

– Tamtego strasznego dnia nic nie było żartem – odparłem.

– Pan oczywiście był wtedy tego świadkiem?

– Tak.

– Wobec tego słyszał pan, że pan McCoy wypowiedział te słowa?

– Tak, słyszałem.

– Czy uważa pan, że jego stwierdzenie oznacza, iż naprawdę słyszał te głosy? – zapytała McCarthy.

Zwróciłem się wprost do McCarthy.

– Ja nie wiem, co on miał na myśli – rzekłem. – Wiem tylko, co powiedział. McCarthy patrzyła na plik notatek, który trzymała w ręce, potem spojrzała na sędziów przysięgłych i znowu na mnie.

– Nie mam pytań – stwierdziła.

– Jest pan wolny, doktorze Seager – oznajmiła sędzia.

Nie zamierzałem zostawać na resztę rozprawy. Sąd bez wątpienia będzie jeszcze przesłuchiwał McCoya, potem Leunga i McCarthy, podsumuje, a następnie przysięgli zadecydują o losie McCoya. Moja rola dobiegła końca.

Minąłem stół Leunga, przekroczyłem wahadłowe drzwi dzielące salę od części przeznaczanej dla widzów, a potem wyszedłem z sali sądowej. Poszedłem do auta i wyjechałem na międzystanową. Na niebie zbierały się chmury burzowe.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zaczynając rozwalać choinkę bożonarodzeniową, opowiadał, jaka była ładna. Więc zastrzeliłem go.

DAVID BULLOCK, KTÓRY W LATACH 1981–1982 ZABIŁ SZEŚCIU LUDZI. OFIARĄ NUMER PIĘĆ BYŁ HERIBERTO MORALES, LAT PIĘĆDZIESIĄT, KTÓRY ODWIEDZIŁ DOM BULLOCKA PO WIECZERZY BOŻONARODZENIOWEJ.

W PONIEDZIAŁEK RANO zebrałem w sobie całą odwagę i otworzyłem drzwi Oddziału C. W tym tygodniu każdego ranka czułem to samo. I co rano odczuwałem wyraźną ulgę na widok posłanego, pustego łóżka McCoya. Do piątku zacząłem się już uspokajać. „Pewnie go wypuścili”, pomyślałem w drodze do domu.

Spędziłem weekend z Ingrid i Johnem, przygotowując się do świąt Bożego Narodzenia. Robiliśmy zakupy. Pakowaliśmy prezenty. Jadaliśmy poza domem, zrywaliśmy z okapów cienkie, błyszczące sople lodu i przywlekliśmy do domu najintensywniej pachnącą choinkę, jaką tylko udało się nam znaleźć.

Jadąc w poniedziałek do pracy, sprawdzałem listę prezentów i odhaczałem te, które miałem jeszcze zamówić z Amazonie. „Święta są dopiero w niedzielę”, pomyślałem, „więc nie ma problemu”.

Minąłem punkt kontrolny, przeszedłem zielony podwórzec z leniwymi pawiami i skierowałem się do mojego gabinetu. Odczytałem wiadomości na poczcie elektronicznej i poszedłem na Oddział C.

Włożyłem klucz do zamka i otworzyłem drzwi. Korytarz był pusty. Udałem się prosto do dyżurki pielęgniarek.

– Wesółych Świąt! – zawołał McCoy ze swojego pokoju i wytknął głowę na korytarz. Plaster opatrunkowy zniknął i napis „piekło” znowu był widoczny.

– Miło mi pana widzieć, doktorze Seager.

– Miło mi pana widzieć, panie McCoy – odpowiedziałem.

Z trudem dowlokłem się na poranną odprawę.

– Wrócił McCoy – zauważyłem i usiadłem.

– Według mnie wygląda całkiem dobrze – wtrąciła Hancock.

– Z takimi typami nigdy nie wiadomo – sprzeciwił się Xiang. – W tym problem.

– Nie ma się czym martwić – stwierdził Cohen. – Będziemy czujni.

– Ja się nie martwię – skłamałem. – Zaczynajmy.

Pod koniec zebrania czułem się nieswój.

– Moglibyśmy porozmawiać z McCoyem? – zapytałem. – Chcę się przekonać, w jakim jest nastroju po rozprawie.

– Dobry pomysł – rzekł Xiang i wszyscy się zgodzili.

– Przyrowadzę go – oświadczył Cohen i wyszedł.

Siedzieliśmy w milczeniu. Otworzyły się drzwi do pokoju konferencyjnego.

– Witam wszystkich – zawołał McCoy i usiadł przy stole naprzeciwko mnie i Cohena.

– Dzień dobry, panie McCoy – odpowiedział Xiang.

– Zrobiłem coś złego? – zapytał McCoy. – Ten zespół nigdy nie zapraszał mnie do tego pokoju.

– Chcieliśmy tylko zobaczyć pana i przekonać się, jak się pan czuje – rzekł Cohen. – Wiemy, że rozprawa sądowa nie poszła tak, jak się pan spodziewał. Dlatego zastanawiamy się, jak się pan teraz czuje.

– W porządku – odparł McCoy.

– Zeznawałem przeciwko panu, McCoy – przypomniałem. – Czy pogodził się pan z tym?

McCoy spojrzał na mnie uważnie. W pewnej chwili pomyślałem, że jest

gotów przeskoczyć przez stół.

– Panie McCoy...? – rzucił Xiang. – Pogodził się pan z tym?

– Ach, naturalnie, wszystko w porządku – odrzekł McCoy i uśmiechnął się.

– Rozumiem, że pan tylko wykonywał swoją pracę, doktorze. Do diabła, nie pierwszy raz stawałem przed sądem. I pewnie nie po raz ostatni.

Teraz przestał się uśmiechać.

– Nie powiem, żebym się zgadzał z tym, co pan powiedział – kontynuował McCoy. – I nie sądzę, żeby pan też w to wierzył. – Wzruszył ramionami. – Jednak co się już stało, to się nie odstanie.

– Rozprawa sądowa to trudne przejście dla każdego – zauważył Cohen. – Chcę jednak spytać pana wprost: planuje pan jakąś zemstę? Chce pan komuś dokopać?

– To nie w moim stylu – stwierdził McCoy.

– A co jest w pańskim stylu? – zapytałem.

McCoy rozsiadł się wygodnie.

– Może pan w to nie uwierzy – rzekł – ale kiedyś byłem jednym z facetów w pana typie. Nosilem garnitur, krawat i chodziłem do pracy. Studiowałem. Uzyskałem państwowy dyplom księgowego. Miałem żonę. Dom. Całe dziewięć jardów. Do diabła, doktorze – ciągnął – i nauczyłem się resuscytacji w YMCA. Dziwne, co? Resuscytacja? Pieprzony księgowy? Przynajmniej do czasu, gdy poznałem panią metamfetaminę. – Roześmiał się.

– Księgowy – powtórzyła Hancock. – To interesujące.

Nie miałem pojęcia, do czego zmierzamy.

– Moją specjalnością była księgowość – mówił dalej McCoy. – To naprawdę piękne zajęcie. A wie pan dlaczego? Bo pod koniec dnia albo tygodnia, czy roku, a nawet całej dekady, w księgach rachunkowych wszystko musi być zbilansowane. Jesteś winien – płacisz.

– Czy to ma być groźba? – zapytałem.

– Groźba, doktorze? – McCoy odpowiedział wolno. – Nieee... ja tylko mówię o księgowości.

– Zafundował pan doktorowi Seagerowi dziesięć szwów na głowie – rzekł



Cohen. – I myślę, że księgi zostały zbilansowane.

– Dziesięć szwów za następny rok tutaj? – zapytał McCoy.

Byłem już tym zmęczony. Bałem się.

– Panie McCoy – rzekłem – zapomnij pan o tych szwach i pozwól, żebym panu opowiedział o tym, co ostatnio przeczytałem. Jest to nowy przepis prawny wydany przez stanowe ciało ustawodawcze, zwany „winny mimo choroby umysłowej”. Słyszał pan o nim?

McCoy sprawiał wrażenie lekko wytrąconego z równowagi.

– Czy słyszałem o czymś takim? Tak, słyszałem – odparł.

– To znaczy, że jeżeli ktoś popełni jakieś poważne przestępstwo – wyjaśniłem – jak na przykład brutalny napad na drugą osobę, nawet jeśli w tym czasie był chory psychicznie, to zostanie skazany na więzienie, a nie na pobyt w tutejszym szpitalu. Na więzienie, w którym nie będzie miał ligi softballu. – Rozparłem się wygodnie w krześle, tak jak przedtem McCoy. – I to prawo ma działać wstecz od ostatniego września.

McCoy wyprostował się. Patrzyliśmy sobie w oczy bez zmrużenia powiek.

– Nie chcę stracić softballu – oświadczył w końcu i odwrócił wzrok.

\* \* \*

Istnieją dwa typy grózb. „Ostre” groźby na poziomie okazywania wściekłości: „Zabiję cię!”, wyrażane wprost i konkretnie. Oraz groźby „na zimno”, czyli skalkulowane i wyrachowane: „W księgach wszystko musi być zbilansowane”. Takie groźby na zimno można zlekceważyć, jednak są to groźby bardzo realne i mogą być niezwykle niebezpieczne. Gniew minie, wygaśnie, lecz lód może trwać bardzo długo.

Cohen odprowadził McCoya do pokoju. Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Doskonale – powiedziała Hancock.

– Zgadza się – dodała Palanqui.

– Jednak musimy być czujni – stwierdził Xiang.

Wrócił Cohen.

– McCoy pytał o to nowe prawo stanowe, o którym pan mówił – rzekł. –

Gdzie pan o nim czytał?

– W Internecie, jak sądzę – odparłem.

Wyczerpany, z nadzieją zmiany tematu, zwróciłem się do Palanqui:

– Czy coś wiadomo o wizycie świętego mikołaja w naszym szpitalu?

Palanqui rozpogodziła się.

– Jest u nas co roku. W ostatni piątek przed Bożym Narodzeniem. Będzie tego piątku po południu.

– O co chodzi? – zainteresował się Cohen z ożywieniem.

– Przekona się pan – wtrącił Xiang.

Odczułem szaloną ulgę, wiedziałem jednak, że groźba McCoya była poważna. On miał swoich ludzi poza murami Gomory. Mogli też użyć Internetu. Jednak miałem nadzieję, że przynajmniej przez święta będzie spokój.

We wtorek po południu stałem na korytarzu Oddziału C. Podszedł do mnie jakiś starszy mężczyzna.

– Wesółych świąt – powiedział. – Zrobiłem to dla pana na zajęciach z robót ręcznych. – Wręczył mi pomalowany kolorowo drewniany patyk, przyozdobiony czerwono-złotym błyszczkiem. – To taki szamański telefon – szepnął poufnie.

– Dziękuję – rzekłem i położyłem go na parapecie okna w dyżurce pielęgniarek. – W ten sposób wszyscy będą go widzieli.

W środę podjechał do mnie Burns na swoim fotelu.

– Dla pana – rzekł i pokazał mi małą akwarelkę.

Obejrzałem ją przy świetle lamp w korytarzu. Była to mieszanina czerwieni i zieleni.

– To jest...

– Ozdoba na choinkę bożonarodzeniową – wyjaśnił Burns. – Moja ulubiona, kiedy byłem dzieckiem.

– Pięknie wykonane – stwierdziłem. – Wesółych świąt, panie Burns.

Uśmiechnął się i odjechał. Obrazek znalazł się na parapecie obok kijka.

Prezenty pacjentów wręczane psychiatrom zawsze są traktowane jak coś,

co ma pewne znaczenie, i ogólnie powinny być przyjmowane z dezaprobatą, mogą bowiem uchodzić za próbę przekupstwa, czego należy bezwzględnie unikać.

Jednak zranienie czyichś uczuć albo jakaś paranoidalnie błędna interpretacja mogą doprowadzić do aktów gwałtu.

Reguły separacji pacjentów z psychiatrami zmieniały się, ale dziś są stricte przestrzegane. Żadnych kontaktów emocjonalnych. Żadnych zobowiązań finansowych ani kontaktów fizycznych; żadnych przysług, prezentów itp. Linia dzieląca pacjenta od lekarza zawsze stanowi nieprzekraczalną granicę i każdy wyłom w tym protokole uważany jest jako naruszenie tej granicy. Prawie każdy psychiatra, który stracił prawo wykonywania zawodu, poszedł ścieżką naruszającą tę granicę.

W czwartek Tom Caruthers kiwnął do mnie ze swojego pokoju. Miał małą paczuszkę starannie owiniętą w papier do robót ręcznych, który skradł z pracowni artystycznej.

– To nie jest prezent – rzekł i podał mi paczuszkę. – Ja tylko chcę coś panu zwrócić.

Odebrałem od niego paczuszkę i poczułem, jak zasycha mi w gardle. Dokładnie wiedziałem, co było w środku.

– Dał mi to pan, gdy chodziłem do szkoły średniej – wyjaśnił Caruthers. – I to mi pomogło przebrnąć przez to bagno. Za każdym razem, gdy na to patrzyłem, myślałem o panu i o tym, jak bardzo nie chcę pana zawieść.

Oderwałem dwa paski taśmy klejącej i rozwinąłem papier. Wewnątrz, w czystej plastikowej okładce znajdowała się karta baseballowa z 1959 roku z Sandym Koufaxem. Caruthers i ja byliśmy wielkimi fanami baseballu. A ja zawsze zbierałem takie karty. Podarowałem Caruthersowi kartę z Koufaxem, kiedy jeszcze ta granica nie była wyraźna. Wróciły do mnie wspomnienia czasów, gdy Caruthers był młody. I gdy ja też byłem młody. A także mój ojciec, który dał mi tę kartę. Wpatrywałem się w nią.

– Przecież wiesz, że nie mogę tego przyjąć – stwierdziłem.

– Wiem – odparł Caruthers. – Ale pomogła mi. Niech pan znajdzie kogoś,

kto jej będzie potrzebował.

Ujął moją dłoń i dodał:

– Wesółych świąt. – I wrócił do swojego pokoju.

Dokładnie wiedziałem, co zrobić z tą dawno zapomnianą kartą. Nie zważając na przekroczenie granicy, schowałem kartę do kieszeni.

\* \* \*

– Musimy być gotowi na piętnastą – oznajmiła Larsen po piątkowej naradzie – i sprowadzić chłopców na uroczysty pochód.

– Uroczysty pochód? – zapytałem.

– Na przybycie świętego mikołaja – wyjaśniła Monabong. – Wtedy właśnie odbędzie się ten uroczysty pochód.

– Odbył długą drogę – dodał Cohen – i spodziewa się tego.

– Kto w tym roku będzie świętym mikołajem? – zapytała Palanqui.

– Pan Watson z piętra – odparł Xiang.

– Watson? – zdziwiła się Palanqui. – Ten rozsypujący się mały facet?

Pokazała ręką, że nie sięga jej nawet do ramienia.

– To jedyny mężczyzna – odpowiedział Xiang – który przez cały rok nie wywołał żadnej awantury.

Po lunchu minąłem z Cohenem Palanqui i Monabong w drodze do punktu kontrolnego. Miały na sobie zielone filcowe kostiumy elfów, spiczaste kapelusze, czerwone skarpetki w paski i buciki z zakręconymi do góry czubkami. Pokiwaliśmy im. W odpowiedzi odtńczyły taniec elfów i oddały pozdrowienia.

W centrum prezentacji, na obszernym terenie zieleni graniczącej z Oddziałem D, wzniesiono z drewna estradę. Ustawiono na niej dwunastostopową choinkę udekorowaną dwunastoma dużymi białobłękitnymi ozdobami z *papier-mâché* i trzema grubymi, bliźniaczymi sznurami srebrnych chorągiewek. Podstawę choinki owinięto płótnem i ustawiono stos pomalowanych kolorowo pudeł z drewna, z ogromnymi kokardami na szczycie. Po prawej stronie choinki stało podium, a za nim

dwa rzędy składanych krzeseł.

Jeszcze na Oddziale C przyłączyłem się razem z Cohenem do personelu i wielu mężczyzn z oddziału; kilku pacjentów wybrano, aby pozostali na miejscu, a dwie pielęgniarki zgodziły się zostać z nimi. Xiang sprawdził nazwiska na liście, Cohen otworzył kluczem drzwi i wyszliśmy.

Szedłem z Boudreaux, a Caruthers pchał za nami fotel z Ortegą. Reszta personelu poszła przodem, mieszając się z pacjentami Oddziału C. Od strony kampusu, jak potoki wezbrane po burzy, wlewali się pacjenci, kierując się do gigantycznego drzewka bożonarodzeniowego. Przed estradą zgromadził się ogromny tłum.

Jak zawsze i wszędzie, wszyscy byli podekscytowani świętami. Jednak tu nietypowo dla świąt Bożego Narodzenia policja zaprezentowała wszystkie swoje siły, otaczając uczestników spektaklu ze świętym mikołajem. Zaintonowano *White Christmas* i *Rudolfa Czerwononosego*. Potem wstała doktor Francis, stuknęła w mikrofon na pulpicie i oznajmiła:

– Witam w Napa State Hospital na dorocznych uroczystościach związanych ze świętami Bożego Narodzenia. Czy wszyscy czują się dobrze?

Zagrzmiało ogólne:

– Taaaakkk!

Doktor Francis podziękowała szpitalnym dygnitarzom obecnym na tej uroczystości, potem robotnikom, którzy zbudowali estradę i udekorowali drzewko świąteczne.

– Już bez dalszych wstępów – ciągnęła – teraz Marta Castle z oddziału kobiecego oświetli naszą oficjalną choinkę Napa State.

Obok doktor Francis stała masywnie zbudowana biała kobieta o krótko ostrzyżonych, brązowych włosach.

– Zaczynam odliczanie – oznajmiła doktor Francis. – Pięć, cztery, trzy...! – krzyknęła i tłum zawtórował. Zaraz po „trzy” Castle nacisnęła dźwignię i drzewko eksplodowało feerią barwnych lampek.

– ...dwa, jeden – dokończyła doktor Francis, lecz jej głos utonął w chórze ogólnego aplauzu.

Doktor Francis odwróciła się i wyciągnęła rękę w kierunku punktu kontrolnego przy wjeździe na teren szpitala.

– Wydaje mi się, że właśnie przybywa gość honorowy.

W głównym wejściu pojawiły się dwa idealnie odtworzone kabriolety cadillac, rocznik 1958, a każdym kierował uśmiechnięty policjant. Zielono odziane elfy machały rękoma, stojąc w jadącym na przedzie błyszczącym, zielonym aucie. Na tylnym siedzeniu różowego auta siedział bardzo mały święty mikołaj. Za nim leżał jego worek z prezentami. Z zestawu głośnikowego popłynęła pieśń *Oto przybywa Święty Mikołaj*.

Pacjenci podskakiwali, wyciągali szyję, starali się zobaczyć świętego.

– Powitajcie Świętego Mikołaja w Napa State! – zagrzmiała doktor Francis.

Tłum eksplodował długotrwałą owacją, gdy święty mikołaj i jego elfy zdążali w kierunku podium. Elfy wyskoczyły z pierwszego auta i utworzyły szpaler. Święty mikołaj opuścił różowy samochód (albo tak mi się wydawało, bo mogłem tylko zobaczyć między elfami czubek jego czapki. Przypominało to czerwoną piłkę podskakującą na zielonym filcu).

Święty mikołaj wspiął się po dwóch drewnianych stopniach i pojawił się na estradzie razem ze swoim workiem. Doktor Francis podeszła, żeby go powitać. Potem spojrzała na tłum i wyciągnęła rękę, omal nie wydłubując świętemu oka. Stojąc obok doktor Francis, wyglądał jak uczeń szkolny ubrany w różnokolorowe szmatki.

Święty mikołaj zatrzymał się, wyprostował i nagle się odwrócił. Wlepił wzrok w tłum i wrzasnął:

– Hej! Zabierz łapy od mojej dziewczyny!

– Ja cię pieprzę, święty! – krzyknął duży mężczyzna w pierwszym rzędzie i objął rękoma ciemnowłosą kobietę.

Na to święty mikołaj chwycił worek, zarzucił go na ramię i pomaszerował na front estrady.

– Pieprzysz mnie? Sam się pieprz! – ryknął.

– Zamknij się, krasnalu! – odkrzyknął duży mężczyzna.

Święty zakręcił się wokół własnej osi, chwycił worek i wywijając nim nad głową, gotował się do rzutu.

Cohen uruchomił swój alarm.

– Idziemy! – krzyknął i wskoczyliśmy na estradę.

Xiang powstrzymał świętego w chwili, gdy nadał już workowi odpowiedni impet. Wtedy walnął Cohena w czubek głowy i wszyscy zaczęli się kotłować. Estradę zapełnili policjanci, szybko przywracając porządek.

– Ty podła, zakłamana dziwko! – wrzeszczał święty mikołaj.

Ciągle się rzucał, ale nie dał rady Cohenowi i Xiangowi. Chwyciłem worek świętego. Był wypchany rzeczami do prania.

Świętego chwyciło czterech policjantów i kopiącego we wszystkie strony pociągnęło na zaplecze estrady. W tym całym bałaganie zgasły niektóre światełka na choince, dwie duże paczki runęły na ziemię, gdzie skopano je, a drugi rząd srebrnych chorągiewek spadł i został rozdeptany. Po odejściu szefostwa szpitala przewracano krzesła.

Policjanci i personel zaprowadzili pacjentów z powrotem do odpowiednich oddziałów. Ja podążyłem za grupą z Oddziału C. Uszliśmy już kawałek, gdy zauważyłem Cervantesa – nienaruszona maska szopa pracza i kołyszące się różowe flagi – idącego za mną.

Zatrzymałem się i przepuściłem go do przodu. Wytrącony z równowagi, poszukałem wzrokiem McCoya, ale nigdzie go nie zobaczyłem. Pozwoliłem, żeby wszyscy przeszli. Zostałem sam. Potem zawróciłem, żeby pomóc w porządkach.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy tam siedziałem, zaczął się koło mnie pętać mały chłopiec, pewnie jedenasto-, dwunastoletni. Czegoś szukał. Potem znalazł. Zaprowadziłem go do żwirowni... Zostawiłem go tam, ale przedtem odbyłem z nim stosunek analny, a potem zabiłem go. Odchodząc, widziałem, jak uszami wypływa jego mózg.

CARL PAUZRAM, KTÓRY PRZYZNAŁ SIĘ DO ZABICIA 21 OSÓB, RAZEM Z SZEŚCIOMA AFRYKAŃSKIMI PRZEWODNIKAMI ŁOWCÓW KROKODYLI. POKROIŁ ICH I CIAŁAMI NAKARMIŁ KROKODYLE. PAUZRAM ZOSTAŁ POWIESZONY 6 WRZEŚNIA 1930 ROKU.

MÓJ NASTRÓJ POPRAWIŁ SIĘ, gdy zobaczyłem na stole w holu paczki z Amazona. John obejrzał je.

– Co tak oglądasz? – zapytałem z uśmiechem.

– Ja tylko robię spis inwentarza – rzekł John. – Muszę zaplanować przestrzeń w moim pokoju.

– Jesteś pewien, że to dla ciebie? – spytałem. Zebrałem je i ruszyłem, aby zanieść do sypialni.

– Są z Amazona – odparł John. – To nie dla mamy.

– Od kiedy jesteś taki bystry? – zawołałem.

Nadeszła wigilia. Wiedziałem, że Ingrid czuła się nieswojo bez swojej rodziny. Nasza kolej była w przyszłym roku – rodzice Ingrid i wszyscy bracia i siostry, siostrzenice i siostrzeńcy, bratanice i bratankowie – wszyscy w naszym domu. Jednak tego roku byliśmy tylko we trójkę, z psami.

Na wigilię ozdobiliśmy choinkę, a potem wymieniliśmy prezenty. Ostatni



prezent był małą prostokątną paczuszką owiniętą w srebrny papier. John podniósł ją i odczytał napis na czerwonej przywieszce.

– „Dla Johna. Z wyrazami gorącej miłości. Tatuś”.

– Wy, chłopcy, zawsze jesteście świętymi mikołajami – powiedziała Ingrid.

– To coś trochę innego – powiedziałem. Ingrid spojrzała na mnie pytająco.

John ostrożnie rozwinął papier i wysunął twardy futerał z plastiku mieszczący kartę baseballową z 1959 roku z Sandym Koufaxem, tę, którą oddał mi Caruthers.

– Mój ojciec dał mi ją, gdy byłem młody – wyjaśniłem. – Później, gdy po raz pierwszy objąłem stanowisko psychiatry, dałem kartę komuś, kto był mi bardzo bliski. Obecnie jest już człowiekiem dorosłym i zwrócił mi ją. A teraz daję ją tobie, komuś, kogo najbardziej kocham.

– Koufax? – rzekł John. – Jest słynny, prawda?

– Sandy Koufax był najlepszym w historii miotaczem, czyli zawodnikiem rzucającym piłkę w baseballu – wyjaśniłem. – Kiedyś, jako dziecko, byłem świadkiem, jak rzuca, teraz uważam, że ta karta posiada specjalną moc. Tę moc okazała, chroniąc pewnego chłopca. Mnie też pomogła przetrwać rozwód moich rodziców.

– Nigdy o tym nie mówiłeś – wtrąciła Ingrid.

– Byłem wtedy małym głuptasem – stwierdziłem.

– Podoba mi się – rzekł John. – Kimkolwiek był Koufax.

\* \* \*

Na Oddziale C tydzień dzielący święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok upłynął bez szczególnych wydarzeń. Mieliśmy kilka mniejszych starć, ale nie stało się nic złego. Ludzie rozmawiali na temat wizyty świętego mikołaja, który nigdy nie zawiódł, jeśli chodzi o wywołanie ogólnej wesołości. Ta opowieść mieściła się w tradycji Gomory, była czymś, co nikogo nie rani, co sprawia, że czujesz coś innego poza strachem.

Kilka razy minąłem w korytarzu McCoya. Zachowywał się z szacunkiem. Omijałem go szerokim łukiem. Cervantes także nie zbliżał się do mnie.

Zaplanowałem realizację jednego noworocznego postanowień – nie mieć więcej pacjentów, którzy chcą mnie zabić!

– Co pan będzie robił wieczorem przed Nowym Rokiem? – zapytała Hancock.

Byliśmy ostatnimi uczestnikami piątkowej narady.

– Coś z żoną – odparłem. – A pani?

– Rodzina idzie do kościoła – oznajmiła Hancock. – Jak zawsze. Następnego dnia przygotowujemy żywność dla schroniska dla bezdomnych.

– Żadnego baseballu? – zapytałem.

– Ależ skąd, nie mam nic przeciwko baseballowi – odparła. – Wracamy i następnego wieczór, w poniedziałek, zasiadamy przed telewizorem.

– Mogę zapytać, do którego kościoła należy pani rodzina?

– Do Adwentystów Dnia Siódmego – odpowiedziała Hancock.

– Milleryci<sup>[5]</sup>.

– Istotnie.

– Mój syn przeszedł do czwartej klasy szkoły adwentystów – oznajmiłem. – To wspaniały rok.

– Miło mi to słyszeć – stwierdziła Hancock.

– Mogę złożyć małą darowiznę na rzecz schroniska? – zapytałem. – Może pomoże zebrać żywność?

– Byłoby bardzo miło.

– Po zgubieniu go przed laty po raz enty, obecnie nie noszę przy sobie portfela.

Wyjąłem kilka banknotów z kieszeni, rozprostowałem je i wręczyłem Hancock. Nie liczyłem, ona też nie policzyła.

– Która drużyna jest pana ulubioną w meczu weekendowym w krykieta? – zapytała Hancock, chowając pieniądze do kieszeni dzinsów.

– Utah, stamtąd pochodzę.

Hancock poklepała kieszeń.

– Dobrze, przynajmniej na przyłożenie<sup>[6]</sup> – oznajmiła.

Zostałem u siebie do późna. Musiałem nadrobić zaległości przy moim

komputerze przed długim weekendem noworocznym. Po napisaniu do Ingrid sprawdziłem mój ostatni email, wyłączyłem komputer, zamknąłem na klucz gabinet, założyłem zimową kurtkę i ruszyłem do głównych drzwi.

Było zimniej niż przypuszczałem i podniosłem kołnierz kurtki. Nie uszedłem nawet pięćdziesięciu stóp, gdy zatrzymało mnie w miejscu paskudne *dejà vu*.

Po mojej lewej stronie, za Oddziałem C, odbywał się następny handel papierosami. Jedna osoba podawała karton paczek papierosów drugiej osobie, a pieniądze wędrowały w drugą stronę. Było to samo mdłe światło, te same mroczne postaci. Lecz ja nie byłem już taki sam.

Włączyłem mój biodrowy alarm i zawyła syrena. Mroczne postaci zamarły. Jedna z nich rzuciła na ziemię pieniądze, druga papierosy i skoczyły za budynek, aby zniknąć w mrokach nocy.

Główną drogę rozświetliły reflektory. Drzwi Oddziału C otwały się i wylała się z nich fala personelu. Zahamowały dwa auta policyjne i otworzyły się drzwi. Wskazałem kierunek. Mój puls bił normalnie.

– Z panem wszystko w porządku, doktorze? – zapytał Cole, mijając mnie. Razem z nim przyjechało trzech policjantów. Za nimi pulsowały czerwone i niebieskie światła.

– W porządku – zapewniłem Cole’a. Zjawił się personel z Oddziałów C i B. Wyłączyłem alarm.

– Wiemy, że pan właśnie opuścił budynek – rzekła Palanqui, ciężko dysząc. – Ten alarm bardzo nas przestraszył. – Jej słowa potwierdzili ruchem głowy obaj pomocnicy medyczni z Oddziału B.

– Ze mną wszystko okej – potwierdziłem. – Ale z tym nie. – Wskazałem puste miejsce za Oddziałem C. – Jacyś ludzie sprzedawali tam papierosy i alarm ich wystraszył. Rzucili wszystko na ziemię i uciekli. – Na ziemi leżał karton papierosów Marlboro Red i zwitek banknotów ściągniętych gumką.

– W którą stronę? – zapytał Cole.

Wskazałem ręką.

– Za ten budynek.

– Ja idę pieszo, wy ruszajcie za nimi! – krzyknął Cole i kiwnął na policjantów. – Jedźcie, chłopcy, za budynki D i szukajcie przy ogrodzeniu.

Trzech policjantów wskoczyło do swoich aut i natychmiast odjechali.

– Zostańcie na miejscu – rzucił Cole w stronę zgromadzonego personelu. Po czym ruszył pieszo za budynek Oddziału C.

Staliśmy cicho przez kilka sekund. Pielęgniarki spoglądały po sobie.

– Lepiej będzie, jak wrócimy – stwierdziła Palanqui. – Wydaje się, że policja wszystko już kontroluje.

– Dobry pomysł – zgodziłem się.

– Myśli pan, że się uda, doktorze? – zapytał pomocnik z Oddziału B.

– Zajęli się tym policjanci – odparłem. – My tu tylko zawadzamy.

– Szczęśliwego Nowego Roku, doktorze. – Palanqui złożyła mi życzenia i personel zaczął wracać na oddział.

– Wzajemnie – odpowiedziałem i usłyszałem głos innej syreny.

Pojawił się trzeci samochód policyjny. Światła reflektorów zatoczyły krąg i auto gwałtownie zahamowało. Ktoś wysiadł i podszedł do mnie.

– To znowu pan? – Usłyszałem głos detektywa Levina.

– Byłem świadkiem następnej transakcji papierosowej. Tam pobiegł Cole – wskazałem. – Może potrzebować pomocy.

– Cole poradzi sobie sam – rzekł Levin. – Bardziej interesuje mnie, dlaczego pan znowu...

– Detektywie! – Usłyszałem pisk opon i w otwartym oknie samochodu, który nagle zajechał, pojawił się policjant. – Tam, za Oddziałem D!

Pobiegłem w tym kierunku za Levinem.

Przebiegliśmy kilkaset stóp do skraju kompleksu D i skręciliśmy za budynki stojące wzdłuż alei zaopatrzeniowej, która okrążała je od tyłu. W centrum alei, naprzeciw betonowej rampy wyładowniczej z zajazdem dla ciężarówek, przy ogrodzeniu stał Cole. Oświetlał latarką szczyt ogrodzenia, dziesięciostopową przestrzeń pozbawioną ostrych jak brzytwa drutów.

– To droga dla ciężarówek dostawczych – rzekł Cole. – Oni nie mogli się tu dostać inaczej, jak tylko w tym miejscu.

– Zapewne nikt o tym nie wiedział – wtrącił Levin.

– Jeżeli sprawcy biegli tędy – ciągnął Cole, badając ziemię – to mogę się założyć, że w tym miejscu wspięli się na ogrodzenie i przeszli na drugą stronę.

– Wezwij wsparcie – rzucił Levin policjantowi. – Ja tymczasem złapię na telefon szeryfa hrabstwa. Musimy przeszukać cały obwód ogrodzenia.

– Używając śmigłowców? – zapytał inny policjant.

– Tak, używając śmigłowców – potwierdził Levin.

– Weźcie taśmę i wygroźcie cały teren – zarządził Cole. – Oraz sekcję za Oddziałem C. – Potrząsnął głową. – Jezu, nigdy bym nie pomyślał, że ktoś może się tędy przedostać na teren szpitala.

– Oficerze Cole, spotkamy się przy punkcie kontrolnym – rzekł Levin. – Zawiadom wszystkie jednostki szpitala, że mamy pacjenta za ogrodzeniem. Połącz się z administracją, niech zarządzą kontrolę łóżek.

– Skąd pan wie, że to był pacjent? – zapytałem.

– A kto inny kupowałby papierosy w obrębie ogrodzenia? – odparł Levin.

Cole wskoczył do swojego auta i odjechał.

Levin spojrzał na rozjaśnione światłem księżyca niebo i westchnął.

– Dlaczego jest pan zawsze w pobliżu, gdy ma miejsce coś takiego? – zapytał.

Nad nami rozległo się warczenie silników dwóch śmigłowców. Wozy policyjne przeczesywały linię ogrodzenia, a poza nimi krążyła cała armia policjantów – ze szpitala i miasta Napa – i biegała po kampusie Gomory. Na policyjnym posterunku szpitala, przy punkcie kontrolnym, podałem Levinowi szczegółowy opis tego, czego byłem świadkiem.

– Jak była ubrana pierwsza osoba?

– Nie jestem pewien. Było ciemno.

– Jakiego koloru były ich włosy?

– I znowu – było ciemno.

– Powiedział pan, że było ich dwóch?

– Tak.

– Jednak, żeby to ustalić, nie było zbyt ciemno?

Nie dałem się sprowokować.

– Widziałem tam dwóch ludzi – odparłem stanowczo.

– Jest pan pewien, że nie było ich więcej?

– Tak, było ich tylko dwóch.

I tak dalej, i tak dalej. Po skończeniu Levin streścił wszystko swojemu zwierzchnikowi, szefowi Ericksonowi, i dwóm miejscowym detektywom w cywilu. Czas, gdy zeznawały pielęgniarki z Oddziału C i pomocnicy medyczni z Oddziału B, wykorzystałem, aby zatelefonować do Ingrid i przekazać jej wiadomość, co się stało i że ze mną wszystko w porządku. Powiedziałem też, żeby nie czekała na mnie i poszła spać.

– Proszę z nikim o tym nie rozmawiać – rzekł Levin, zamykając przesłuchanie. – Nic nie może się wydostać poza ściany tego pokoju. Zrozumiano? – To ostatnie było pytaniem retorycznym.

Mimo to odparłem:

– Jasne.

Do domu ostatecznie odjechałem o północy. Zostałem Ingrid siedzącą w sypialni w fotelu.

– Jak się czujesz? – zapytała, wstając.

– Dobrze – odparłem i uściskałem ją.

– Uciekł pacjent? – znowu zapytała.

– Na to wygląda.

Ingrid była zaskoczona.

– To straszne. Znaleźli go?

– Jeszcze nie. – Usiadłem na brzegu łóżka i zdjąłem buty. – Nie ustają w wysiłkach. Myślę, że biorą w tym też udział policjanci z miasta. Pewnie słyszałaś śmigłowce?

– Słyszałam – rzekła Ingrid. – Słyszał też John.

Westchnąłem.

– Nie mogą sprawdzić spisu pacjentów i zobaczyć, kogo brakuje? – zapytała Ingrid.

– To może im zabrać dzień, dwa – odpowiedziałem. – W szpitalu jest tysiąc dwieście łóżek. Niektórzy pacjenci są na odwiedzinach w domu, inni w centrali ratunkowej hrabstwa. Ciągłe się ich wypisuje i przyjmuje.

– Oni nie wiedzą, ilu mają pacjentów w szpitalu? – zdziwiła się Ingrid.

– Oczywiście, że wiedzą – wycofałem się. – I znajdą go.

Nie powiedziałem Ingrid, że taki spis był ciągłym problemem w Gomorze. Rzadko kto wiedział, ilu pacjentów na bieżąco przebywa w szpitalu. Ja miałem pacjentów w moim komputerze szpitalnym z danymi, kto opuścił szpital miesiąc temu.

– Długo ciebie nie było – zauważyła Ingrid.

– Uruchomiłem alarm. Widziałem wszystko. Policja miała dużo pytań.

Ingrid zamilkła.

– Jesteśmy bezpieczni? – zapytała w końcu.

– Oczywiście.

– Ten, co uciekł, pewnie ciebie zna, prawda? – zapytała. – Powiedziałeś, że to wszystko wydarzyło się poza twoim oddziałem. Czy on może odkryć, gdzie mieszkamy?

– Obecnie to mało prawdopodobne – odparłem, dodając sobie samemu i jej otuchy. Zastanawiałem się nad tym całą drogę do domu.

Podobnie jak Ingrid, ja też nie spałem dobrze. Obudziliśmy się wcześniej i zaraz przejrzeliliśmy poranne gazety. Mimo zmasowanej akcji policji i krążących śmigłowców, nie znaleźliśmy żadnej wzmianki o ucieczce pacjenta ani w ogóle jakiegokolwiek wzmianki na temat Gomory. Wysłuchaliśmy też wiadomości z podobnym rezultatem.

– Ze stanowego szpitala dla umysłowo chorych ucieka pacjent – zauważyła Ingrid – a my nic o tym nie wiemy? Czy może być coś bardziej groźnego?

Tego wieczoru narzuciłem płaszcz i przyłączyłem się do Johna na werandzie.

– Odprowadzę cię – oświadczyłem. Było ciemno. John wybierał się do domu przyjaciela, Seana Hansena, aby tam spędzić noc.

– To tylko dwie przecznice – rzekł John i skręciliśmy na chodnik.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – usprawiedliwiałem się.

– A nie dlatego, że ze szpitala uciekł ten facet? – spytał John.

– Gdzie o tym słyszałeś?

– Nic mi nie będzie, tato – uspokoił mnie. – Nie martw się.

Zostawiłem Johna przed drzwiami Hansenów. Trochę pogadałem z rodzicami Seana i wróciłem do domu.

– Pójdziemy dziś wieczór na to przyjęcie? – zapytała Ingrid, gdy zjawiłem się w drzwiach.

– To ważne dla twojej pracy przyjęcie – stwierdziłem. – Musimy iść. Nie dopuszczę, żeby jakiś świr rujnował mi życie rodzinne.

– Poza tym – zauważyła z uśmiechem – kto nas tam znajdzie?

W przyjęciu uczestniczyło dwanaście innych par. Przyjęcie noworoczne organizowali lekarze, koledzy Ingrid – wszyscy znający ją i ani jeden znający mnie. Oznaczało to przedstawianie się i odpowiedzi na pytanie: „Co robisz?”.

Na wiadomość, czym się zajmuję, ludzie reagują dwójako – jedni natychmiast są przerażeni i nieznacznie się cofają, jakby bali się, że ich zarazę. Inni przyjmują to z błyskiem zainteresowania, poprzedzonym konspiracyjnym uśmieszkiem.

Potem następują różne wersje tego samego pytania: „Ma pan jako pacjentów jakichś genialnych wariatów? No, wie pan, takich, którzy są mądrzejsi od personelu i wszystko, co pan może zrobić, to jedynie być krok przed nimi?”.

Moje odczucia na te reakcje są bardzo różne. Rozumiem ludzi, którzy się odsuwają – bo kto by się na taką wiadomość nie wzdrygnął? Lecz druga odpowiedź – albo może bardziej precyzyjnie, reakcja na tę drugą odpowiedź – ona mnie bardziej niepokoiła. Będąc jednak zupełnie szczery, muszę wyznać, że mimo wszystko szpital Gomora był interesującym i ekscytującym miejscem. Przyznaję też, że jest miejscem trudnym.

\* \* \*

W nocy śnił mi się detektyw Levin. Znajdowaliśmy się znowu w pokoju przy



punkcie kontrolnym. Było duszno i gorąco. Levin górował nade mną, pochylał się i zasypywał gradem pytań. Moje odpowiedzi odbijały się echem w kanionie. Mówił coraz szybciej i szybciej. Jego głos brzmiał jak dzwon. Spryskiwał mnie śliną, a potem miałem już tego dość i wyrznąłem go w gębę.

[5] Od Williama Millera, prorokującego w oparciu o studia nad Pismem Świętym.

[6] Hancock nawiązuje do „przyłożenia” (*touchdown*) w amerykańskim futbolu, czyli zdobycia sześciu punktów przez dobiegnięcie z piłką do pola punktowego. Tu oznacza zdobycie punktów (funduszy) dla schroniska.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Przypominała typem jakiegoś potężnego dziwoląga. To coś w oczach, Frannie. Co mówi, że jeśli wystrzelałaś moje święte krowy, to ja wystrzelam twoje.

STEPHEN KING, „BASTION”

NOWY ROK OZNACZAŁ nowy początek. Udałem się do pracy wcześniej, aby zająć się robotą papierkową. Wchodząc na oddział o siódmej trzydzieści, odkryłem, że mimo nowego początku nadal widziałem te same twarze i zetknąłem się z tymi samymi starymi problemami.

– Ty głupi sukinsynu! – wrzeszczał Oliver Burns, gdy Mathews chwycił jego fotel inwalidzki i popędził z nim pełną szybkością przez cały pusty korytarz. Mathews, głośno się śmiejąc, omal nie rąbnął fotelem o ścianę i gdy w ostatniej chwili zahamował, Burnsem rzuciło w przód i w tył.

Mathews klepnął go w głowę i odszedł.

– Ty parszywy, pieprzony bękarcie, zabiję cię! – krzyczał Burns, odwracając fotel.

Pojawili się najbliżej znajdujący się członkowie personelu.

– Czy z panem okej, Burns? – zapytałem.

Burns przejechał obok nas.

– Pieprzcie się wszyscy – warknął. – Razem z Mathewsem.

– Ładny palant z tego Mathewsa – wściekała się Palanqui. – Pewnego dnia załatwi go.

– Jak długo to już trwa? – zainteresowałem się.

– Mathews zaczął zabawę z fotelem Burnsa w ten weekend – odparła pielęgniarka z nocnej zmiany. – Zawsze robi coś paskudnego.

Poszedłem korytarzem obejrzeć Burnsa.

– Możemy porozmawiać, panie Burns? – zapytałem zaraz od drzwi. Burns siedział przy oknie, wyglądając na dziedziniec.

– Idź do diabła! – rzucił, nie ruszając się z miejsca.

\* \* \*

Rozpoczynanie pracy w szpitalu wcześniej rano oznaczało przychodzenie w ciemności. Dlatego nie zauważyłem burzowych chmur. Ale podczas przygotowań do porannej odprawy niebo rozwarło się i lunął deszcz.

Personel zgromadził się blisko okna pokoju konferencyjnego.

– Słyszałam, że nadchodzi groźna burza – oznajmiła Monabong, gdy deszcz bił o szyby. – W wiadomościach podali, że będzie to drugi Pineapple Express<sup>[7]</sup>. Powiedzieli, że spodziewają się obfitego, tropikalnego deszczu.

– Mam nadzieję, że nie takiego jak w 2006 – rzekła Larsen.

– A co się stało w 2006? – zapytałem.

– Nasz budynek jest stary – wyjaśnił Xiang. – System odwadniający jest niesprawny. Woda zalała dziedziniec i korytarze. Wszędzie były worki z piaskiem.

– Z brzegów wystąpiła rzeka Napa – uzupełnił Randy. – Miasto znalazło się trzy stopy pod wodą. Wszystkie drogi były zalane. Ludzie nie mogli się dostać do pracy.

– Ani wydostać z pracy – dodała Monabong. – Jeśli tu byłeś, to zostałeś.

– Pewnie teraz nie będzie tak źle – zauważył Xiang. – Ale na wszelki wypadek zadzwonię po worki z piaskiem.

– Musimy porozmawiać z Mathewsem – oznajmiłem pod koniec odprawy. – Nękał pacjenta na fotelu inwalidzkim. Mści się na tego rodzaju pacjentach.

– Omal nie zabił Burnsa – rzekła Palanqui.

– Jeżeli gadanie z Mathewsem po raz setny cokolwiek pomoże – dodał Cohen.

Xiang zapytał:

– Ma ktoś lepszy pomysł?

– Wszyscy jesteśmy sfrustrowani – stwierdziła Carstairs. – Myślę, że rozmowa z Mathewsem tak samo pomoże nam, jak i jemu.

Carstairs rzadko się odzywała.

– Dobra rada – potwierdziłem.

Randy poszedł po Mathewsa. Wrócił z nim i obaj usiedli przy stole. Rozmowa z Mathewsem toczyła się jak zwykle.

– Sprowadziliśmy tu pana, panie Mathews – zaczął Cohen – ponieważ nocna zmiana doniosła, że nęka pan pacjentów na fotelach inwalidzkich.

– To kłamstwo – odparł Mathews.

– Widziałem to na własne oczy – wtrąciłem.

– Nie wiadomo, co pan widział, doktorze – odparował Mathews i spojrzał na mnie. – Ale ja nikogo nie nękałem. To wszystko kłamstwo. Każde słowo.

Nastąpiła dręcząca przerwa. Mathews już się podnosił, zaczynał się gotować.

– Nie oskarżamy pana o nic, panie Mathews – rzekł Cohen. – Ale czy mogę pana prosić, żeby pan zostawił pacjentów w fotelach inwalidzkich w spokoju i nie niepokoił ich?

Mathews sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Dobrze – rzekł i usiadł.

– Dziękuję, że poświęcił pan nam chwilkę – rzucił Xiang. – Randy pana odprowadzi.

Mathews wyszedł spokojnie. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy drzwi się za nimi zamknęły.

Zapytałem, gdy już przygotowywaliśmy się do opuszczenia pokoju:

– Czy w piątek wieczór uciekł ze szpitala jakiś pacjent?

Chciałem poruszyć ten temat w okreśny sposób, ale ostatecznie postanowiłem spytać wprost.

– Co? – zapytała Kate Henry.

– O niczym takim nie słyszałem – stwierdził Cohen. – O czym ty mówisz?

Wszyscy sprawiali wrażenie zaskoczonych.

– Tu nikogo nie brakuje – oświadczył Xiang.

Poczułem się dziwnie.

– Przepraszam – rzekłem. – Myślałem, że coś się stało.

Tego popołudnia, gdy deszcz bił w szyby okna w moim gabinecie, włączyłem komputer i przejrzałem pocztę. Była jedna wiadomość zaznaczona czerwonym wykrzyknikiem. Wysłała ją administracja szpitala. Kliknąłem i przeczytałem: „Dziś rano sprawdzono stan pacjentów Napa State Hospital, wszystkie łóżka zajęte. Sprawdzanie jest kontynuowane”.

Tego wieczoru Ingrid, stojąc przy umywalce w łazience, zapytała mnie, czy są jakieś nowe wieści o ucieczce.

– Coś się wydarzyło – odparłem. – Właśnie otrzymałem informację, że wszystkie łóżka są zajęte.

– Przecież widziałeś, jak ktoś przeskakiwał przez ogrodzenie?

– Niedokładnie – odpowiedziałem. – Jednak policjanci byli całkiem pewni tego, co tam się stało.

Ingrid milczała przez chwilę.

– Co więc powinniśmy teraz zrobić? – spytała w końcu. – Co mam powiedzieć Johnowi?

– Nie wiem – mogłem tylko tyle jej odpowiedzieć.

Ingrid chwyciła szczotkę i odwróciła się do lustra.

– Ludzie uciekają, nie uciekają. Dostajesz cios w głowę. Toczą się bijatyki. Tam są mordercy, na litość boską! W jakiego rodzaju kurewskim piekle przyszło ci pracować? – mówiła, czesząc włosy. Ingrid rzadko przeklinała.

Deszcz ciągle padał i jazda do pracy okazała się poważnym wyzwaniem. Zdjęcia w wiadomościach pokazywały, jak po ulicach miasta pływają kajaki. Każdego dnia czułem się szczęśliwy, gdy udało mi się dotrzeć do Gomory, a potem byłem jeszcze bardziej szczęśliwy, kiedy udało mi się wrócić do domu.

Na oddziale worki z piaskiem broniły dostępu wody do dziedzińca. Wokoło woda stała na wysokość stopy i ciągle wzbierała. Jak powiedział Xiang,

zajmowaliśmy stary budynek i jeżeli ulewa będzie się przedłużać, woda może się wlać do środka progami i oknami. Ściany w moim gabinecie zawilgotniały i tam, gdzie przedtem nie było widać pęknięć, teraz były wyraźnie widoczne. W korytarzach buty ślizgały się po mokrych płytkach, na ścianach kwitła pleśń. I wrócił ten charakterystyczny zapach. Znowu można go było wyraźnie wyczuć w korytarzu, między moim gabinetem i gabinetem Cohena.

W korytarzu minął mnie Cohen z Hancock. Palanqui wzdrygnęła się.

– Byle znowu nie to.

– Teraz to jest szczególnie obrzydliwe – stwierdziła Hancock.

– Czy ktoś kiedyś wlaźł na górę i rozejrzał się po poddaszu? – zapytał Cohen.

– Oni często się tam rozglądali – odparła Hancock. – Ludzie odpowiadający za stan budynku wchodzili na poddasze, badali stan krokwi, opukiwali ściany, raz nawet je kuli. Jednak nigdy niczego nie znaleźli. Więc zgaduję, że po prostu zrezygnowali.

– Legenda głosi – wyjaśniła Palanqui – jakoby sto lat temu zamordowano tu pacjenta, a jego ciało zamurowano w ścianie.

– No to powinni coś znaleźć – zauważyłem.

– Ale to tylko legenda – odparła Palanqui.

Hancock podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Mimo deszczu ciągle jeszcze mogła widzieć dalekie wzgórza i drzewa.

– Kiedyś – rzekła Hancock – tereny szpitala ciągnęły się aż od rzeki, poprzez te wzgórza i wokół nich, we wszystkich kierunkach, tak daleko jak okiem sięgnąć.

– I tu nic więcej nie było – ciągnęła po chwili. – Szpital był całkowicie odizolowany i samowystarczalny. Pacjenci byli siłą roboczą. Zajmowali się uprawą warzyw. Ścinali i spławiali rzeką drzewa. Sami szyli sobie odzież. Personel mieszkał tu, na miejscu. Całymi latami nikt nic nie wiedział ani nie troszczył się o to, co się tu dzieje. – Odwróciła się. – Nie było murów. Bóg tylko wie, co tu skrywano, co zakopano.

Skończył się weekend, ale nie deszcz. Opuściłem dom godzinę wcześniej, aby pokonać potop i dostać się do pracy.auta zapychały małe, niebrukowane drogi. Parking był zalany, punkt kontrolny przypominał jezioro, wszystkie wejścia były dostępne tylko po deskach ułożonych na betonowych bloczkach. Tereny szpitala przypominały rezerwat dla ptaków wodnych.

Nagłe pojawienie się tak dużej wyspy ściągnęło z wielu mil kaczki, gęsi i łabędzie. Z parasolem w ręce przeskakiwałem z jednego suchego miejsca na drugie, przedzierając się wśród ptaków, sunących z gracją we wszystkich kierunkach.

Woda docierała do stopni przed wejściem do Oddziału C. Na korytarzach brodziło się w błocie. Na froncie mojego gabinetu pojawiały się już cieniutkie strumyczki wody.

Sprawdziłem rozrastające się plamy wilgoci na ścianie i włączyłem komputer. Miałem jedną wiadomość, która brzmiała: „Wymagana jest pańska obecność w roli świadka w przesłuchaniu administracyjnym w sprawie przestrzegania praw pacjentów, dotyczącego oficera policji Teda Cole’a. Przesłuchanie wyznaczono dziś na dwunastą trzydzieści”.

[7] Termin opisujący zjawisko meteorologiczne charakteryzujące się silnym i ciągłym opadem deszczu nadciągającego od Hawajów i rozciągającego się nad wybrzeżem Pacyfiku w Ameryce Północnej. W listopadzie 2006 roku nawiedził regiony od Olympii przez Waszyngton po Vancouver, powodując liczne powodzie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nieważne, ile pigułek

Nieważne, jak silne

Nieważne, jaki koktajl z lekarstw

I tak nie mogę być taki, jakim by chcieli.

JOSH C. DEWEES, „MEDICINE AND MADNESS”

KAŻDY CZŁOWIEK PRZYJĘTY do szpitala psychiatrycznego – dobrowolnie albo pod przymusem – jest ochroniony przez system prawny. To pojęcie wraz z licznymi, różnorodnymi prawami zmieniło się z czasem w system ustaw, przepisów i decyzji sądowych.

Kierowanie szpitalem psychiatrycznym to odpowiedzialność za chronienie praw każdego pacjenta. Każdemu pacjentowi szpitala Niezależny Departament Praw Pacjenta przydziela adwokata, który przyjmuje skargi dotyczące potencjalnego naruszenia jego praw.

Adwokat, jeśli uzna, że naruszono godność pacjenta w sposób wystarczająco obraźliwy, może też zorganizować przesłuchanie stron na temat naruszenia praw pacjenta, w celu naprawienia wyrządzonego zła. Takie przesłuchanie może też przyczynić się do wymierzenia kary komuś z personelu szpitala.

Każdy pacjent w Gomorze otrzymuje *Zbiór praw pacjenta*. Ta książeczka ma dwadzieścia siedem stron.

Takie same prawa należą się każdemu pacjentowi, a wśród innych praw



można wymienić:

Prawo do zachowania godności osobistej, prywatności i do ludzkiej troski; prawo do opieki w „najmniej krępującym miejscu”; prawo do bycia wolnym od zaniedbywania, od znęcania, nadmiernego ograniczania, izolacji, albo prawo do odmowy przyjmowania lekarstw; prawo do aktywności towarzyskiej, do rekreacji i uprawiania ćwiczeń fizycznych; prawo do edukacji; prawo do swobody wyznania i praktyk religijnych; prawo do wolności od dyskryminacji ze względu na pochodzenie rasowe, na kolor skóry, wyznanie, pochodzenie narodowe, rodowód, wiek, stan cywilny, fizyczne lub umysłowe upośledzenie, kondycję zdrowotną czy orientację seksualną; prawo do posiadania pieniędzy, do przyjmowania codziennie gości; prawo do miejsca przechowywania rzeczy osobistych, do posiadania i używania telefonu, do tajemnicy korespondencji, do dostępu do materiałów piśmienniczych i znaczków pocztowych.

\* \* \*

Przesłuchanie, na które zostałem wezwany, dotyczyło zarzutu Alexa Mathewsa skierowanego przeciwko oficerowi Tedowi Cole'owi za maltretowanie i znęcanie się nad nim podczas rewizji na Oddziale C, która miała miejsce kilka miesięcy temu.

Przesłuchanie miało się odbywać w sali konferencyjnej budynku administracyjnego. Minąłem wolno kampus, przeszedłem most punktu kontrolnego i okrążyłem z tuzin skupisk stojącej wody. Budynek administracyjny został później dobudowany i włączony do kompleksu Gomory. W środku było gorąco i sucho. Tu moje buty nie skrzypiały.

Minąłem biura Banku Pacjenta, księgowości, archiwów medycznych i gabinet doktor Francis. Zatrzymałem się przed ogromnymi, drewnianymi drzwiami. Sprawdziłem numer, jaki miałem zapisany na kawałku papieru i wszedłem do środka.

Na całą długość sali biegł błyszczący stół konferencyjny. Przy stole stały wyściełane krzesła. Zająłem miejsce naprzeciwko doktor Francis. Obok niej siedziała Charlene Larsen, ubrana w strój wyjściowy. U szczytu stołu kobieta w średnim wieku, o sympatycznej twarzy, skinęła mi głową, gdy się

przedstawiłem.

– Nazywam się Priscilla Hollenbeck – powiedziała. – Kieruję stanowym Biurem Praw Pacjentów.

– Pani Hollenbeck leciała z Sacramento w potwornym wietrze – wyjaśniła doktor Francis.

– Witamy w Napa State – rzekłem.

Zanim Hollenbeck zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i wszedł Cole. Miał na sobie granatowy garnitur i dobrany do niego krawat w paski. Marynarka była trochę przyciasna. Był w towarzystwie wysokiego czarnego mężczyzny, również w garniturze.

– Marvin Lipscomb, ze Stowarzyszenia Policji Szpitalnej w Kalifornii. – Przedstawił się i usiadł obok Cole'a, po przeciwnej stronie stołu. Organizacja Lipscomba to ogólnostanowy związek zawodowy oficerów policji pracujących w szpitalach.

Nastąpiły kolejne prezentacje i potem drzwi do sali otworzyły się po raz ostatni. Pierwszy wszedł Mathews. Miał starannie uczesane włosy, był gładko ogolony i nosił świeżo odprasowany, błękitny strój szpitalny. Idąca za nim młoda Azjatka przedstawiła się:

– Jestem Lorena Chen. Adwokatka chroniąca prawa pacjenta.

Chen i Mathews usiedli blisko mnie.

– Możemy zaczynać – oświadczyła Hollenbeck i odczytała akt oskarżenia przeciwko Cole'owi. – Użycie nadmiernej siły w lipcu, podczas przeszukania na oddziale – i podała szczegółowy opis tego pełnego chaosu dnia; nagłe poszukiwania uchwytu do okularów, bójka z Cole'em, jego nadzwyczajnie zastosowany zastrzyk. Potem oddała głos Chen. W czasie gdy adwokatka podawała szczegóły, Mathews siedział spokojnie. Mówiąc o czasie przeszukiwania, opisała też wydarzenia, które doprowadziły do zastosowania tego zastrzyku, w którym wstrzykuje się lek stosowany w nadzwyczajnych wypadkach.

– Nie twierdzimy, że zastrzyk był nieuzasadniony – oświadczył Chen – ale utrzymujemy, iż w czasie wydarzeń poprzedzających ten fakt pan Mathews

był traktowany przez oficera Cole'a w nadmiernie surowy sposób.

Podniosła ze stołu kartę Mathewsa, otworzyła ją na zaznaczonej sekcji i odczytała zapis z tamtego dnia:

– „Usłyszałam zadawane ciosy i hałas łamanego mebla”. To podpisała Larsen. „Pan Mathews nigdy nie twierdził, że nie weźmie lekarstwa dobrowolnie” – miała dodać.

– Czułam, że oficer Cole zachowuje się nierozważnie, w sposób nonszalancki – rzekła Larsen, gdy Hollenbeck poprosiła o wyjaśnienie. – Był zbyt brutalny. Wszyscy to słyszeli, to łamanie mebli. Pan Mathews z łatwością mógł zostać poważnie ranny.

Cole przesunął się w krześle i potrząsnął głową. Obserwowałam Larsen. Wpatrywała się w Hollenbeck.

Lipscomb instruował Cole'a, jak ma odpiierać zarzuty.

– Pan Mathews to twardy gość – rzekł Cole. – Za każdym razem, gdy przybywałem na Oddział C, miał tam miejsce jakiś nagły wypadek. Tego dnia przeprowadzano rewizję w jego pokoju, lecz Mathews nie miał ochoty współpracować. Gdybym nie interweniował w sposób zdecydowany, mógłby ucierpieć jakiś inny pacjent albo ktoś z personelu.

W następnej kolejności Hollenbeck wezwała mnie. Wiedziałem, że Cole był brutalny. Rozumiałem, dlaczego Larsen tak go opisała. Niemniej nasi pacjenci istotnie byli trudni i niebezpieczni. Jeśli mam być szczerzy, to pomijając wszystko inne, zawsze z ulgą przyjmowałem pojawienie się Cole'a na oddziale.

– Pan Mathews kilkakrotnie zachował się gwałtownie i niebezpiecznie – stwierdziłem, gdy nadeszła moja kolej. – Jednak sądzę, że podczas przeszukiwania oficer Cole działał zgodnie z przepisami.

Po skończeniu dodałem Mathewsa do mojej rosnącej listy pacjentów, na których muszę uważać.

Następnie Mathews podał swoją wersję wydarzeń:

– Ja niczego nie zrobiłem. To on mnie zaatakował... – A potem każdy z zebranych przedstawił własną ocenę wydarzeń. Hollenbeck podziękowała

wszystkim za uczestnictwo.

– Oficerze Cole i panie Mathews, zostaniecie poinformowani o wynikach przesłuchania – oznajmiła Hollenbeck i zwróciła się do nas: – Nic, co zostało tu powiedziane, nie może opuścić tego pomieszczenia.

\* \* \*

Podczas obiadu Ingrid podała wiadomość, że pośrednik nieruchomości dzwonił, informując o domu, który wydawał mu się atrakcyjny.

– Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, kochanie – mówiła Ingrid bez emocji – byłeś przekonany, że zostaniesz w Gomorze. Czy coś się zmieniło?

Ingrid i John spojrzeli na mnie.

– Ja to rozumiałam jako albo, albo... – dodała.

– Twoja praca nie jest bezpieczna, tato – rzekł John poważnie. – Dom znajdziemy sobie później. Albo na razie gdzieś się przeprowadzimy.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem moja praca nie jest przyczyną tego, że John za wszelką cenę chce być bardziej dorosły.

– Gdybyśmy się przeprowadzili, musiałbyś znowu zmienić szkołę.

– Istnieje wiele szkół – rzekł John.

– Nie możesz zostawiać swojej praktyki – zwróciłem się do Ingrid.

– Pomówimy o tym później – stwierdziła Ingrid. – To twój problem.

Byłem dziwnie zmrożony. Chciałem już powiedzieć: „Masz rację, mam potworną pracę. Grozi mi śmierć. Przykro mi z powodu tego domu”. Ale nic takiego nie powiedziałem.

Zamiast tego oznajmiłem:

– Oczywiście u mnie wszystko jest okej. Porozmawiamy później.

I tylko tyle. Potem weszły psy.

– Co o tym myślisz, Mulder? – zapytałem. – A ty, Scully?

Spojrzały na mnie pytająco.

Wybór domu i podjęcie decyzji co do niego na początku zawsze były czymś teoretycznym – nigdy nie byłem skonfrontowany z aktualnym domem. Nasza przyszłość zawisała na mojej pracy, ale trudno o tym myśleć w sposób

prosty i jasny. Moje uczucia względem Gomory ulegały częstym zmianom – jak się wydawało, nawet w ciągu jednego dnia: raz, że zostaję; raz, że odchodzę.

John miał rację, Gomora nie była bezpieczna. Tam ludzie krzywdzą innych – i to bardzo. Zrobiłem sobie listę pacjentów z Oddziału C, którzy chcą mnie skrzywdzić. I chcą to zrobić naprawdę.

Ale wśród nich był też Caruthers, człowiek z radia, pacjent błyszczący szamańskimi sztuczkami z telefonem i akwarela, którą dostałem na Boże Narodzenie. Potem personel. Co mogłem powiedzieć o nich? Albo może konkretniej, co mógłbym powiedzieć o sobie? Na to pytanie nie mogłem odpowiedzieć.

– Opowiedz mi coś o domu – rzekłem w końcu.

– Jesteś pewien? – zapytała Ingrid.

– Nie. Ale i tak mi opowiedz.

\* \* \*

W następnym tygodniu pojechaliśmy obejrzeć dom i w ciągu dwóch tygodni złożyliśmy ofertę. Tej nocy zatrzymałem się w progu pokoju Johna. Było późno, a ja byłem zmęczony. John, pochylając się nad swoim biurkiem, nie zauważył mnie.

Pewnego roku na Boże Narodzenie rodzice Ingrid podarowali Johnowi kompletny zestaw figurek postaci z *Gwiezdnych wojen*, które zawsze trzymał na półce z książkami. Teraz zauważyłem, że poustawiał je na skraju biurka blisko okna, niczym jakiś relikwiarzyk w półkolu za małym plastikowym ogniskiem w zagłębieniu gruntu, na którym oparł kartę baseballową Sandy Koufaksa z 1959 roku. Yoda, Księżniczka Leila, Luke, Darth Veder i Obi-Wan Kenobi, tworzyli wewnętrzny krąg, podczas gdy straż przednią stanowili Wojownicy Jedi. Wszyscy gotowi, zwrócenii twarzami przed siebie, wpatrzeni w mroczny deszcz.

– Co tu robisz? – zapytałem.

John odwrócił się i wskazałem zestaw figurek.

- To krąg ochronny – rzekł. – Aby odeprzeć zło.
- Uważasz, że jest ci potrzebna ochrona? – zapytałem.
- To nie dla mnie – odparł. – To dla ciebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wy, ludzie, możecie skazać mordercę na przypiekanie jak sandwicz z serem i nikt tego nie zakwestionuje.

CHARLES MANSON

PO DWÓCH TYGODNIACH, odkąd deszcz przestał padać, wszędzie było tyle wody, że nawet w piątek koła mojego auta rozpryskiwały fontanny wody z kałuż na drodze. Flotylla holowników wyciągała z błota na poboczu drogi auta, które tam nieustannie grzęzły. W pobliżu naszego domu na pasie zieleni zagnieździła się kacza rodzina.

Ale szpital był suchy. Cały tydzień wentylatory dmuchały wzdłuż korytarzy powietrze, niczym strumienie z silnika odrzutowego. Lawina ręczników, mopów i lizolu wyeliminowała pleśń i wilgoć. Punkt kontrolny rozmontował zaimprovizowany pomost z desek.

Do piątku nawet przykry zapach jakoś zdążył ulecieć z korytarza. Spotkałem Cohena przed naszymi gabinetami i ujrzałem, że marszczy nos. Weszliśmy na oddział. Cohen wszedł pierwszy. Zamknąłem drzwi na klucz i już zmierzałem do dyżurki pielęgniarek, gdy ukazał się McCoy. Jednak minął mnie w milczeniu. Przeszedłem jeszcze kilka kroków, obejrzałem się, słysząc brzęk kluczy w zamku głównych drzwi. McCoy stał niczym wartownik.

Weszła Carstairs i McCoy ręką przesunął po jej ramieniu. To nie było miłe. Od spotkania zespołu po jego powrocie z sądu nie rozmawiałem wiele

z McCoyem. Wiem, że ciągle był wściekły, ale zdecydowałem się interweniować. McCoy przez chwilę nie reagował, a potem uniósł wzrok i zastąpił mi drogę.

– Panie McCoy. – W końcu odezwał się za mną głos Xianga. – Musimy o tym porozmawiać.

– To pan tak twierdzi, panie Xiang – rzekł McCoy i niechętnie ustąpił, a potem odszedł korytarzem do swojego pokoju.

Odprawa dobiegała końca. Cohen i ja wstaliśmy. Przed opuszczeniem pokoju konferencyjnego podałem mu szybką informację na temat incydentu z McCoyem i Carstairs. Carstairs ciągle siedziała, rozmawiając z Larsen.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zapytałem, gdy skończyła rozmowę z Larsen.

– Jasne – odparła Carstairs.

– Może pani przyłączyć się do nas w czasie lunchu? – zaprosiłem. – Zna pani „taco truck”? Mamy dziś ładną pogodę, ale niech pani ubierze żakiet. Będziemy siedzieć na zewnątrz.

– Mam kłopoty?

– Właśnie chcemy o tym pomówić – rzekł Cohen. – Może wszyscy dowiemy się czegoś więcej. Lepiej być dobrze poinformowanym.

O wpół do pierwszej po południu tuż obok terenów szpitala nasze trio ustawiło się w kolejce pięciu pielęgniarek z Gomory czekających karnie na najlepsze meksykańskie jedzenie w mieście, sprzedawane z ciężarówki zaparkowanej przy chodniku.

– Ależ to pięknie pachnie – stwierdziła Carstairs, gdy mężczyzna w końcu wręczył jej nasze zamówienie. – Czy ta ciężarówka zawsze tu stoi?

– Każdego dnia – odparł Cohen.

– Jestem naprawdę zadowolona, że przedtem o tym nie wiedziałam – stwierdziła Carstairs i uśmiechnęła się.

Wróciliśmy przez rozległy trawnik i usiedliśmy przy naszym stałym piknikowym metalowym stoliku pod rozłożystym dębem przy ogrodzeniu. Gdy siedzieliśmy, gdzieś w oddali odezwał się alarm i Carstairs skrzywiła



się.

– Czy ja kiedyś będę musiała użyć tego alarmu? – westchnęła i położyła na blacie swoją porcję.

– Tego to nie wiem, ale ja bym nie chciał – stwierdziłem.

Rozwinęliśmy nasze opakunki i ugryźliśmy kilka kęsów. Alarm umilkł i Carstairs wyraźnie odetchnęła. Ja też poczułem się lepiej.

– Emily, planuje pani zostać w Gomorze? – zapytał Cohen.

– Potrzebujemy pieniędzy – odparła Carstairs.

– Pani i pani mąż? – pytał dalej Cohen.

– Nie jestem mężatką – odparła. – To znaczy byłam. Ale moim mężem zainteresowała się mina leżąca na poboczu drogi w Kandaharze w Afganistanie.

– Przepraszam za to pytanie – usprawiedliwił się Cohen. – Proszę mi wybaczyć.

– To było pięć lat temu – wyjaśniła Carstairs. – W pierwszym momencie, a potem jeszcze długo, nie wiedziałam, jak sobie poradzę. – Westchnęła głęboko. – Gdybym nie chciała żyć dla mojego syna i gdybym nie wróciła do szkoły... to kto wie?

– Ile lat ma pani syn? – zapytałem i Carstairs rozpogodziła się.

– Jeremy ma sześć lat – odparła. – Miał roczek, gdy jednostka Grega otrzymała rozkaz. Dlaczego pan pyta? – Carstairs uniosła wzrok. – Ma pan dzieci?

Jedząc, rozmawialiśmy o Johnie i Ingrid.

– Jest pan żonaty, doktorze Cohen? – Zapytała Carstairs.

– Moja przyjaciółka jest prawniczką – rzekł Cohen. – Obecnie jesteśmy skłóceni, ale to końcowy etap i jestem skłonny zakończyć to i doprowadzić do zgody.

– Powodzenia – powiedziała Carstairs.

– Co pani planuje, Emily? – zapytał Cohen.

– Chcę zapewnić Jeremy'emu bezpieczny dom, któremu może ufać – stwierdziła. – Taki dom, z którego ludzie nie uciekają, aby nigdy nie wrócić.

Wetknęliśmy opakowania po jedzeniu do papierowych toreb.

– Musimy porozmawiać o panu McCoyu – oznajmiłem.

– Zostałam już ostrzeżona – powiedziała Carstairs defensywnie.

– Wiemy – wtrącił Cohen – ale chcemy o nim jeszcze porozmawiać.

Carstairs wyprostowała się.

– Okej, więc rozmawiajmy – zgodziła się.

– Co pani wie o McCoyu? – zapytał Cohen.

– Wiem, że popełniał zbrodnie – odparła Carstairs.

– McCoy zabił troje ludzi, a prawdopodobnie nawet czworo – zacząłem. –

Uderzył krzesłem w głowę pacjenta, pana Wilkinsa. Z jego głowy sączyła się substancja mózgowa. Widząc to, McCoy śmiał się.

Carstairs siedziała, wpatrując się w przestrzeń, potem przeniosła wzrok na mnie i Cohena. W jej oczach były łzy.

– Kiedy pozwoliłam mu, żeby podszedł do mnie od drzwi do dyżurki pielęgniarek, wszyscy zniknęli, zostawiając mnie samą – powiedziała. – Korytarz opustoszał. Nie zauważył pan tego? Czy pan rozumie, jakie to ważne? Nie jestem głupia. Wiem, że McCoy jest odrażający i że jest mordercą. Ale to jest ryzyko, jakie muszę podejmować. – Odgarnęła do tyłu włosy i kontynuowała: – Gomora to dżungla. Czytałam karty pacjentów. Większość z nich zamknięto za brutalne przestępstwa popełniane na kobietach. Czy pan myśli, że nie wiem, jak oni na mnie patrzą? – ciągnęła. – Nie wiem, jaka była Gomora, zanim tu przybyłam. Ale wiem, jaka jest teraz. Najważniejsze to być tu bezpieczną... to wszystko. Czy pan może zrozumieć, jak kobieta tu się czuje? Proszę zapytać żeński personel. Zobaczy pan, co panu powiedzą.

Carstairs pochyliła się nieco.

– Pielęgniarki nie skarżą się na przemoc – rzuciła z gniewem – ponieważ boją się stracić pracę. Podśluchałam ich rozmowy. Mówiły: jeżeli stracę pracę, stracę też dom. Dlatego biorą to, co w rozliczeniu daje możliwość doznania krzywdy. Wszystkie to robimy i mogę się założyć, że i wy robicie to samo. – Carstairs głęboko westchnęła. – Dlatego właśnie pozwoliłam

swobodnie przejść McCoyowi obok siebie – stwierdziła. – A co mogłam zrobić? Może Jeremy miał stracić matkę? – W jej głosie zabrzmiała emocja. – Zagwarantuje mi pan bezpieczeństwo? – westchnęła.

Carstairs zebrała swoje manatki i odeszła.

\* \* \*

Styczeń przeszedł w luty. Dni były krótkie. Rankami, gdy jeździłem do pracy, szron pobierał drogi i opony mojego auta. Nadszedł piątek, dzień odejścia Hancock. Wyglądałem z Cohenem przez okno w korytarzu na to, co przypominało paradę w Święto Dziękczynienia sklepów Macy's, zmierzającą w kierunku Oddziału C. Nigdy nie widziałem takiego tłumu na terenach szpitala. Pielęgniarki, pomocnicy medyczni, pracownicy socjalni, rehabilitanci, lekarze, porządkowi, administracja i policjanci – wszyscy niosący przykryte naczynia albo sześciopaki z napojami gazowanymi.

Pospieszyliśmy otworzyć drzwi frontowe i naczynia wlały się szerokim potokiem do sali odpraw, aby zapełnić ustawione tam stoły. W Gomorze – z tak kulturowo zróżnicowanym personelem – jedzenie było z reguły egzotyczne i wyśmienite. Hancock na wstępie uczyniła kilka zdawkowych uwag, a potem zaprezentowała kilka wzruszających opowieści z trzech dekad swojej pracy w szpitalu. Tylko nieliczne oczy pozostały suche.

– Dziękuję wam za przyjaźń, wsparcie i pomoc, jakich udzieliliście mi w ciągu tych lat – oznajmiła Hancock na zakończenie. – Niech Bóg błogosławi wszystkim, którzy żyją i pracują w tych murach. – Grzmiący aplauz.

Potem Hancock podziękowała armiom ludzi, którzy dobrze jej życzyli. Następnie udało mi się na chwilę chwycić ją samą.

– No, a teraz na plażę z dobrą książką? – zapytałem.

– To dla dziewcząt, które skończyły studia – odparła. – A ponadto coś takiego mam już za sobą. Planuję spędzić jakiś czas razem z mężem. Zamierzamy otworzyć szkołę misyjną w pobliżu Zamboanga, na południu Filipin.

– To kraj rebeliantów muzułmańskich – zauważyłem. – Wybrała pani bardziej niebezpieczne miejsce od tego tutaj.

– A gdzie byłabym bardziej potrzebna?

– Jest pani zdumiewającą osobą – stwierdziłem. – Ale pani o tym wie. Kto teraz będzie tak bardzo dbał o naszych pacjentów jak pani?

– Pan – odparła Hancock. – Tylko proszę nie zaprzeczać.

Chwilę namyślałem się nad wygłoszeniem do tego komentarza. A nawet więcej niż chwilę.

Tego wieczoru w domu, po tym jak John poszedł spać, złamałem kardynalną zasadę i rozmawiałem o mojej pracy.

– Jak minął dzień? – zapytała Ingrid. Siedzieliśmy na przeciwległych końcach sofy.

– Dziś opuściła nas naprawdę dobra pielęgniarka – oznajmiłem. – Virginia Hancock, mówiłem ci o niej.

– To ta, która nazwała swoją pracę w Gomorze pracą dla Jezusa?

– Tak, zgadza się, to ona.

– Co sprawiało, że była taka dobra? – zapytała Ingrid i następną godzinę rozmawialiśmy – tak, naprawdę rozmawialiśmy – po raz pierwszy od wielu miesięcy. Potem wspominałem, jak trudno mijać pacjentów na korytarzach, jak to wyczerpuje nerwowo.

– Mnie się wydaje – rzekła Ingrid – że ta cała Gomora to zły pomysł. Jeżeli ma to być szpital z chorymi pacjentami, to dlaczego oddziały otaczają wysokie ogrodzenia? A jeżeli jest to więzienie, to dlaczego gra się tam w softball, dlaczego organizuje się grupy joggingu i pokoje pacjentów są otwarte? – ciągnęła Ingrid. – Pacjenci swobodnie chodzą na lunch i z powrotem. I dlaczego ty masz tam przebywać? Jak możesz się ocierać ramionami z mordercami?

Potem Ingrid powtórzyła wielokrotnie pospolite pytanie, które i ja też sobie zadawałem w sprawie Gomory:

– Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego tam nie ma żadnych strażników?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Choroba, szaleństwo i śmierć były aniołami obecnymi u mej kołyski, a potem towarzyszyły mi przez całe życie.

EDWARD MUNCH

ZARÓWNO NA ODDZIALE C, jak i w życiu osobistym, wydarzenia zaczynały odciskać swoje piętno – jedne w sposób pozytywny, inne bynajmniej nie.

W środę późnym popołudniem otrzymałem wiadomość od Ingrid: „Oferta przyjęta”, pisała. „Zobaczymy się wieczorem”.

Oparłem się wygodnie w moim biurowym fotelu. A potem rozległ się alarm.

Pobiegłem przed Cohenem, otworzyłem drzwi do Oddziału C i pospieszyłem do dyżurki pielęgniarek.

– Ostrzegałem cię! – Xiang krzyczał, kopiąc leżącego na podłodze Gomeza, otoczonego personelem. Cohen powstrzymywał Xianga, jednak nie robił tego z przekonaniem.

– Zadźgam cię, ty sukinsynu! – skrzeczał przenikliwie Cervantes, potrząsając konwulsyjnie myjkami w uszach. Trzy pielęgniarki przyszpiliły go do ściany korytarza. Podczas wykręcania i szarpania na podłogę z brzękiem upadł zaostrzony uchwyt do okularów.

Dziesięć kroków dalej w korytarzu Hong, wyjął z całych sił po chińsku, uspokajał grupę gapiów. Personel z Oddziału B utworzył żywą granicę oddzielającą napływających pacjentów. Dołączyłem do Cohena.

– Panie Xiang – zawołałem – proszę się uspokoić!

Xiang, dziko patrząc, coś parsknął po wietnamsku, potem jeszcze ostatni raz szturchnął Gomeza, ale Cohen chwycił go za ramię i szarpnął do tyłu. I właśnie w tym momencie jego łokieć uderzył mnie w twarz i upadłem na podłogę.

Leżąc, zobaczyłem, jak otwierają się drzwi oddziału i do środka wbiega oddział policji.

\* \* \*

W dyżurce pielęgniarek przyłożyłem sobie lód na twarz. Cohen sprawiał wrażenie winnego.

– Tak mi przykro – rzekł i skrzywił się, gdy opuściłem rękę. Przejrzałem się w lustrze nad umywalką; zaczynał już wyraźnie zaznaczać się czerwony krąg wokół prawego oka.

– Nic na to nie poradzę – stwierdziłem i wyszliśmy porozmawiać z policją. Porucznik Harrison wysłuchał oświadczeń personelu.

– Gomez zaatakował Honga – mówiła Palanqui. – Na środku holu. W jasny dzień. Chwycił go z tyłu i ściągnął mu spodnie. Hong wrzeszczał – kontynuowała. – To ściągnęło Cervantesa i zaczęła się bijatyka.

– Nacisnęłam alarm – wtrąciła Monabong i reszta pielęgniarek przedstawiła swoje wersje.

– Czy Hong jest cały? – zapytał Harrison, kończąc wywiad.

– W pogotowiu stanowym przeprowadzą badania naruszenia cielesnego – poinformowała Palanqui.

– Jeżeli wykryją jakieś naruszenia – stwierdziła Kate Henry – zostaną sformułowane zarzuty.

Dowiedziałem się, że w Gomorze można „sformułować zarzuty”, jeśli ktoś popełni przestępstwo. Robiono to często, chociaż rzadko czymś skutkowało. Łatwo zrozumieć dlaczego. Pacjenci, którzy kogoś zaatakowali w Gomorze, przybyli tu na skutek nieudolnie ferowanych wyroków za poprzednie przestępstwa. Trafiali do więzienia, ale zwykle potem wracali do Gomory na

dalsze leczenie i to na ten sam oddział. Często do tego samego łóżka. Byliśmy tego świadkami, gdy McCoy pobił Wilkinsa. Gomora widziała takie sceny tysiące razy w ciągu roku. W obrębie ogrodzenia leżała strefa wonnej napaści.

– A Xiang? – zapytał Harrison.

– Poszedł do domu – odparł Cohen. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś dostał takiego szału.

Porucznik Harrison spojrzał na mnie.

– Jest pan cały, doktorze?

– Dostałem tylko łokciem od psychologa – poinformowałem go.

– Niech to obejrzy lekarz – włączyła się Kate Henry.

– Dobrze.

I obejrzała to Ingrid.

– Jezu, co znowu? – zapytała, gdy stanąłem w drzwiach.

Powiedziałem szczerą prawdę.

– Ben Cohen walnął mnie łokciem w twarz. To był wypadek.

– Twój psycholog uderzył cię łokciem w twarz? – spytała Ingrid. – Pewnie masz mi coś do opowiedzenia.

– Opowiem przy kolacji – oznajmiłem i zdobyłem się na szeroki uśmiech. – Ale w pierwszej kolejności pomówimy o domu.

– Tato, wyglądasz jak Rocky – rzekł John, wychodząc ze swojego pokoju. – Z tobą wszystko okej?

– Zupełnie w porządku, naprawdę – odparłem. – Idziemy jeść.

Dom był głównym tematem przy kolacji.

– Zaakceptowali naszą ofertę – oznajmiła Ingrid. – Bez zastrzeżeń. Dokumenty podpiszemy w piątek. Powiedziałam, że możesz przybyć do firmy załatwiającej formalności związane z tytułem własności nieruchomości o siedemnastej trzydzieści.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się. – Jestem naprawdę podekscytowany. Jakie masz plany co do swojej sypialni? – zwróciłem się do Johna i pozostała część rozmowy tego wieczoru upłynęła w dobrym nastroju.

Zanim poszliśmy spać, Ingrid obejrzała moje oko.

– Śledź wzrokiem mój palec – poleciała i zrobiłem to. Delikatnie zbadała obwód oczodołu, szukając jakichś uszkodzeń, przypominających te, jakich doznała Luella od Mathewsa. Obejrzała, czy są ślady krwi za rogówką.

– Wygląda dobrze – stwierdziła, kończąc badanie.

Nie wiedziała, co więcej powiedzieć. Ja też. Wpierw szwy, teraz siniec. Położyliśmy się do łóżka.

– To naprawdę łokieć Cohena uderzył mnie w twarz – powtórzyłem.

– Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami – stwierdziła Ingrid.

\* \* \*

W piątek wyszedłem wcześniej z pracy, żeby spotkać się z Ingrid w biurze prawnym w sprawie nabycia nieruchomości. Makijaż, jaki Ingrid tego ranka nałożyła mi na oko, już zszedł. Szybko wyłuskała z torebki tubkę z podkładem i wyretuszowała go, zanim weszliśmy do biura. W środku wyjaśniała naszemu pośrednikowi od nieruchomości i urzędnikom w biurze, że uderzyły mnie drzwi, i wszyscy wydawali się usatysfakcjonowani tym tłumaczeniem. Potem podpisywaliśmy stos dokumentów i gratulowano nam nabycia nowego domu. Dla nas był to ekscytujący moment, ponieważ znowu staliśmy się właścicielami nieruchomości. Ingrid promieniała. Ja trochę mniej – byłem zanadto zmęczony.

Jeszcze przed tym wydarzeniem znaleźliśmy się w pułapce kredytu hipotecznego, od której dopiero niedawno zdołaliśmy się uwolnić. I właśnie po to, żeby się to nie powtórzyło – musiałem pracować. Dlatego moja praca w Gomorze była taka ważna, o czym jednak próbowałem przestać myśleć.

– Jesteś tego całkiem pewien? – dotknęła delikatnie mojego czerniejącego oka, gdy staliśmy na chodniku. – Jesteś pewien, że nie doznałeś większego uszczerbku na zdrowiu? Muszę skontaktować cię z lekarzem.

– Teraz jestem trochę osłabiony – odparłem. – Ale to przejdzie. Ogólnie czuję się dobrze. – Objąłem Ingrid i uściskałem. – Gratuluję, pani doktor, właścicielko domu. To nasz duży sukces.



Ingrid przytrzymała mnie na długość obu wyciągniętych rąk.

– Jestem bardzo szczęśliwa.

\* \* \*

W poniedziałek Xiang nie pokazał się w pracy. Nie pojawił się też przez resztę dni w tygodniu. I jak to było w zwyczaju Gomory, wszyscy mało mówili o jego nieobecności. Jednak nie poddawaliśmy się, Kate Henry poprowadziła odprawę i w następnym dniu – ciągle ani słowa od Xianga – przedstawiła nam nową pielęgniarkę.

– To jest Berenice Hopkins – oznajmiła Kate Henry na wstępie narady w pierwszym tygodniu marca. – Wypełni lukę do powrotu pana Xianga.

– Czy przedtem pracowała pani już w stanowym szpitalu, Berenice? – zapytała Palanqui.

– Nie, kochana, nie pracowałam – odparła Hopkins. – Spędziłam trzydzieści lat w prywatnej ambulatoryjnej klinice psychiatrycznej. Leczyliśmy dzieci.

– Co pani słyszała o naszym szpitalu? – zapytała Monabong.

– Wysłała mnie tu agencja – wyjaśniła Hopkins. – Tam pracowałam na niepełnym etacie. Dawało mi to niezbyt ciekawą emeryturę.

– No, to miejsce z pewnością nie będzie dla pani nieciekawe – zauważył Cohen.

– Spodziewam się, że nie będzie – odparła Hopkins. Była to starsza, biała kobieta o miłym uśmiechu.

Nastąpiła ogólna prezentacja.

– Wielki Boże, co się stało z pańskim okiem? – zapytała Hopkins, gdy nadeszła moja kolej. Fiolet zaczął się zmieniać w zieleń.

– Uderzył mnie doktor Cohen – wyjaśniłem. – Przypadkowo.

– Rozumiem. – Hopkins rzuciła Cohenowi szybkie spojrzenie.

Zaledwie po kilku dniach stało się jasne, że Hopkins nie nadawała się do nas i sytuacja stała się nie do wytrzymania.

– Jest wiadomość od pana Xianga? – zapytałem w czasie zebrania

w połowie marca. Hopkins nie była obecna przy stole konferencyjnym. Jak zwykle uciekła do dyżurki pielęgniarek, zanim odczytano nazwisko ostatniego pacjenta.

– Nikt nic nie słyszał – odparła Kate Henry. W Gomorze niezwykle trudno było uzyskać informacje o personelu na zwolnieniu.

Reszta zebranych potrząsnęła tylko przecząco głową i wróciliśmy do spraw bieżących.

– Berenice to miła kobieta – stwierdził Cohen. – Jednak to nie wystarczy. Ona nie reaguje na alarmy.

– Boi się rozmawiać z pacjentami – wtrąciła Palanqui. – Ciągłe tkwi w dyżurce. Wczoraj do okna dyżurki pukał pan Burns i Hopkins ukryła się w pokoju medycznym. Płakała.

W następnym tygodniu sytuacja stała się krytyczna.

We wtorek – podczas zebrania – Hopkins wydawała się niezwykle spokojna.

– Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował – rzekła, gdy wstałem – proszę mi powiedzieć.

– Dziękuję – odparłem. – Powiem.

Na korytarzu zatrzymała mnie Kate Henry.

– Wydaje się, że Hopkins zaczyna się przystosowywać – rzekła. – Może czuje się już lepiej.

Hopkins przez następne dwa dni zachowywała się podobnie. Do czwartku była wyraźnie w dobrym nastroju.

– Mamy piękny dzień – powiedziała po naradzie.

Po południu rozległ się alarm. Wybiegłem z gabinetu. Napływali ludzie z Oddziału B i wszyscy zmierzali na oddział.

W pobliżu dyżurki pielęgniarek Ortega leżał na podłodze, a jego fotel inwalidzki był przewrócony pod ścianą. Nad nim górował Caruthers, jego współlokator i Mathews wyrównywali ze sobą porachunki. Mathews szydził i tańczył, Caruthers stał spokojnie w pogotowiu. Dwie pielęgniarki odważnie wcisnęły się między skonfliktowane strony, pospiesznie chwyciły Ortegę pod

pachy i odciągnęły w bezpieczne miejsce.

– Uderzyłeś starego, chorego człowieka – rzucił Caruthers i obrócił się w prawo. – On był na fotelu inwalidzkim. A ja nie. To dlaczego nie walnąłeś mnie? – Caruthers przeżył się nad Mathewsem.

– Pieprz się – warknął Mathews. – Chcesz dostać coś ode mnie? No to chodź i weź! – Mathews walnął się pięściami w pierś i obrócił w lewo.

Personel, razem ze mną, otaczał ich kołem, gotów do akcji.

Gdy Mathews nadal prowadził z Caruthersem tę drwiącą pogawędkę, zerknąłem do dyżurki pielęgniarek. Hopkins gmerała w torebce i wyjęła małą, brązową buteleczkę. Otworzyła ją, spokojnie wysypała dwie kapsułki na dłoń i włożyła do ust. Pochyliła się i szybko popiła wodą z kranu. Wygładziła kitel i lekko się zataczając, podeszła do drzwi.

Otworzyła drzwi dyżurki i wymaszerowała na korytarz wprost przed Mathewsa.

– Przestań! Natychmiast! – rzuciła z gniewem. – Mam już dość twoich wygłupów! Słyszysz? – Pogroziła mu palcem.

– Spieprzaj mi z drogi – rzekł Mathews, próbując odsunąć ją na bok. Ale Hopkins nie ustępowała.

– To się ma skończyć! – krzyknęła. – Już mnie nie przestraszysz! Słyszysz? – Hopkins zaczerwieniła się. Trzęsła się. – Słyszałeś, co powiedziałam? – Za nami przez drzwi wbiegali do holu policjanci.

Mathews rzucił okiem na biegnących policjantów i to był koniec.

– Tak, psze pani. Słyszałem – rzekł Mathews i uspokoił się.

– To dobrze – wydyszała triumfalnie Hopkins, odwróciła się i odeszła.

Randy chwycił ją od tyłu za łokcie.

– Już nigdy nie zostanie pani znowu tak przestraszona jak dziś, panno Berenice – rzekł Randy i ruszył do drzwi wyjściowych. – Przyrzekam.

Caruthers delikatnie podniósł Ortegę z podłogi i posadził na fotel. Ortega poklepał się po rękach i w obie nogi, a potem pogładził twarz.

– *Estoy bien, Gracias a dios* – rzekł.

Mathews zwrócił się do Caruthersa:

– Przepraszam, że tak obraźliwe potraktowałem człowieka – powiedział. –  
Zatem zgoda?

Caruthers skinął głową.

– Zgoda.

Randy i Hopkins zatrzymali się przy drzwiach oddziału.

– Już nigdy nie znajdziesz się w takiej sytuacji – powtórnie zapewnił ją  
Randy i otworzył zamek.

– Dzięki ci, Jezu – westchnęła Hopkins i osunęła się w jego ramiona.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Deszcz stuka, dzwoni

Krew pulsuje

Z łomotem metalu spada brzytwa.

A. BLISSFUL DIRGE, „THE TALE OF SHADOW DEHART”

XIANG WRÓCIŁ w następny poniedziałek. Gdy razem z Cohenem wszedłem na oddział, wyłonił się z dyżurki pielęgniarek i rzekł:

– Zebranie. Już jesteście niemal spóźnieni. – Potem wskazał pozostałości mojego sińca. – Z pańskim okiem już lepiej? – zapytał.

– Już dobrze – odparłem.

Poszliśmy za Xiangiem i uśmiechając się, usiedliśmy razem z zebraniem personelem przy stole konferencyjnym. Kate Henry wzruszyła ramionami.

– Pan Boudreaux – zaczął Xiang i otworzył swój duży czarny segregator – miał spokojną noc, dobrze spał. – Potem kolejno dokonał przeglądu pacjentów, nie pomijając nikogo. Na zakończenie personel przedstawił swoje zwykłe komentarze. Ja spisałem na odwrocie koperty własną listę zadań.

– Witam z powrotem, panie Xiang – powiedziałem na koniec odprawy i wszyscy powtórzyli to za mną.

– Dziękuję – odrzekł Xiang, zamykając czarny segregator. – Cieszę się, że tu jestem. – I z tymi słowami wyszedł z pokoju.

– Czy wiemy, co się właściwie stało? – zapytałem Kate Henry.

– Był już tutaj, gdy przyszedłem do pracy – odparła.

- Dzięki Bogu – wtrącił Cohen.
- Amen – ozwały się głosy i personel ruszył do drzwi.
- Wy dwaj, panowie, pozostańcie – rzekła Palanqui, podchodząc do Cohena i do mnie. – Nadchodzi wiosna i wiecie, co to oznacza?
- Pacjenci będą tańczyć wokół umajonego słupa? – zapytał Cohen i znowu usiedliśmy.
- Tu nie chodzi o żaden słup – zaprzeczyła Palanqui. – Marcowe szaleństwo. Wiosna to sezon koszykówki. Nasza drużyna przeciwko drużynie z Oddziału B. Potrzebuję dwóch trenerów. Pomyśleliśmy, że wy dwaj będziecie się świetnie nadawać.
- Cohen zapalił się do tego pomysłu.
- Zorganizuję drużynę z pacjentów Oddziału B – rzekł. – Mike Morgan może i jest kombinatorem, ale myślę, że może też dobrze grać. Załatwimy twoich platfusów.
- Uśmiechnąłem się.
- Brzmi zabawnie.
- Sala jest wolna do treningu we wtorki i czwartki po południu, zaczynając od przyszłego tygodnia – zakomunikowała Palanqui. – Aby wyłonić drużynę zwycięską, ogólnie w rozgrywkach biorą udział cztery drużyny.
- Biorę czwartek – oznajmił Cohen.
- Mnie pasuje wtorek – rzekłem.
- Pierwszy mecz za tydzień od piątku – dodała Palanqui. – Będziecie grać każdy z każdym.
- Wygrana jest nasza – rzekł Cohen z przekonaniem.
- W twoich snach – rzuciłem, doskonale wiedząc, że ma rację. Oddział C w koszykówce się nie liczył.
- Po opuszczeniu oddziału minąłem z Cohenem Xianga stojącego na końcu korytarza. Rozmawiał z pacjentami. Oni mówili, on słuchał.
- Jakiś czas nie będziemy się widzieć – oznajmiłem Cohenowi, gdy doszliśmy do naszych gabinetów.
- Urlop? – spytał Cohen.

– Kupiliśmy nowy dom – wyjaśniłem. – W następnym tygodniu przeprowadzamy się.

– Przeprowadzka to zawsze dużo radości – zauważył Cohen z uśmiechem.

– Z pewnością więcej niż tutaj – stwierdziłem.

\* \* \*

– Z powrotem do kopalni soli – lamentowałem przed Ingrid i Johnem, wybierając się do pracy rano w następny wtorek. Jak powiedziałem Cohenowi, ostatni tydzień spędziliśmy, podróżując do naszego nowego domu i z radością witając przerwę w pracy na Oddziale C.

– Bądź ostrożny – rzekła Ingrid i uściskała mnie na pożegnanie.

Bez problemu jechałem o dziesięć minut dłużej niż przedtem. Obserwowałem wschód słońca i słuchałem wiadomości w NPR.

Po odprawie wyciągnąłem z kieszonki koszuli żółty arkusz papieru i szybko zapisałem kilka nazwisk. Cohen zerknął mi przez ramię.

– To twoja drużyna? – zapytał.

– Co o tym sądzisz? – podałem mu papier.

– Trofeum jest już moje – rzekł. – Gdy ty podróżowałaś, my trenowaliśmy.

W dyżurce pielęgniarek włączyłem intercom i wyczytałem przez niego siedem nazwisk z mojej kartki, prosząc, żeby pacjenci przybyli pod drzwi dyżurki. Po trzech minutach stawili się niepewnie: Floyd Traylor, Vernon Chambers, Caruthers, człowiek radia NPR, Leon Smith, Shaw Carver i Boudreaux.

– Mam dla was coś, co, jak sądzę, lubicie – oznajmiłem, wychodząc z drzwi z listą w ręce.

– Więcej żadnego baseballu – warknął Carver.

– Wieczór z koszykówką – nagle zakomunikował radiowiec. – A następnie wiadomości o ruchu drogowym.

– Kiedy jest lunch? – zapytał Traylor.

– Dajcie człowiekowi szansę – wtrącił Caruthers. – O co chodzi, doktorze?

Wyciągnąłem przed siebie listę.

– Nadchodzi sezon koszykówki w szpitalu – wyjaśniłem. – Muszę mieć drużynę. Wybrałem do niej was, chłopcy. Co o tym myślicie?

Spojrzeni po sobie.

– Myślimy, że jest pan świrnięty – odpowiedział Chambers.

W tym momencie włączyła się Monabong:

– Wyzwał nas Oddział B – rzekła. – Nie możemy z nimi przegrać.

Mężczyźni zaczęli pomrukiwać.

– Co tydzień będziecie opuszczać oddział na kilka godzin – kontynuowała Monabong i to zyskało niemal jednomyślną aprobatę. Nie przyłączył się do tego tylko Boudreaux.

– Wchodzi pan w to? – zapytałem go.

– Taa... sądzę, że tak – odparł Boudreaux i wtedy ujrzałem w jego oczach ten błysk, jaki zobaczyłem przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Ja mam smykałkę do koszykówki – stwierdził człowiek z radia NPR i wszyscy się do niego odwrócili. – I do gier komputerowych i do wschodnich sztuk walki, i do włamywania się do komputerów.

Nikt nie był pewny, czy dobrze słyszy.

– To cudownie, Michael – podsumowała Monabong. – Zatem będziesz cennym nabytkiem w zespole.

\* \* \*

Lunch zjadłem razem z Cohenem.

– Dziś rano ten facet udający radiowca przestał gadać o NPR – poinformowałem.

– Lekki w końcu dały o sobie znać? – zapytał Cohen.

– Coś się wydarzyło – stwierdziłem. – Przełączył się na film *Napoleon Dynamite*<sup>[8]</sup>.

Tego popołudnia na boisku koszykówki zebrała się drużyna Oddziału C. Kiedy zaczęto dryblować i rzucać, stało się jasne, że początkowy entuzjazm, jaki żywiłem, był zdecydowanie nie na miejscu. Traylor odbił piłkę trzy razy, a potem rzucił dwie stopy nad deską kosza. Smith zrobił to trochę lepiej.



Starszy mężczyzna, który kiedyś posiadał sportowe umiejętności, stojąc na dogodnej linii rzutu, cisnął piłkę obiema rękoma. Tylko że dotknęła zaledwie spodu siatki.

– Dobry początek – rzekłem, zbierając piłkę i rzucając do Chambersa, wysokiego mężczyzny, który, jak sądziłem, wrzuci ją do kosza z podskoku.

Wraz z nabywaniem wprawy udało mu się chwycić kilka chybionych rzutów – odbitych od deski kosza – i podać piłkę któremuś naszych zawodników.

Caruthers wykazał się resztkami talentu i wyraźnie panował nad piłką.

– Rozgrywający – rzuciłem.

Rozgrywający ma za zadanie dryblować piłką przez boisko i podawać ją do odpowiedniego zawodnika. Wyglądało na to, że teraz jesteśmy już całkiem nieźli.

Wybrałem tego radiowca za względu na jego wiek. Nieustannie i wytrwale krążył przez cały dzień po oddziale, wyraźnie wykazując do tego kondycję.

– O co chce się pan założyć, że przerzucę piłkę przez te góry? – zapytał, a następnie cisnął piłkę w boczną ścianę i ruszył biegiem przez boisko.

– Dobrze wypchnięcie! – krzyknąłem, przechwytyjąc odbitą piłkę i posyłając ją do Boudreaux.

Boudreaux zakręcił piłką przed sobą, podrzucił w rękach, uniósł nad głową, ugiął kolana i posłał ją doskonałym łukiem w otwór obręczy. Piłka, z tym magicznym szelestem brzmiącym jak: „nic tylko kosz”, przemknęła przez siatkę kosza i opadła na posadzkę. Boudreaux wykonał celny rzut z odległości dwudziestu pięciu stóp.

Potem znowu podałem piłkę Boudreaux. Cofnął się o krok i gładko wykonał z podskoku drugi długi, celny rzut. Patrzyliśmy z respektem – z wyjątkiem człowieka z NPR, który biegał tam i z powrotem pod przeciwległym koszem.

– Usłyszałem ten twój przepyszny bas. Usłyszałem ten twój przepyszny bas... – wołał, powtarzając wielokrotnie.

– Ty już grałeś w piłkę! – wykrzyknąłem i rzuciłem piłkę w kierunku

Boudreaux.

– Trochę – odparł i wystartował, chwytając piłkę w biegu. Odwrócił się do kosza i z wysokości wrzucił ją lewą ręką.

Szybko myślałem. Rozsądnie kombinując, zwycięstwo w turnieju było całkiem realne. Skupiając się na Boudreaux, obserwowaliśmy ze zdumieniem, jak się zręcznie porusza, jak za każdym razem niemal trafia do kosza. Dlatego dopiero po dobrej chwili zauważyliśmy, że człowiek NPR przestał gadać. Usłyszeliśmy łomot i odwróciliśmy się. Radiowiec wyrzucił głowę w posadzkę. Jego ciało zaczęło sztywnieć – sztywnienie rozchodziło się od ręki na całe ciało.

Włączyłem alarm i podbiegłem do leżącego. Główne zadanie dla personelu medycznego w czasie tego rodzaju ataku polega na zapobieżeniu, aby osoba ulegająca atakowi „nie połknęła języka”. Oczywiście nikt jeszcze „nie połknął swojego języka”, jednak może go przegryźć. Powstrzymałem wszystkich i upewniłem się, że radiowiec nie zrobi sobie krzywdy.

W ciągu dwóch minut otworzyły się drzwi sali gimnastycznej i gdy Bangban odprowadziła moją drużynę z powrotem na oddział, zjawiała się istotna pomoc. Wbiegli sanitariusze i z ich pomocą opanowaliśmy atak radiowca. Wkluto mu wenflon i podłączono kroplówkę, a potem położono na wózek i wytoczono z sali.

W odległych drzwiach ukazał się Cohen.

– Co się stało? – zapytał, wstrzymując oddech.

– Radiowiec miał atak – wyjaśniłem.

– To straszne. I co z nim? W porządku?

– Po powrocie do gabinetu zadzwonię na ostry dyżur – oświadczyłem. – Oni tam mają przeprowadzić badania.

Tak gwałtowny atak u człowieka niecierpiącego na epilepsję ma kilka przyczyn – obniżenie poziomu cukru we krwi, pęknięcie naczynia krwionośnego albo guz.

Wychodząc jako ostatni, zamknąłem piłkę w szafce i wróciłem z Cohenem na oddział.

W dyżurce pielęgniarek było tłoczno. Razem z Xiangiem, personelem dziennym i policjantami była też obecna doktor Francis. Przyszła z mężczyzną w garniturze. Niedobrze. Garnitury w Gomorze zawsze wróżą kłopoty.

– Michael Tomlin miał atak – oznajmiłem, mając nadzieję, że to właśnie było źródłem całego zamieszania.

– Słyszeliśmy – odparł Xiang. – Wezwałem pogotowie hrabstwa. Teraz badają go tomografem komputerowym. Ale mamy tu inny problem.

– List wewnętrzny, jaki pan napisał w sprawie Raymonda Gomeza – rzekła doktor Francis – gdzieś po drodze utknął i przybył do sądu z tygodniowym opóźnieniem. Do tego czasu przetrzymywanie go tutaj prawnie straciło ważność. – Pokazała dwa oficjalnie wyglądające dokumenty. – Publiczny obrońca zakwestionował legalność przedłużającego się zatrzymania i sędzia podtrzymał jego wniosek. Poleciał natychmiast zwolnić Gomeza.

– Niemożliwe! – zawołał Cohen. – On właśnie próbował zgwałcić Honga. To musi być jakaś pomyłka!

Doktor Francis przedstawiła faceta w garniturze:

– To pan Mitchell Lin, ze specjalnego szpitala psychiatrii sądowej.

– Wnieśliśmy apelację nadzwyczajną – oznajmił Lin, szczupły Azjata. – Jeżeli sędzia nie unieważni swojej decyzji, o czym będziemy wiedzieć w ciągu godziny – dodał Lin – policjanci muszą eskortować Gomeza przez punkt kontrolny.

Xiang był wyraźnie zdenerwowany.

– To nie jest w porządku – rzekł. – Co ten sędzia właściwie sobie myśli?

– W wielu krajach jest mnóstwo sędziów – stwierdziła doktor Francis – i wielu z nich jest bardzo dobrymi sędziami. Jednak są też i tacy, którzy nie mają pojęcia, co się u nas robi. Myślę, że tacy sędziowie zbyt często oglądali film *Lot nad kukułczym gniazdem*.

To prawda. Byłem świadkiem dziwnych wydarzeń w sali sądowej. W czasie mojej praktyki sędzia zwolnił z szpitala hrabstwa Los Angeles psychicznie

upośledzonego schizofrenika, który potem zamieszkał pod autem i wyżerał resztki ze śmietnika. Mimo to zgodnie z prawem wyrzucono go ze szpitala, chociaż zgłosiliśmy stanowczy sprzeciw.

– Znam sędziego Batesa – oznajmił Lin – i lepiej zaczniście pakować rzeczy pacjenta.

Lin miał rację. Gomez musi odejść. Krótko mówiąc, otrzymaliśmy faks potwierdzający jego zwolnienie. Spakował rzeczy, a gdy zapytałem, czy odwiedzi swoją rodzinę, rzekł:

– Pieprzę swoją rodzinę.

Do zebranych pacjentów, którzy natychmiast zwęszyli, że ktoś wychodzi, wrzasnął:

– Mówię wam, oni mnie tu rozjechali! Nie pozwalajcie się pieprzyć tym dupkom!

Cohen zapytał, czy należy o tym powiadomić ofiarę Gomeza, ale Lin odparł, iż jeśli nie grożono konkretnej osobie, nic nie można zrobić. Utrzymał, że odkąd Gomez został oficjalnie wypisany, byłoby to „naruszeniem prywatności”.

Gomez poinformował mnie, gdzie można go znaleźć, kiedy zaproponowałem mu przepisanie lekarstw. Zarzucił na ramię worek marynarski, okazany aplauz na pożegnanie od pacjentów przyjął łaskawie, a potem został odprowadzony do drzwi przez Lina, doktor Francis i Kate Henry.

Pacjenci mruzczyli między sobą całe popołudnie. McCoy tak podsumował ogólne wrażenie:

– Ten sukinsyn pokonał kata, a oni puszczają go wolno. Ja będę następny. Wiem to.

Następnego dnia poranna odprawa trwała bardzo długo. Po przejrzeniu pacjentów zaczęliśmy rozmawiać o Gomezie.

– Takie rzeczy się zdarzają – zauważyła Kate Henry.

– Zgwałci następną kobietę – rzuciła ze złością Monabong – a potem zapyta ją, jak się czuje „po tych rzeczach”?

– W moim kraju – wtrąciła Palanqui – pan Gomez dawno byłby już trupem.

– O czym my tu właściwie mówimy? – Cohen powtórzył w zmieniony sposób reakcję Ingrid z poprzedniej nocy. A także moją.

Tylko Xiang milczał.

– Panie Xiang – zapytał Cohen – co pan o tym wszystkim myśli?

Xiang chwycił czarny skoroszyt i wyszedł z pokoju. Nie spodobał mi się wyraz, jaki pojawił się w jego oczach.

O piętnastej trzydzieści, wraz z końcem zmiany pielęgniarek, czekałem na zewnątrz Oddziału C. Wyszły wszystkie pielęgniarki z tej zmiany, ale nie było wśród nich Xianga.

– Gdzie jest pan Xiang? – zapytałem Monabong.

– Wyszedł wcześniej – odpowiedziała.

Po pracy pojechałem do domu Xianga. Kiedyś latem podwoziłem go do domu, gdy zepsuł mu się samochód. Po krótkim błądzeniu poznałem małe trzepoczące buddyjskie chorągiewki modlitewne przymocowane do poręczy tradycyjnego azjatyckiego ganku. Samochód Xianga stał na podjeździe.

Kiedy nie usłyszałem odpowiedzi na moje stukanie do drzwi wejściowych, obszedłem dom od tyłu i znalazłem go siedzącego samotnie na cementowym tarasie. Miał na sobie cienki biały płaszcz narzucony na strój roboczy i wrzucał do małego ognia kartki papieru.

Xiang kiwnął mi głową i usiadłem obok na cemencie.

– Może pan uczynić mnie i mojej rodzinie wielki zaszczyt – rzekł – i rytualnie wrzucić do ognia te „martwe pieniądze”?

Podał mi kartkę cienkiego papieru ze złotym stemplem i nadrukiem „5 000 000 000\$”. Wrzuciłem ją do ognia. Xiang wrzucił następny arkusz. I tak wrzucaliśmy na przemian, aż cały stos pieniędzy znikł w czarnym dymie.

– Dla mojej matki – rzekł Xiang, nie podnosząc wzroku. – To się nazywa „martwe” albo „boskie” pieniądze – kontynuował cicho, z szacunkiem. – Posyłamy je, aby mogła mieć to wszystko, czego nie mogła kupić tu, za życia.

Xiang wrzucił więcej banknotów w ogień, wzniecając płomienie wachlowaniem ręki.

– Moja matka umarła, gdy byłem młody – rzekł. – W czasie amerykańskiej wojny w Wietnamie. Ojca zabił Wietkong. Matka samotnie wychowywała mnie i mojego brata. Pracowała dzień i noc. Pewnego dnia pracowała na polu ryżowym. Znalazło ją tam dwóch amerykańskich żołnierzy. Zgwałcili ją. Nazwali ją „żółtkiem”. Myśleli, że ich nikt nie widział. Ale ja widziałem. Potem moja matka zmieniła się. Umarła w następnym roku.

Mój starszy brat w Wietnamie stracił nogę, a mój trener koszykówki z czasów młodości zginął w bratobójczym ogniu. Zatem i ja też miałem emocjonalny stosunek do tego kraju. W milczeniu wrzucaliśmy złotem barwione arkusze papierowych pieniędzy do tego małego piekła.

– Jestem panu winien przeprosiny – rzekł Xiang. – Zachowałem się bardzo źle, gdy Gomez usiłował zgwałcić Honga. Proszę mi wybaczyć.

Po chwili Xiang kontynuował:

– Kiedy wtedy wyszedłem ze szpitala, zaraz poleciałem do Wietnamu, aby jeszcze raz spojrzeć na pole ryżowe. Pomyślałem, że jeśli je zobaczę, będę mógł z tym skończyć raz na zawsze – uśmiechnął się ze smutkiem. – Jednak przekonałem się, że tak naprawdę nigdy nie można zakończyć pewnych rzeczy.

Xiang mówił dalej, gdy ogień zaczął przygasać:

– Przybyłem do tego kraju jako nastolatek i pokochałem go. Wykształcił mnie, dał mi żonę i dzieci. Otrzymałem tu wszystko, co teraz mam. Jednak nie rozumiem tego kraju. Nie rozumiem amerykańskich żołnierzy. Nie rozumiem, dlaczego zgwałcili moją matkę, chociaż była zupełnie niewinną istotą. I nie rozumiem amerykańskich sądów. Dają Gomezowi wolność, chociaż jest winny.

Xiang wstał.

– Pan tu dziś przyjechał – rzekł – bojąc się o mnie. Jestem panu za to wdzięczny.

Również wstałem, nie znajdując słów do odpowiedzi.

– Przyjadę do pana jutro – zadeklarowałem w końcu.

Xiang spojrzał na zegarek.

– Wkrótce wrócą do domu moje dzieci – rzekł. – Urodziły się tutaj. Tak jak ich matka są Amerykanami. Ale ja ich też za bardzo nie rozumiem.

[8] Amerykański niezależny film z 2004 roku o osiemnastoletnim dziwaku imieniem Napoleon.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Czyste Szaleństwo to najwyższy Rozum –  
Gdy je przeniknąć zrozumienia błyskiem –  
A czysty Rozum to upadek w Obłąd –  
Lecz większość – jak we wszystkim –  
Narusza swoje Kategorie –  
Przyjmij je – jesteś Normalny –  
Odrzuć – czekają na Furiata  
Kajdany i kaftany<sup>[9]</sup>.  
EMILY DICKINSON, „CZYTE SZALEŃSTWO”

JAZDA DO DOMU. PRÓBUJĘ posegregować wrażenia po popołudniowym epizodzie z Xiangiem. Był dużo więcej niż tylko pielęgniarzem. On czuł się przyjacielem, niemal członkiem rodziny. Ja też żywiłem podobne uczucia dla wielu członków Oddziału C. Łączyły nas przeciwności, a jednak funkcjonowaliśmy zespołowo w dosłownym znaczeniu tego słowa. Każda osoba robiła to, co do niej należało i robiła to mimo wszelkich przeciwności. A Xiang był kapitanem. Nie pamiętam, żebym znał kogoś takiego jak on. Kogoś, kto byłby tak godny podziwu.

Będąc członkiem personelu Oddziału C, nie czułem się już tak zagubiony jak dawniej – co wtedy było dla mnie szalenie kłopotliwe. Nawet nie przypuszczałem, żeby to było możliwe w Gomorze. Osiągnąłem, przynajmniej tymczasowo, spokój w pracy – która przynajmniej obecnie



wydawała się już mniej niebezpieczna. Wiedziałem, że to tylko okres przejściowy. Wiedziałem, że jeśli zawarto jakiś rozejm, to mógł być natychmiast zerwany jednym sygnałem alarmu osobistego, jednym ciosem pięści w twarz pielęgniarki. Powtarzając jednak za mantrą AA – to były problemy na jutro.

Tego dnia rozkoszowałem się naszym nowym domem. Był gościnny i przestronny – a jednak bezpretensjonalny. Podwórko za domem miało ogrodzenie dla psów. Poprzedni właściciele założyli na podwyższeniu ogródek warzywny i Ingrid miała już plany z nim związane.

Wieczór upłynął przyjemnie i spokojnie. Tego właśnie potrzebowałem. Przez pierwszą noc, po tuzinie innych, spałem dobrze. Nie pamiętam, co mi się śniło. Jednak następnego ranka obudził mnie koszmar.

– To nowotwór – zakomunikował przez telefon doktor Singh z pogotowia ratunkowego, gdy zadzwoniłem we wtorek po naradzie. Zajmował się przypadkiem Michaela Tomlina, człowieka z radia NPR. Wśród personelu Oddziału C powszechnie sądzono, że atak Tomlina ma swoje źródło w cukrzycy.

– Albo w czymś tak zwykłym jak cukrzyca – podsunęła Palanqui.

Jednak nie miał.

Badanie tomografem komputerowym wykazało guz w prawym udzie, z przerzutami do płuc i mózgu.

Singh podał leczenie opcjonalne naświetlaniem promieniami i chemioterapią, ale nowotwór jest już daleko zaawansowany. Dawał Michaelowi sześć miesięcy życia. Wspomniał też, że stosując odpowiednie leki, będzie można kontrolować ataki Tomlina, później może być już zbędna dalsza hospitalizacja.

– Tomlin oddzwoni, gdy będzie się czuł lepiej – oświadczył na koniec lekarz. – W zasadzie chory może zostać odtransportowany do domu.

Przed odwieszeniem słuchawki doktor Singh zapytał:

– Czy to jakiś specjalista w ekstremalnych sztukach walki?

– NPR... chodzi o pana Tomlina? Nie sądzę.

– To bardzo interesujące – ciągnął doktor Singh. – Nieustannie gada o umiejętnościach nunczako, jak Napoleon Wybuchowiec i takie tam.

Zwołałem personel do pokoju konferencyjnego i przekazałem im smutną wiadomość. W ciszy uroniono trochę łez, wszyscy milczeli.

– Niech to szlag – mruknął w końcu Cohen i na tym się skończyło.

Doprawdy nie wiedziałem, czy powinniśmy tego piątku anulować rozgrywki w koszykówkę, ale nie anulowaliśmy. I byłem z tego zadowolony. Pobyt na sali gimnastycznej miał na mnie dobry wpływ. Rytmiczne odbijanie piłki, ciągły ruch, skupienie uwagi – tak potrzebne trenerowi – to wszystko pozwalało zapomnieć choćby na chwilę o bieżących kłopotach.

Wraz ze stratą Tomlina miałem tylko sześciu zawodników. Jednak nie poddawaliśmy się. Po przybyciu do sali gimnastycznej otworzyłem szafkę i wyjąłem dwie piłki treningowe.

Zjawili się też widzowie – kilku członków zespołu i policjantów. Właśnie zdążyliśmy się przywitać, gdy otworzyły się tylne drzwi sali i wbiegł Cohen razem z drużyną Oddziału B. Mieli na sobie złotego koloru T-shirty z napisem na plecach „Lakers”.

W sumie ośmiu mężczyzn utworzyło dwie linie i zaczęło ćwiczyć podawanie piłek, a potem w zorganizowany sposób rzuty do kosza. Cohen nie mylił się co do Mike’a Morgana. Choć zbliżał się już do czterdziestki, ciągle był sprawny fizycznie i gdy rzucał piłkę, zawsze trafiał blisko kosza.

Mark Halston, woźny z piętra, zjawił się w stroju sędziego – koszula w czarno-białe paski – i dmuchnął w gwizdek. W ręce trzymał piłkę meczową.

– Dwie połówki dziesięciominutowe – oznajmił. – Ja kontroluję zegar. Oficer Bangban liczy punkty. – Wskazał kosz. – Oddział B, to jest wasz kosz. Oddział C ma przeciwległy.

– Piłka Oddziału B. Rzucać.

– Okej, chłopcy – zwróciłem się do swoich zawodników. – Gramy.

Boudreaux początkowo trzymał się z boku, nie włączał się, chcąc przedłużyć zaskoczenie. Na boisku pozostało pięciu naszych zawodników.

Halston podał piłkę graczowi z Oddziału B, ten rzucił ją do kolegi i rozpoczął się mecz.

Wkrótce zaczęły nas nękać problemy formalne. Chambers dwukrotnie spóźnił rzut i skierował piłkę do niewłaściwego kosza. Wynikło z tego małe starcie i wymieniono inwektywy – coś, czego można się było spodziewać po dziesięciu mężczyznach nieprzywykłych do działania zgodnie z regulaminem.

Poza tym kulała praca zespołowa. Mimo moich nieustannych protestów i okrzyków: „Podaj dalej!”, każdy z nich przeważnie chwycił piłkę tylko po to, aby wykazać chęć natychmiastowego wrzucenia jej do kosza.

Do przerwy przegrywaliśmy dziesięć do sześciu, ale z tego cztery punkty zdobył dla nas tylko Chambers. Cohen ciągle był pewien siebie. Na drugą połowę dumnie wkroczył Morgan.

Wtedy na boisko wbiegł Bouderaux i nasza taktyka uległa zmianie.

– Podajcie piłkę Boudreaux – rozkazałem...

Od tej chwili powtarzałem to jak mantrę.

No i Boudreaux odstawił nam prawdziwe przedstawienie.

Z podań Caruthersa wykonywał rzut za rzutem. A te, które były chybione, odbijał i gładko posyłał do kosza. Pod koniec gry zwolniłem go, ale potem ten cyrk się powtórzył. Przed końcowym gwizdkiem Carver zdążył jeszcze rzucić piłką jak dyskobol. Piłka odbiła się o ścianę, dziewięć stóp nad deską.

Ostatecznie zwyciężyliśmy do dwudziestu. Po meczu zebrałem moją drużynę i złożyłem gratulacje. Zgromadzeni w krąg połączyliśmy dłonie.

– Poświęcamy tę wygraną Michaelowi Tomlinowi – oświadczyłem i wszyscy wzniesli głośny okrzyk „Huraaaa!”.

– Wiedziałeś, że wygrasz ten mecz – stwierdził Cohen w drodze powrotnej na Oddział C.

– Wiedziałem – odparłem.

– Nigdy nie mówiłeś, że masz w drużynie Kobe Bryanta<sup>[10]</sup> – stwierdził z wyrzutem.

Przez resztę sezonu rozgrywek tak nazywaliśmy Boudereaux.

\* \* \*

W poniedziałek mieliśmy już kwiecień. W czasie odprawy z pobliskiego korytarza usłyszeliśmy dziki wrzask. Wybiegliśmy. Na środku stał Caruthers.

– Pomocy! Pomocy! – wrzeszczał, machając rękoma. Przecisnęliśmy się przez zebranych zaniepokojonych pacjentów, kierując się do jego pokoju. Po zbliżeniu się do drzwi Caruthers ze łzami spływającymi po policzkach wskazał w głąb pokoju.

Na łóżku pod oknem leżał sztywno Manuel Ortega. Podeszedłem bliżej. Oczy Ortegi były nieruchome, ciało zimne. Pomacałem szyję – nie wyczuwałem pulsu. Zakryłem mu twarz kołdrą.

– Zrób coś! – Caruthers błagał od drzwi.

– Zabierz stąd wszystkich, proszę – zwróciłem się do Cohena. Po odepchnięciu tłumu gapiów Cohen zamknął drzwi za Caruthersem.

– Zrób coś – błagał Caruthers. Zbliżył się, ale zaraz cofnął. – Pomóż mu.

– On nie żyje, Tom – rzekłem.

– Nie! – szlochał Caruthers. – Zrób mu sztuczne oddychanie. Wezwij ambulans... Zrób... – Parsknął, a potem zaczął głośno szlochać.

Wtedy znowu przekroczyłem granice wyznaczone przepisami.

– Przykro mi, Tom – starałem się pocieszyć go, gdy z płaczem ukrył twarz na moim ramieniu.

Caruthers powoli odzyskiwał nad sobą kontrolę. Otarł twarz koszulą.

– O, nie... – jęknął i spojrzał na łóżko Ortegi.

– Zabieramy go do separatki – oznajmiłem.

– Mogę go jeszcze raz zobaczyć? – zapytał Caruthers.

– Oczywiście – zgodziłem się i podeszliśmy do łóżka. Odsłoniłem kołdrę i Caruthers wciągnął głęboko powietrze. Dotknął twarzy Ortegi, otarł świeże łzy z policzków i pochylił się. Wyszeptał coś do ucha Ortegi, potem nakrył mu twarz i odwrócił się.

– Idziemy – rzekł.

Kilku pacjentów poklepało Caruthersa po ramieniu.

– Jak mi przykro, człowieku – rzekł Smith.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, jesteśmy do dyspozycji – dodał Cohen.

Caruthers skinął głową. Poszliśmy do separatki. Na oddziale mieliśmy dwie separatki, przeznaczone na tego rodzaju sytuacje. W każdej znajdowały się dwa wyściełane krzesła i mały stolik. Otworzyłem drzwi i weszliśmy do środka.

Czekałem, aż Caruthers zacznie mówić.

– Manuel był dla mnie jak ojciec – zaczął w końcu. – Pamięta pan mojego prawdziwego ojca... – Przerwał i dotknął boku głowy.

Ojciec Caruthersa na oczach syna zabił jego matkę. Udusił ją. A potem trzy jego siostry.

– Pamiętam – odrzekłem.

Caruthers kiedyś opowiedział mi, że jego ojciec po zabiciu matki w pijackim amoku pobił dzieci. Zanim przybyła policja, ojciec Caruthersa uderzył jego siostrę, Marjorie, w twarz tak silnie, że straciła oko. Młody Caruthers usiłował bronić siostry i – po krótkiej kłótni – został zrzucony ze schodów. Paskudnie złamał rękę, ale lekarze, którzy operowali Marjorie, powiedzieli, że wtedy prawdopodobnie ocalił siostrze życie. Jednak nie przeżyła już następnego uderzenia ojca.

Caruthers przez pół roku odwiedzał swoje ambulatorium z ręką w gipsie. I ten gips był udekorowany różnymi znakami i napisami, jakimi całkowicie pokryli go szkolni koledzy. Miesiąc później, po zdjęciu gipsu, odkryłem, że nie były to zwykłe podpisy czy napisy z dobrymi życzeniami, ale różnego rodzaju wulgarne znaki.

Nastrój Caruthersa uległ gwałtownemu pogorszeniu, gdy miał zeznawać na procesie ojca o morderstwo. Caruthers był kompletnie załamany. Co prawda oferowano mu zwolnienie z zeznawania – jednak odmówił.

– Chciałem zobaczyć tego dupka, jak dostaje to, na co zasłużył – powiedział mi. Wkrótce potem został hospitalizowany na skutek zagrożenia, że może

popęłnić samobójstwo.

Skorygowałem mu leki i potem często ze sobą rozmawialiśmy.

Jednego tylko zawsze żałował:

– Chciałbym być wtedy na tyle silny, żeby móc zabić ojca – oświadczył.

\* \* \*

– Manuel sprawił, że czułem się trochę lepiej – oświadczył Caruthers. –  
Dbał o mnie jak o własnego syna.

Rozmawialiśmy przez godzinę.

– Czy teraz czujesz się już lepiej? – zapytałem. – Nie masz zamiaru zrobić  
sobie krzywdy? – Pytań o samobójstwo nie zadaje się wprost. Wielu ludzi  
uważa, że mogą wzbudzać niebezpieczne emocje albo je ujawniać.

– Czuję się dobrze – odparł Caruthers.

– Gdybyś poczuł się źle – spytałem go – to czy przyrzekasz, że zgłosisz się  
na rozmowę z kimś z zespołu szpitala?

– Przyrzekam – oświadczył Caruthers.

\* \* \*

Na Oddziale C drużyna koszykówki nadal wypełniała harmonogram  
rozgrywek, w których zaczęła uczestniczyć większa liczba pacjentów.  
Odbывały się mecze, a my nigdy nie byliśmy nawet blisko przegranej. Sezon  
rozgrywek najwyraźniej płynął na spokojnych wodach. Boudreaux był  
wspaniały.

Na naszym meczu o wejście do finału większość personelu Oddziału  
C zgromadziła się wzdłuż bocznych linii. I znowu Oddział B był naszym  
przeciwnikiem.

Zbliżył się czas rozpoczęcia gry i Cohen zgromadził swoją złotą drużynę.  
Cohen wziął Morgana na bok i coś z nim uporczywie omawiał. Próbowałem  
sobie wyobrazić, o czym mówił. Halston zagwizdał, wskazując kosz, i rzucił  
piłkę drużynie Oddziału B.

– Zaczynać! – zawołał.

– Czas grać! – rzuciłem.

Gra się zaczęła i toczyła według zaplanowanego przez nas scenariusza. Do przerwy prowadziliśmy do dwunastu, a pod koniec do dwudziestu dwóch. Kiedy została jeszcze minuta, Caruthers rzucił piłkę do Boudreaux, który zaprezentował opatentowane przez siebie zawirowanie niczym helikopter i zamierzył się na leworęczny rzut. Jednak tym razem na drodze stanął mu zawodnik z Oddziału B. Boudreaux odrzucił go na bok. Halston zagwizdał i uniósł rękę. Boudreaux dokończył taniec akrobatyczny i piłka łagodnym łukiem uniosła się w powietrze. Potem odwrócił się triumfalnie.

– Faul! – krzyknął Halston. – Nie ma kosza. Zmiana. Piłka należy do Oddziału B.

Boudreaux na moment zamarł bez ruchu. Dwukrotnie potrząsnął głową i sprężył się, przybierając wojowniczą postawę.

– Co to za kurestwo! – wrzasnął i ruszył na Halstona. Sędzia cofnął się, ale nie miał się gdzie ukryć przed górującym nad nim graczem.

– Wepchnę ci ten gwizdek w to twoje cholerne gardło! – warknął Boudreaux.

Obie boczne linie opustoszały i personel pospieszył chronić Halstona. Policjanci odciągnęli Boudreaux na bok.

– Koniec sezonu – rzekł Xiang.

Zawodnicy skupili się, czekając na eskortę do swoich oddziałów. Boudreaux, pozornie niekontrolowany, podszedł do mnie.

– Przykro mi, trenerze – rzekł. – Przepraszam. Moje zachowanie było całkowicie nieuzasadnione.

– Tak uważasz? – zapytałem.

– Tak, trenerze, naprawdę jest mi przykro – potwierdził Boudreaux. – To się już nie powtórzy.

Zwróciłem się do Cohena i Xianga. We trzech podeszliśmy do Boudreaux, który ciągle powtarzał przeprosiny. Potem przeszliśmy do miejsca, w którym stał Halston.

– Przepraszam pana – rzekł Boudreaux. – To wszystko, to tylko mój błąd.

Miał pan rację.

– Dziękuję – odparł Halston, ciągle sprawiając wrażenie wyprowadzonego z równowagi.

Zaczekałem kilka sekund.

– Pozostał tylko mecz o mistrzostwo – oświadczyłem. – Co o tym myślicie? To zaledwie za dwa tygodnie. Będzie do tego czasu w formie?

Spojrzeli po sobie.

– Może się pan nim zająć i kontrolować go? – zapytał Halston.

– Tak. Jestem pewien, że zrozumie to właściwie – stwierdziłem. – Więcej nie chcę mieć żadnych kłopotów.

– Okej – rzekł po chwili Halston.

Ze wstydem muszę przyznać, że spadł mi kamień z serca.

Złapałem Halstona, gdy wychodził.

– Co pan słyszał o Tillsonie? – zapytałem, mając na myśli jego resuscytację po meczu w softball.

– Nie wrócił – odparł Halston. – Nigdy nic więcej nie usłyszeliśmy.

Zebrałem drużynę i wyszliśmy z sali. Całą drogę na Oddział C Boudreaux i ja – czyli Kobe Bryant z Philem Jacksonem, czyli gwiazda z trenerem – pewni siebie szliśmy ramię w ramię.

Kompletnie straciłem możliwość rokowania na przyszłość, co w sporcie nie jest czymś niezwykłym. Retrospektywnie łatwo było wszystko widzieć. Moja ekipa miała rozegrać jeszcze jeden mecz. Była to gra o wszystko.

Tego wieczoru wyłączyłem komputer, zamknąłem gabinet i wyszedłem z pracy. Minąłem w holu Cohena idącego w przeciwnym kierunku.

– Podjąłeś dzisiaj bardzo trudną decyzję w przypadku Boudreaux – rzekł Cohen. – Życzę ci powodzenia w meczu o mistrzostwo.

– Ja tobie też – odparłem. – Myślę, że Boudreaux nauczył się tej lekcji.

– Mam też taką nadzieję – stwierdził Cohen. – To świetny zawodnik.

Zgodziłem się.

– I coś mi mówi, że nadal będzie taki świetny – ciągnął Cohen, wpatrując się w sufit.



Byłem tak rozkojarzony, że nie zwróciłem uwagi na te słowa. Rozdzieliliśmy się – on udał się do swojego gabinetu, ja do głównego wyjścia.

Kiedy szedłem do auta, z bocznej drogi wolno wynurzył się policyjny samochód. Poczułem znajomy chłodny dreszcz. Tak jak poprzednio auto nie minęło mnie, tylko jechało za mną bliżej albo dalej. Zmierzałem prosto do punktu kontrolnego.

Pod światłami wyjścia z terenu szpitala auto policyjne skręciło. Prowadził je detektyw Levin – był sam. Dotknął palcem daszka czapki i zniknął w mrokach nocy.

Nie zatrzymywałem się, póki nie znalazłem się bezpiecznie w swoim aucie i nie zatrzasnąłem za sobą drzwi. Uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd nie otrzymałem żadnych informacji na temat raportu, jaki złożyłem w sprawie drugiego incydentu z handlem papierosami. Nie usłyszałem też nic na temat ucieczki pacjenta. I nie zgłoszono zaginięcia żadnego pacjenta.

[9] Przekład Stanisława Barańczaka.

[10] Kobe Bryant (ur. 1978) – amerykański koszykarz grający na pozycji rzucającego obrońcy. Zawodnik Los Angeles Lakers. Członek kadry narodowej i olimpijskiej Stanów Zjednoczonych. Dwukrotnie zdobył złoty medal na igrzyskach olimpijskich (w Pekinie i Londynie).

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Szaleństwo nie zawsze wyje. Czasem wydaje tylko cichy głos pod koniec dnia, kiedy pyta: Hej, czy w twojej głowie jest jeszcze miejsce na coś więcej?

DESPAIR, INC.[\[11\]](#)

NASTĘPNEGO PONIEDZIAŁKU Michael Tomlin wrócił na Oddział C, co sprawiło, że odebrałem następną lekcję.

– Posiadam wielkie umiejętności sztuki walki nunczako, czyli posługiwania się w walce dwiema połączonymi pałkami – oznajmił nam, w czasie gdy po obu bokach eskortowało go na oddział dwóch policjantów, gotowych w każdej chwili pomóc, gdyby się zachwiał. Jeszcze nie do końca opanował chodzenie o kulach. Wszyscy go otoczyli, szczerze zachwyceni widokiem powracającego Tomlina. Byłem zdumiony emocjami, jakie wzbudził w nich jego powrót. Pielęgniarki uściskały go i uroniono trochę łez. Zgromadzeni pacjenci nie szczędzili słów pociechy. Dopiero kilka miesięcy później, kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci Tomlina, zdałem sobie sprawę, jak długo był pacjentem na Oddziale C. Przybył tu w wieku dziewiętnastu lat. Umarł, nie ukończywszy trzydziestki. I przez te wszystkie lata przebywał na oddziale, wykazując entuzjazm i wielką energię.

Powrót Tomlina miał duże znaczenie dla Xianga. Darzył go szczególną sympatią i chociaż nigdy nieodwzajemnioną, to jednak niezachwianie stałą. Przez dwa tygodnie, przed przeniesieniem Tomlina do leżącego pięćdziesiąt mil od Gomory zakładu medyczno-psychiatrycznego Meadows, Xiang rzadko

go odstępował.

W dniu wypisania Xiang starannie spakował rzeczy Tomlina do dwóch worków marynarskich.

– Posiadam dużą umiejętność samoobrony – powtarzał ciągle Tomlin, gdy Xiang pracował.

– Tak, posiadasz, Michael – Xiang odpowiadał za każdym razem.

Kiedy Xiang skończył, przed drzwiami pokoju Tomlina zebrał się tłum pacjentów. Wielu z nich uściśnęło dłoń Tomlina i życzyło mu zdrowia. Caruthers objął go i uściskał.

– Wylecz sobie tę nogę – rzekł Hong.

Nikommu nie mówiliśmy o stanie zdrowia Tomlina, ale oni i tak wszystko wiedzieli.

– Niech ci Bóg błogosławi – powtarzano zewsząd.

– Przyjedź do Nowego Orleanu – poradził Bouderaux. – Ja postawię cię tam na nogi. Tam wyzdrowiejesz.

– Słyszę twój przemiły bas – odparł Tomlin.

– Zajmiemy się tobą. Wyleczymy cię. – Boudreaux łagodnie uściskał rękę Tomlina.

Personel kolejno zegnał Tomlina. Cohen, Randy i ja potrząsaliśmy jego rękę. Pielęgniarki uściskały go. Wylano łzy. Jednak bez udziału Tomlina.

– Mam zdumiewające zdolności samoobrony – rzekł i uśmiechnął się szeroko.

Xiang, razem z policją, towarzyszył Tomlinowi, gdy opuszczał oddział. Odprowadziłem go wzrokiem do drzwi. Przez małe okno widziałem, jak Xiang zatrzymał się i odciągnął Tomlina na bok. Uściskał go serdecznie, a potem chwycił jego głowę i pocałował w czoło. Odwrócił się i wrócił na oddział.

Pierwszą lekcją, jakiej się tu nauczyłem, było, że bez względu na to, jaką kto popełnił zbrodnię – Tomlin wysadził w powietrze szkołę, zabijając dzieci – jeśli przebywasz z nim dość długo, wytworzą się między wami związki uczuciowe. Polubiłem Michaela Tomlina i ze smutkiem przyjąłem jego

odejście. Jednak analizując swoje odczucia, stwierdziłem, że budzą głęboki niepokój; mogłem sobie bowiem wyobrazić, jaki żal wywołał czyn Tomlina, jaką tragedią było zabicie tylu dzieci, i mogłem sobie też wyobrazić, jak tragicznie musiało wyglądać ich żegnanie w czasie pogrzebów.

Po wyjeździe Tomlina na Oddziale C zwolniło się już drugie łóżko. Usłyszeliśmy, że pan Wilkins, człowiek pobity przez McCoya, już do nas nie wróci. W Gomorze trzymanie rezerwowego łóżka dla niespodziewanych pacjentów, czy też z innych powodów, gdy któryś z pacjentów opuszczał oddział, przenoszony do zwykłych szpitali, do sądu albo zwalniany do domu, nie było czymś niezwykłym. Personel powszechnie był przekonany, że Wilkins umrze, ale nikt tego nie wiedział na pewno. Jednak następnego dnia pielęgniarka powiedziała, że jej siostra – pracująca w archiwum ratusza hrabstwa – znalazła na swoim biurku świadectwo zgonu Wilkinsa.

Śmierć Wilkinsa spowodowała zmianę w treści oskarżenia skierowanego przeciwko McCoyowi i wydanie nowego pozwu. Omawialiśmy to podczas zebrań, jednak w tak ogólnikowy i okrężny sposób, jak omawia się wszystkie tego rodzaju sprawy w Gomorze. Ponieważ McCoy, który popełnił przestępstwo w minionym wrześniu, a w grudniu następnego został uznany za niepoczytalnego roku, nietrudno było stwierdzić że jeśli teraz oskarży się go o zamordowanie Wilkinsa, to i tak nie będzie zdolny powtórnie stanąć przed sądem.

Ten fakt pozwolił mi przyswoić następną lekcję. Historia z Wilkinsem ostatecznie nauczyła mnie, dlaczego w Gomorze nikt otwarcie nie mówił o przemocy. To była obezwładniająca impotencja. Wszyscy byliśmy świadkami brutalnego napadu McCoya, a jednak nadal musieliśmy z nim żyć, wiedząc, że nigdy nie zostanie za to ukarany. Wiedzieliśmy też, że w przyszłości mogą się wydarzyć następne akty przemocy. I że nikt nie zostanie za nie ukarany. A my ciągle będziemy zmuszeni przebywać razem z tymi ludźmi.

Kołysanie łodzią nigdy nie jest dobre i nawet przynosi skutki odwrotne do zamierzonych. Ludzi z Sacramento nic to wszystko nie obchodziło,

administracja była głucha, a napastnicy uważani byli tylko za pacjentów umysłowo chorych. Mogli równie dobrze napaść na nas. Logicznym wynikiem narzekania na przemoc w Gomorze była jeszcze większa przemoc.

Ostatnią lekcję odebrałem z porannej gazety w dzień po odejściu Tomlina do szpitala. Przed wyjściem do pracy, przewracając strony, trafiłem na dział *Napa Valley Register*. Artykuł nosił nagłówek: „Morderca dzieci na wolności”. I dalej: „Zamachowiec, który wysadził w powietrze szkołę, zwolniony ze Szpitala Stanowego w Napie”. Poniżej zamieszczono zdjęcie Tomlina zrobione jeszcze przed pierwszą rozprawą w sądzie. Miał rozczochrane włosy i z tym groźnym wyrazem twarzy zdawał się wykazywać ochotę rzucenia się na kamerę. Drugie zdjęcie zrobiono z poziomu ziemi do góry i ukazywało wysoki mur okalający Gomorę.

Ingrid dziwiła się, jak mogło dojść do tego zwolnienia. Wyjaśniłem, że chodzi o naszego pacjenta, Michaela Tomlina, którego zwykle nazywaliśmy człowiekiem z NPR. Powiedziałem jej, że Tomlin ma zaawansowany nowotwór kości i zwolnienie go było aktem okazania współczucia – jego rodzina nie chciała, żeby umarł w szpitalu dla umysłowo chorych. Ingrid zgodziła się, że rak to choroba rzeczywiście groźna, ale zarazem wstydliva, i że życzenie rodziny było z pewnością uzasadnione.

– A jednak... – zakończyła – te dzieci...?

Ale nawet wtedy moje lekcje na tym się nie skończyły. W następnym tygodniu dowiedziałem się o wielkiej transakcji dotyczącej produkcji i konsumpcji alkoholu.

Tydzień mijał na szczęście spokojnie. Jednak po naradzie w czwartek Floyd Traylor, na ogół zachowujący się tak spokojnie, że nawet gdy jego nazwisko wymieniano podczas odprawy, większość członków personelu miała trudność przypomnieć sobie coś na jego temat, przemknął niepewnie przed oknem dyżurki pielęgniarek, a potem zatoczył się, jakby nagle dotknął go atak paraliżu.

Wybiegliśmy do holu. Zanim ktoś z nas zdążył dobiec do niego, Traylor odegrał pantomimę kogoś ćwiczącego głębokie wdechy.

– *Smells like teen spirit!* – zaśpiewał niczym członek grupy Nirwana, a następnie przerwał, zaczął się skręcać w konwulsjach chichotów i padł na ziemię.

Palanqui aktywowała swój alarm. Zebrał się personel. Ja tymczasem padłem na kolana i kciukiem uniosłem powieki Traylora. Źrenice były normalne, wykluczając w tym momencie poważny uraz głowy. Zmacałem szyję, szukając pulsu. Wydawał się też normalny.

Palanqui przyniosła mankiet do mierzenia ciśnienia krwi, zręcznie założyła go na rękę leżącego i zaczęła mierzyć, pompując gumową gruszkę. Mankiet spęczniał, gruszka świstała. Potem Palanqui słuchała, przyciskając dzwon stetoskopu w zgięciu ręki.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi oddziału i na płytkach posadzki holu zadudniły buty.

– To problem medyczny! – krzyknęła Monabong i ludzie, którzy przybiegli z Oddziału B, utworzyli ludzką tarczę wokół Traylora, pielęgniarek i mnie.

– Podwyższone ciśnienie krwi, ponad osiemdziesiąt pięć – oznajmiła Palanqui.

Monabong chwyciła przegub ręki Traylora.

– Puls osiemdziesiąt siedem. Stabilny. Uruchamiamy kod błękitny?

– Zaczekaj – odparła Palanqui, gdy powietrze z sykiem uchodziło z mankietu. Pochyliła się i zbliżyła twarz do twarzy Traylora. Kiwnęła na Monabong, która zrobiła to samo. Potem obie wyprostowały się siedząc na kolanach.

– On jest pijany – oznajmiła Palanqui. Znowu się pochyliła i powąchała jego oddech. Cuchnął alkoholem.

Przytknąłem dzwon stetoskopu do piersi leżącego i słuchałem. Serce pracowało prawidłowo, oddech brzmiał poprawnie.

– Położymy go w separacie, niech się prześpi – poleciłem. – Pani Palanqui zostanie przy nim. Proszę dać mi znać, jeżeli coś się zmieni.

Wyłączono alarm. Personel ostrożnie postawił Traylora na nogi i powlókł go do pokoju.

– Zawiadomić policję szpitala – rozkazał Xiang. Następnie poszedł do dyżurki pielęgniarek, gdzie włączył mikrofon sieci głośników.

– Będzie, panowie, rewizja, rewizja! – oznajmił, a następnie przekręcił kluczem włącznik w ścianie, uruchamiając elektroniczny pulsujący pisk, odbijający się echemi wzdłuż korytarzy. Palanqui wezwała na pomoc wsparcie.

Pacjenci stali w korytarzach jak skamieniali; potem zaczęło się znajome fandango. Personel wylał się z dyżurki pielęgniarek i wezwał ludzi do powrotu do swoich pokojów. Kolejno, wraz z zapełnianiem się pomieszczeń, Xiang zamykał na klucz drzwi. Następnie zebraliśmy się przed drzwiami dyżurki pielęgniarek. Palanqui wyłączyła alarm.

Otworzyło się wejście i na oddział wpadła gromada policjantów w hełmach, z owczarkami niemieckimi na smyczy. Xiang kiwnął na nich.

– Co tu znowu macie? – zapytał Bangban.

– Pan Traylor jest pijany – odparł Xiang. – Chodzi tu albo o więzienny samogon, albo o jakiś inny alkohol.

– Rozdzielić się! – krzyknął Bangban i policjanci podzielili się na drużyny.

Otwierali drzwi, przeszukiwali pacjentów, przewracali łóżka, wypróżniali szuflady i przetrząsali bieliznę. Potem rewidowali łazienki i szafy. Plastikowe torby wypełniały się pigułkami, papierosami i różnego rodzaju prymitywnymi nożykami własnej roboty.

Po godzinie wszystkie pokoje, z wyjątkiem jednego, zostały przeszukane i zabezpieczone, a pacjenci zgromadzeni w dziennym holu. Xiang otworzył drzwi ostatniego pokoju, ciągle jeszcze należącego do McCoya. Policjanci wkroczyli do środka z psami nastrojonymi wojowniczo. Personel – razem ze mną – trzymał się z tyłu.

McCoy przyjął gości z szczególnym wdziękiem:

– Hej wy, cholerne dupki, macie nakaz? – wysyczał. – To moja własność. Moje miejsce. – Stał na środku pokoju z założonymi na piersi rękoma.

Policjanci uformowali czwórkę. Psy stały spięte. Bangban wyciągnął pałkę.

– Odsuń się, McCoy – rozkazał.

Policjanci postąpili krok do przodu.

McCoy nie drgnął. Policjanci zbliżyli się jeszcze bardziej.

– Pieprzcie się! – McCoy w końcu się odsunął.

Gdy przetrząsano pokój, policjanci pilnowali McCoya, natomiast ja, nie chcąc rzucać się w oczy, trzymałem się z boku, przed wejściem do pokoju.

Policjanci wykonywali swoje czynności z rutynową precyzją – łóżko McCoya zostało rozebrane, materac przeszukany, szuflady wywrócone. W pobliżu stosu bielizny do prania leżącej na podłodze szafy ściennej jeden z psów warknął, a potem oba psy zaczęły szczekać i drapać łapami podłogę.

Dwóch policjantów odciągnęło na bok psy i podszedł Bangban. Założył lateksowe rękawiczki, pochylił się nad stosem rzeczy do prania i zaczął wyławiać z niego jeden przedmiot po drugim. Wpierw ukazał się metalowy fragment. Bangban pracował coraz szybciej, aż na koniec odsłonił cały aparat z metalu i szkła. Pochylił się niżej i wydobył na zewnątrz swoją zdobycz.

– No, mamy to – oznajmił z satysfakcją

Zbliżył się Xiang, dotknął końca miedzianej rurki i powąchał palec.

– Całkiem niezły towar – stwierdził. – Pędzony na prawdziwych drożdżach.

– Szpital nigdy do niczego nie używał drożdży – zauważyła Palanqui. – Jednak drożdże znajdują się na szczycie listy kontrabandy.

– Zawsze docierają tu z zewnątrz – rzekł Xiang.

Przypomniałem sobie z dreszczem niepokoju, jak Carstairs była eskortowana przez McCoya przez korytarz. Mogłem sobie wyobrazić, że była to nagroda za taką usługę.

– Idziemy – warknął Bangban, chwycił za rękę McCoya i pchnął do drzwi.

McCoy wyrwał rękę i wyszedł samodzielnie. Idąc, odwrócił się, dotknął dwoma palcami ust i posłał mi całusa.

Oba przeszukujące zespoły zgromadziły się w dyżurce pielęgniarek. Policjanci skatalogowali każdy przedmiot zarekwirowany w czasie rewizji. Zrobili też mnóstwo zdjęć pomysłowo skonstruowanych aparatów z rozbitych



szklanek zdobytych w stołówce i metalowych rurek z łazienek. Z patelni pacjenci wykonali zasłony w oknach wychodzących na dziedziniec.

Policjanci zapakowali zdobycz, sprawdzili ekwipunek i wyszli.

– Gdzie jest Carstairs? – spytałem.

– Ma zwolnienie na dwa tygodnie – odparł Xiang.

Traylor trzeźwiał, jednak leżał na łóżku przez dwa dni, popijając tylko wodę i zażywając aspirynę. McCoy pozostawał w swoim pokoju do czasu, aż sprawa przycichła. Potem zaczął się przechadzać korytarzami i przewodził swoim dworem w stołówce, jakby nic się nie wydarzyło. W stołówce przyłączył się też do Boudreaux i Mathewsa. „Święta Trójca Kłopotów” – tak nazwał ich Cohen, gdy jako pierwsi dostrzegliśmy ten układ przy stole.

Z alkoholem nie było więcej problemów. W piątek rozmawiano już tylko o koszykówce.

– Życzę wam obu dużo szczęścia w dzisiejszym meczu – rzekła Palanqui, zwracając się do Cohena i mnie po naradzie.

– Z Kobe Bryantem nie jest ci potrzebne szczęście – stwierdził Cohen.

– Wszyscy tam będziemy – dodała Monabong. – I ludzie z Oddziału B także.

– Dobra – rzucił Cohen. – Zatem załatwimy was na oczach zebranego tłumu.

Za kwadrans czternasta wbiegłem ze swoją drużyną do sali gimnastycznej. Wzdłuż obu linii bocznych zdążyli się już zgromadzić widzowie.

Rozpoczął się zwykły program wstępny przed meczem. Cohen poprowadził Oddział B w zdyscyplinowany, doskonale wyszkolony sposób, podczas gdy moja grupa wbiegła swobodnie, rzuciła kilka strzałów na kosz, a potem stała z boku, gdy Boudreaux prezentował swoje podskoki i podstępne obroty. Wtedy nawet zawodnicy Oddziału B zatrzymywali się, żeby go obserwować. Trofeum będzie nasze.

Halston dmuchnął w gwizdek, wskazał drużynom odpowiednie kosze i wręczył piłkę zawodnikowi z drużyny Oddziału B.

– Piłka w grze – rzekł.

– Czas gry! – krzyknąłem i ruszyliśmy.

Gra toczyła się tak, jak sobie wyobrażałem. Każdy rzut był dobry. Tylko sporadycznie piłka trafiała w spód siatki kosza. Oddział B częściej od nas tracił piłkę. Nogi się plątały. Ale za każdym razem Boudreaux przejmował piłkę. Wykonał trzy rzuty z długich podskoków, odbił cztery nietrafione rzuty kolegów z drużyny i z łatwością przechwycił piłkę, a potem wrzucił ją do kosza. Tuż przed przerwą prowadziliśmy szesnaście do czterech.

Kiedy drużyna Oddziału B zepsuła rzut do kosza, Caruthers przedryblował piłkę od ich kosza do naszego i podał ją Carverowi, który z kolei rzucił do Boudreaux przy linii rzutów wolnych. Boudreaux, jak wszyscy doświadczeni gracze, przytrzymał ją za biodrem, pochylił się ku obrońcy, udał, że chce dryblować po tej stronie, a następnie skoczył do kosza z drugiej strony. Ku zachwytowi tłumu znowu wykonał ten swój charakterystyczny podstępny obrót. Obserwowali to wszyscy zawodnicy, z wyjątkiem jednego; Mike Morgan z Oddziału B widział, w jakim kierunku zmierza Boudreaux, i tam się z nim spotkał. Gdy Boudreaux wykonywał swój obrót, Morgan wyciągnął rękę i odtrącił piłkę, która poleciała w bok, w kierunku części boiska należącej do Oddziału B.

Boudreaux opadł na parkiet i patrzył za toczącą się piłką, następnie przeniósł wzrok na Morgana. Podniósł głowę, naprężył mięśnie i z całej siły wyrznął pięścią w usta Morgana. Trysnęła krew.

– Raymond! – krzyknąłem. Na boisko wbiegł personel z policjantami. Xiang uruchomił alarm i na zewnątrz sali zaryczały syreny. Cohen i policjanci pierwsi dopadli Boudreaux i rzucili go na kolana, aby zapobiec dalszym szkodom. Dołączyły pielęgniarki. Otworzyły się drzwi do sali gimnastycznej – przybyły posiłki.

Dwunastu policjantów przebiło się przez tłum, wily się ręce, nogi się plątały, ale w końcu Boudreaux przyduszono do parkietu. Czterech policjantów leżało na nim, a dwóch wiązało mu ręce na plecach.

Pielęgniarka przyłożyła ręcznik do ust Morgana i drużyna Oddziału B pomogła mu wyjść. Przy mnie stał Cohen. Miał pomiętą koszulę

i czerwoną twarz. Policjanci postawili Boudreaux na nogi i powlekli do wyjścia.

Stałem oszołomiony. Nawet nie usunąłem się na bok.

– Ty pieprzony krwiopijco! – wrzasnął Boudreaux, mijając mnie razem z policjantami. Patrzył na mnie dzikimi, przekrwionymi z wściekłości oczami. Przekręcił głowę i splunął mi na koszulę. – Powinienem cię zabić, ty krwiopijco, gdy miałem okazję – syknął.

– Czy pan nie przyrzekł go kontrolować? – zapytał Halston, najwyraźniej ciągle zdenerwowany.

Nie odpowiedziałem.

„Jak mogłem być taki tępym?”, zastanawiałem się, gdy ewakuowano salę gimnastyczną. Ktoś mógł zostać zabity. I za co? Za to, że udawałem Phila Jacksona? Phil Jackson? To był wewnętrzshpitalny mecz koszykówki między dwiema drużynami psychotycznych skazańców w stanowym szpitalu dla umyślowo chorych. „Co sobie myślałeś? Że co się stanie, ty debilu?”, powiedziałem do siebie głośno.

– Jak idą rozgrywki o mistrzostwo w koszykówce? – John zapytał przy kolacji.

– Byliśmy górą – odparłem. – Ale jeden z moich zawodników złamał przepisy. Nic ważnego. Jednak przerwano zawody.

– Szkoda – stwierdziła Ingrid. – Wiem, ile to dla ciebie znaczyło.

– Nie tak znowu wiele... – odparłem.

– Dziś w nocy gadałeś przez sen o koszykówce – upierała się Ingrid.

– Byłem trochę rozczarowany – oznajmiłem.

[11] Firma Despair produkuje plakaty, pamiątki i kalendarze kpiące ze stosowanej przez duże korporacje motywacji indoktrynującej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Posunąłem się za daleko, to pewne.

JEFFREY DAHMER, KTÓRY W LATACH 1978–1991 ZGWAŁCIŁ, ZAMORDOWAŁ I POĆWIARTOWAŁ 17 MEŹCZYŹN I CHŁOPCÓW. 28 LISTOPADA ZOSTAŁ POBITY NA ŚMIERĆ PRZEZ WSPÓŁWIEŹNIÓW ZAKŁADU POPRAWCZEGO COLUMBIA CORRECTIONAL INSTITUTION W PORTAGE W WISCONSIN.

W PONIEDZIAŁEK POLICJANCI weszli z personelem do pokoju Boudreaux. Winny gwałtownego napadu spędził większość weekendu w izolatce. Ale jak to zwykle u niego, szybko się otrząsnął i rano leżał na łóżku, czytając. Gdy tylko nas zobaczył, odłożył książkę i wtedy mogłem odczytać napis na okładce: Salinger, *Buszujący w zbożu*.

– Panie Boudreaux... – zaczął Xiang, ale ten mu przerwał:

– Z zadowoleniem witam pana – rzekł i wstał. Jego zwykle przeciągane słowa zmieniły się w szept. – Czuję się strasznie z powodu tego, co zrobiłem. Powiedziano mi, że postąpiłem jak skończony idiota. Proszę przekazać mój najgłębszy żal temu biedakowi, którego uderzyłem. Proszę też o łaskawe wybaczenie doktora Seagera za moje obraźliwe słowa pod jego adresem. Jest mi naprawdę przykro.

– W porządku – skwitowałem. – Właśnie przybyliśmy upewnić się, czy nie planujesz jeszcze kogoś skrzywdzić.

– Och, na Boga, nie – odparł Boudreaux i wydawał się szczerze speszony. – Nie mam pojęcia, co mnie napadło. Rozumiem jednak, że jestem

odpowiedzialny za to, co zrobiłem. Panowie policjanci, jeżeli przyszlście aresztować mnie, jestem gotów przyjąć każde oczekujące mnie oskarżenie.

Bangban sprawiał wrażenie zakłopotanego..

– Nie będzie żadnego oskarżenia – oświadczył.

– Doceniamy pańskie przeprosiny, panie Boudreaux – rzekł Xiang. – Jestem pewien, że przyjmie je doktor Seager.

Ze swej strony dodałem:

– Masz jednak zupełną rację – jesteś odpowiedzialny za swoje zachowanie. Masz zakaz opuszczania przez miesiąc Oddziału C, dotyczy to wszystkich zajęć oraz biblioteki.

Boudreaux chwycił *Buszującego w zbożu* i spojrział na Xianga.

– Przez ten miesiąc nauczę się tego na pamięć – rzekł. – Holden Caulfield, Phoebe i cała ta paczka z Pencey Prep zostaną moimi dobrymi przyjaciółmi.

\* \* \*

W połowie tygodnia, opuszczając oddział, rozejrzałem się i zobaczyłem Cohena opartego o framugę drzwi do pokoju Caruthersa. Caruthers stał w środku tuż przy drzwiach. Obaj, zatopieni w rozmowie, nagle się roześmiali. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ze sobą rozmawiali.

Tego samego dnia, później, zatrzymałem się przy drzwiach pokoju Caruthersa. Personel otrzymał maila w sprawie przybycia na oddział trzech nowych pacjentów. Jeden z nich miał trafić do pokoju Caruthersa, zastępując Ortegę. Chciałem go o tym powiadomić.

– Dostaniesz kogoś do pokoju – rzekłem. Staliśmy w drzwiach, tak jak przedtem stał z Cohenem.

Caruthers przez chwilę milczał.

– Spodziewałem się – rzekł. – Wiadomo kogo?

– Znam tylko nazwiska – odparłem. – Powie ci to pani Henry.

– To może być trudne – stwierdził Caruthers.

– Wiem, że może być.

Staliśmy dłuższą chwilę w milczeniu.

– Widziałem, jak dziś rano rozmawiałeś z doktorem Cohenem – w końcu przerwałem milczenie.

Caruthers rozpogodził się.

– On ocalił mi życie.

– On... co?

– Ocalił mi życie – powtórzył. – Nie mówił panu?

– O czym?

Caruthers wciągnął mnie do środka. Usiadłem na drewnianym krześle, on przysiadł na skraju łóżka.

– Pamięta pan, kiedy umarł Manuel? – zapytał Caruthers.

– Pamiętam. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję – rzekł Caruthers. – Manuel był dla mnie całym światem. Byłem naprawdę załamany, gdy odszedł. Miał pan rację, obawiając się o mnie – ciągnął. – Okłamałem pana.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Prosił pan, żebym powiedział, gdy najdą mnie myśli samobójcze.

– Tak, pamiętam.

– Powiedziałem wtedy, żeby się pan nie bał o to. Ale to było kłamstwo.

– Co?!

– Mimo to zrobiłem to, o co mnie pan prosił – mówił dalej Caruthers. – Powiedział pan, że jeśli poczuję się źle, mam powiedzieć o tym personelowi.

– To prawda. Masz rację.

– Ze wstydem przyznaję – wyznał Caruthers – że miałem brzytwę. Z moim umysłem było coś nie tak. Naprawdę zaciąłem się. – Odwrócił rękę i pokazał bliznę po nacięciu na przegubie. – Potem przypomniałem sobie pańskie słowa i udałem się do dyżurki pielęgniarek. Wtedy korytarzem przechodził doktor Cohen. Zobaczył, że jestem zdenerwowany, i zapytał, czy chcę z nim porozmawiać. Weszliśmy do izolatki – kontynuował Caruthers – i niech mnie szlag, jeśli nie przesiedział tam ze mną większości nocy. Zaglądały pielęgniarki, ale Cohen mówił im tylko: „Wszystko w porządku”. Nie wiem, o której odszedł, ale było już bardzo późno. I czułem się dużo lepiej. –

Caruthers przerwał, oddychając z ulgą. – Nie mówił panu o tym?

– Nigdy o niczym nawet nie wspomniał – odparłem.

– Doktor Cohen jest najlepszy – stwierdził na koniec Caruthers.

\* \* \*

W czwartek Kate Henry spóźniła się na przegląd.

– Przepraszam – rzekła, złożyła na stole plik dokumentów i usiadła.

– Nowi pacjenci? – zapytał Cohen.

– Będą tu w poniedziałek – wyjaśniła Kate Henry. – Przejrzemy ich na końcu.

Przegląd minął szybko, byliśmy bardzo niecierpliwi, chcieliśmy się jak najszybciej czegoś dowiedzieć o nowo przyjętych pacjentach. Wreszcie wszystkie oczy zwróciły się na Kate Henry, która chwyciła i otworzyła pierwszą teczkę.

– Richard Van Zandt – rzekła i weterani jęknęli.

– Van Zandt jest powtórnie przyjęty – wyjaśniła Kate Henry. – Był u nas cztery albo pięć lat temu. Mieliśmy z nim trochę kłopotów.

– Co go do nas sprowadza? – zainteresowała się Palanqui.

– Ciągle to samo – odparła Kate Henry. – Lubieżne czyny na dzieciach.

– Jakie mieliście z nim kłopoty? – zapytał Cohen.

– Brudził... – zaczął Xiang.

– Mógłby pana zagazować – dodała Palanqui.

– Nie mam ochoty sprawdzać – wtrąciłem.

– Rozlewał wokół siebie urynę i rozrzucał kał – wyjaśnił Xiang. – Była to taka jego forma tworzenia parasola ochronnego, aby trzymać ludzi z daleka.

– Bez żartów – rzekł Cohen.

– Zajmie miejsce Wilkinsa – stwierdził Xiang. – Razem ze Smithem.

Kate Henry otworzyła drugą teczkę.

– Hamilton Murbank – odczytała następne nazwisko. – On jest starszy, ma sześćdziesiąt dwa lata. Biały. Bezdomny. Dostałam wiadomość z więzienia. Mówili, że to naprawdę wybuchowy facet. Więc musimy być

gotowi.

– Musimy też uprzedzić pogotowie medyczne – stwierdziłem. – Na wszelki wypadek.

– Ulokujemy go z Caruthersem – rzekł Xiang. – Dobrze sobie radził z Ortegą.

– I na koniec, DeJuan Newman – rzekła Kate Henry. – Trzydzieści siedem. Afroamerykanin. Transfer ze stanowego zakładu z Los Angeles. Napadł tam na kogoś w szpitalu psychiatrycznym.

– Połowa tutejszych facetów napadła na kogoś – stwierdził Cohen. – Dlaczego więc naszych chłopców gdzieś nie przeniesiono?

– Ale on napadł na kogoś ważnego – wtrąciła Kate Henry.

Miałem złe przeczucia.

– Z jakiej części Los Angeles pochodzi? – zapytałem i Kate Henry przekartkowała raport w sprawie Newmana.

– Willowbrook – odparła.

– To niedobrze – stwierdziłem. – W Willowbrook znajduje się szpital im. Martina Luthera Kinga, w sąsiedztwie Watts. Do tego szpitala armia wysyła chirurgów urazowych, aby zaznajomili się z ranami postrzałowymi. Wiem, bo też tam rezydowałem. Willowbrook to główne miejsce działania gangów. Stamtąd pochodzi też Caruthers. Panują tam nieprzyjazne relacje międzyludzkie. Gdy przybędzie Newman, musimy mieć tu policję.

Kate Henry skończyła i odsunęła na bok stos raportów.

– A teraz pozwólcie, że przejdę do innego miłego tematu. Wszyscy wiemy, że stanowy budżet od wielu lat przeżywa kryzys. Aż do dziś jakoś udawało się nam uniknąć większych cięć.

– Aż do dziś...? – zdziwił się Cohen.

– Doktor Francis została oficjalnie powiadomiona – ciągnęła Kate Henry – że budżet wszystkich stanowych szpitali zostaje zmniejszony. Nie wiemy, jak bardzo. Ale znajdziemy się w obliczu redukcji.

– Czy przez „redukcję” – zapytała Larsen – rozumiesz zwolnienia?

– Tak, przez redukcję rozumiem zwolnienia – potwierdziła Kate Henry. –



Skupią się głównie na stażu pracy, więc nie mamy się czego obawiać.

– Z wyjątkiem mnie – wtrąciłem.

– I mnie – dodał Cohen.

– Ja pracuję tu dwadzieścia pięć lat – uzupełniła Kate Henry. – Oni nigdy nie zwalniają lekarzy.

– Przekonamy się – rzekł Xiang.

– Pierwsza porcja listów winna nadeść wkrótce – oznajmiła Kate Henry. – Wtedy będziemy wiedzieli więcej.

Następnego dnia rano otworzyłem drzwi mojego gabinetu i zobaczyłem na biurku kopertę. Nie miała znaczka pocztowego. Wyjąłem z niej pismo. Było to oficjalne pismo z nagłówkiem „Stan Kalifornia” i brzmiało: „Z powodu trudności budżetowych Pańskie obecne zatrudnienie w Napa State Hospital jest dużym obciążeniem. Od 1 czerwca Pańskie usługi nie będą już potrzebne”. U spodu pisma widniał stempel i podpis gubernatora.

Zostawiłem list na biurku i podszedłem do okna. Wyjrzałem na zaniebany ogródek. „Wiem, jak się pan czuje, panie Ogródek”, pomyślałem i uśmiechnąłem się do siebie. Powody, dla których chciałem opuścić Gomore, stały się teraz już nieważne. Teraz Ingrid i John będą zadowoleni, a jednak... W tym tkwiło coś jeszcze. Kto chce, żeby mnie zwolniono? Lekarzy się nie zwalnia, na litość boską! Potem pomyślałem: dość już uników, panie McCoy. Albo interesów z Cervantesem i głupich zauszników do okularów. Czy też obserwowania, jak moje pielęgniarki są bite. Wtedy od strony muru ogrodowego wyłonił się wspaniały błękitno-zielonkawy paw. Promienie słońca iskrzyły się w jego pięknym wachlarzu ogona. Uniósł głowę i wydał głośny, gardłowy okrzyk, odwrócił się i wydalil przede mną na ziemię kulki odchodów. Roześmiałem się głośno.

Z listem w ręce zapukałem do drzwi gabinetu Cohena.

– Ty też dostałeś list? – zapytałem.

– List? Jaki list?

Wręczyłem mu papier.

– Zostałem zwolniony – oznajmiłem.

Cohen wziął list i przeczytał.

– Jezu, jak mi przykro – rzekł. – Co takiego zrobiłeś?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparłem.

W drodze do domu jeszcze raz przeczytałem list i moje emocje otrzymały ostateczną nazwę – złość!

– Zostałem zwolniony – zakomunikowałem.

– Co?! – wykrzyknęła Ingrid.

Czytaliśmy o problemach finansowych w służbie zdrowia, ale wiedza o możliwości zwolnienia to co innego niż otrzymanie tego zwolnienia.

– Dziś rano otrzymałem list – powiedziałem. – Napisali w nim, że moje usługi „nie będą już potrzebne”. Nie będą potrzebne? Na litość boską, nawet nie użyli słowa „zwolnienie z pracy”. Uważają, że moja usługi w Napa State nie są już od pierwszego czerwca potrzebne. A cóż to za „usługi” w szpitalu? Co to za pieprzenie?

– Ja też jestem wściekła – oświadczyła Ingrid. – To haniebne, potraktowali cię podle. Jesteś lekarzem. Co ma znaczyć ten list?

– Czy to znaczy, że nie będziesz już pracował w Gomorze? – zapytał John.

– Tak, to właśnie znaczy.

– Fajnie – skwitował John.

– To nie rozwiązuje problemu – dodała Ingrid, wycofując się trochę z dotychczasowego popierania mnie. – Wiesz przecież, jak bardzo przerażała nas Gomora. I myślę, że bardziej cię przerażała, aniżeli dawałeś po sobie poznać.

– Nie byłem przerażony – odpowiedziałem, ale natychmiast uświadomiłem sobie, że kłamię. – To znaczy, oczywiście, czasem byłem przerażony, ale nie stale. I to zwolnienie nie rozwiązuje problemów, przeciwnie, tworzy je.

– Wracam do pytania Johna – rzekła Ingrid. – Czy to skutkuje odejściem z Gomory?

– Czy nie wyjdzie ci to na dobre, tato? – dodał John.

Wróciłem myślami do mojego pierwszego dnia w pracy, do żmudnej wędrówki przez punkt kontrolny, do upuszczenia kluczy, do alarmu i grozy,

jaką przeżyłem podczas ataku McCoya. Pomyślałem o doktorze Tomie, o Cohenie, Xiangu i Hancock; o Caruthersie i koszykówce, a także o wielu innych rzeczach. Ale ciągle nie mogłem uzyskać na to pytanie odpowiedzi.

Tej nocy, przed położeniem się do łóżka, Ingrid przyłapała mnie, jak wyglądałem przez okno sypialni i patrzyłem na światła miasta.

– Dlaczego tak trudno porzucić ci to miejsce? – zapytała.

Więcej nie rozmawialiśmy o moim zwolnieniu. Rodzina wiedziała, że potrzebuję czasu. Rozpatrzyłem pewne opcje w sobotę, w czasie gdy pracowałem z Ingrid w naszym nowym ogródku warzywnym.

– Sądzę, że będę mógł znaleźć jakieś *locum tenens* – stwierdziłem, przewracając łopatą skibę ziemi.

– Dobry pomysł – odparła Ingrid i podniosła wzrok znad sadzonki pomidora.

*Locum tenens* to dobrze znana opcja zatrudnienia dla lekarzy. Lekarz podpisuje umowę na tymczasowe zajęcia obejmujące placówki całego kraju – zwykle w roli zastępującego lekarza przebywającego na przedłużającym się urlopie albo wypełnienia niespodziewanie utworzonego wakat. Umowa może być zawarta na kilka tygodni albo miesięcy. W ramach *locum tenens* istnieje wiele miejsc dla takich lekarzy jak psychiatrzy.

– Jednak tu, gdzieś w okolicy, musi być jakaś stała praca – zauważyła Ingrid.

– Będę się rozglądał – przyrzekłem.

Sentymenty na bok. Zostałem zwolniony z pracy i trzeba coś zrobić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wy wszyscy próbujecie sobie wyobrazić, co złego dzieje się w mojej głowie. Pieprzeni idioci. Nigdy nie próbujecie przeniknąć... Wy nigdy się nie dostaniecie do mojego zamku. Nigdy nie przekroczycie jego bram.

BRENT RUNYON, „THE BURN JOURNALS”. RUNYON, PRZEDWCZEŚNIE DOJRZAŁY MŁODY AUTOR I WSPÓŁPRACOWNIK „THE AMERICAN LIFE”, PODPALIŁ SIĘ W WIEKU CZTERNASTU LAT.

– SŁYSZAŁ PAN, CO POWIEDZIAŁA Kate Henry – oni nie zwalniają lekarzy – rzekła Palanqui podczas poniedziałkowego przeglądu. – Przede wszystkim, już dość trudno było was tu, chłopcy, ściągnąć.

– Ja już otrzymałem list – zakomunikowałem. – Sprawa została załatwiona.

– Pan pracuje dla stanu Kalifornia – rzekła Monabong. – Nic jeszcze nie zostało załatwione. Oni mają metodę wysyłania listów do większej liczby osób niż rzeczywiście zwolnią.

– Cóż to za idiotyczna metoda prowadzenia tego biznesu – oburzyłem się.

– To Kalifornia – dodał Cohen. – Wybraliśmy Terminatora na gubernatora. Wszystko jest możliwe.

– Oni nigdy nie zwalniali lekarzy – powtórzyła Palanqui. – Coś się musiało wydarzyć.

Pozostali członkowie personelu wyrazili podobną opinię i przeszliśmy do następnych tematów. Xiang szybko przebrnął przez swój czarny skoroszyt

i oddał głos Kate Henry:

– Za minutę przybędzie tu policja szpitala – oznajmiła Kate Henry. – Będzie eskortować pana Newmana. Doktor Francis odłożyła pozostałe przyjęcia do wtorku i środy.

Idąc do holu, usłyszeliśmy dźwięk kluczy w głównych drzwiach. W eskorcie dwóch policjantów pewnym krokiem dumnie wkroczył wysoki, trzydziestosiemioletni, czarny mężczyzna. Na jego czole biegła sześciocalowa blizna – od prawej brwi do policzka. Stracił prawe oko.

Nie mieliśmy okazji spotkać się z nim bezpośrednio. Gdy Bangban zdjął mu z rąk kajdanki, przed dyżurką pielęgniarek pojawił się Caruthers, patrząc wzdłuż korytarza w kierunku holu.

– O, ja pierdołę! – wrzasnął Caruthers i biegiem zaczął uciekać. Za nim pędził Newman. Policjanci i ja pobiegliśmy w ślad za tą oszalałą parą.

Caruthers wśliznął się do jednej z pustych izolatek, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Newman rzucił się wściekle na drzwi.

– Ty sukinsynu! – krzyczał i walił pięściami w małe okienko. – Zatłukę cię jak psa!

Xiang włączył osobisty alarm biodrowy. Zaryczały syreny.

\* \* \*

Wyczerpany i spocony, oparłem się razem z Cohenem o ścianę korytarza naprzeciwko izolatki z Newmanem. W środku miotał się nowo przyjęty pacjent, tak wściekle reagując na odosobnienie, że metalowa rama łóżka tańczyła na podłodze. Brzmiało to, jakby kasę pancerną toczono w dół po betonowych stopniach. Nad tym hałasem górował nieustający wrzask Newmana.

– Zabiję cię, Caruthers! Ty pierdolony sukinsynu!

Palanqui weszła z Xiangiem do izolatki z gotową do akcji strzykawką. Po ich wyjściu na korytarz hałasy i krzyki zaczęły powoli słabnąć.

– Idę sprawdzić, co z Caruthersem – rzekłem do Cohena. – Zostań tu z Newmanem.

Minąłem czworo drzwi i wszedłem do izolatki. Caruthers był przerażony.

– Nie mogę tu być razem z nim – jęknął z rozpaczą. Na czole widać było krople potu. – To niemożliwe. Wpierw sam się zabiję.

– Będę interweniował – przyrzekłem. – Zobaczę, co się da zrobić. Będę w dyżurce pielęgniarek. Zostań tu i zamknij drzwi na klucz.

Zadzwoiłem do doktor Francis i wyjaśniłem, na czym polega problem.

– Zabierzemy stamtąd Newmana – odparła. – Zorientuję się, na kogo możemy go wymienić w Oddziale B.

Poinformowałem personel o spodziewanym transferze, a potem wróciłem do holu. W tym czasie Newman się uspokoił, a Caruthers zdążył się opanować. Wszedłem do izolatki.

– Newman nie może tu być – upierał się Caruthers i znowu zaczął się denerwować.

– Odejdzie – zapewniłem go. – Na Oddział B.

Caruthers westchnął.

– A co z korytarzami? Ze stołówką? On może mnie wszędzie dopaść.

To było *déjà vu*. Znowu byliśmy w Los Angeles, gdzie walczyły ze sobą uliczne gangi. I teraz byliśmy świadkami przerzutów, nawet do Gomory.

– Powiedz mi, o co właściwie chodzi, Tom – rzekłem.

– Przecież znasz mnie z dawnych czasów – odparł Caruthers. – Przez jakiś czas nie brałem leków i wysoko latałem. Razem z bratem Newmana, Emosem, zostałem wciągnięty w handel narkotykami albo kobietami czy czymś takim, dziś już dokładnie nie pamiętam. Jednak on coś powiedział, potem ja coś powiedziałem i skończyliśmy przed frontem jakiegoś opuszczonego domu towarowego. Weszliśmy do środka, ale z nas obu wyszedł tylko jeden...

Zapomniałem już, jak bardzo się Caruthers zmienił. Ciągle jednak pamiętałem, że zabił dwóch ludzi.

– Newman, to zła wiadomość – ciągnął. – Był w więzieniu, gdy się dowiedział o Enosie. Potem wyszedł, gdy ja dawno już zniknąłem z horyzontu. Jednak on nigdy nie zapomniał. Z pewnością mnie dopadnie

i zadźga!

– Zaopiekujemy się tobą – zapewniłem, i choć nie byłem tego taki pewny, jednak wierzyłem w to.

Usłyszałem, jak policjanci eskortują Newmana po schodach na piętro. Wróciłem z Caruthersem do jego pokoju, do mojej listy potencjalnych problemów na Oddziale C dopisując: „Ataki gangu”.

Tego dnia po południu zebrałem na biurku karty pacjentów, poszedłem na oddział i skierowałem się do dyżurki pielęgniarek. Wszedłem do środka i wsunąłem karty do odpowiednich przegródek w półce zawieszanej na ścianie.

– Czas na stołówkę, panowie – oznajmił Xiang przez mikrofon. – Napoje gazowane i słodyczne.

Każdy oddział w Gomorze posiadał w osobnym pomieszczeniu automaty sprzedające napoje i słodyczne. Pacjenci dwa razy dziennie mogli korzystać z automatów i wydawać tam miesięczny zasiłek wypłacany im przez władze stanu. Był to jedyna pora, gdy miało się gwarancję, że w ciągu dnia pacjenci będą poza swoimi pokojami. Nad porządkiem czuwała Larsen. To ona otwierała drzwi do tego pomieszczenia.

W korytarzu, po naszej lewej stronie, panował zgiełk tłumu pacjentów zmierzających do pomieszczenia z automatami – płynących niczym ławice łososi pod prąd.

Pochylone głowy, ręce szaleńczo toczące koła foteli inwalidzkich próbujących się przebić przez napierający w przeciwnym kierunku tłum.

Burns, wyłamując się z tego chaosu, skręcił za narożnik korytarza, a potem przyspieszył wzdłuż sąsiedniego korytarza, rozpędzając swój fotel na tyle, na ile to było możliwe.

Wszyscy pracownicy oddziału podążyli za nim. Skręciliśmy za róg właśnie w chwili, gdy Mathews sennie otwierał drzwi swojego pokoju i wychodził na korytarz. Nie zrobił jednak nawet dwóch kroków, gdy zjawił się pędzący Burns i taranem natarł na niego. Mathews niezdarnie runął na podłogę.

Burns, którego nigdy nie widziałem ruszającego się na cal od fotela,

chwycił obie poręcze, uniósł się i wstał. Sięgnął pod poduszkę i wyciągnął długi zaostrzony pręt, uniósł go wysoko i próbował wbić Mathewsowi w brzuch.

Mathews zasłonił się ręką i trysnęła krew. Burns ciągle był blisko. Mathews podniósł się i z wyciągniętymi rękoma postąpił krok w kierunku Burnsa, ale pośliznął się na kałuży krwi i upadł na plecy. Nie mogąc złagodzić upadku, uderzył głucho głową o podłogę.

Burns odwrócił fotel i ruszył wzdłuż korytarza. Xiang chwycił go za ramię.  
– Mówiłem, że kiedyś dopadnę sukinsyna – rzucił Burns, wyrrywając się.  
Podbiegliśmy do Mathewsa. Oszołomiony odepchnął Xianga i Cohena i usiłował wstać.

– Ten pieprzony dupek, Burns... – jęknął. – Urwę mu głowę. – Zrobił kilka kroków i osunął się na kolana. Zza prawego ucha sączyła się krew.

Ułożyliśmy go na podłodze i Palanqui wezwała sanitariuszy. Po krótkiej chwili Mathews uspokoił się i nie próbował już wstawać.

Pielęgniarki zbadały ważne organy życiowe, ja oceniłem uszkodzenia typu neurologicznego. W ciągu dziesięciu minut na rogu korytarza ukazała się ta sama grupa medyczna, która zajmowała się Wilkinsem.

Mathews znowu się uniósł, gdy go podnosiliśmy z podłogi, układając na wózku szpitalnym.

– Ten pieprzony dupek dźgnął mnie – jęczał, próbując stoczyć się z wózka. Pielęgniarze chwycili go za ramiona. – Sukinsyn! Ja was wszystkich pozabijam! – jęczał i wózek odjechał.

– Bez złudzeń, doktorze – rzekł sanitariusz. – On to robi.

Miałem mieszane uczucia.

Przybyła policja szpitala i rozpoczęto przesłuchanie. Każdy musiał złożyć zeznanie.

– Często się z panem spotykam – rzekł Levin na mój widok. – Pan działa jak magnes kłopotów.

– Słucham? – zapytałem. Miałem już dość Levina.

– Przykro mi. – Levin uśmiechnął się ironicznie. – Tak naprawdę to



chciałem powiedzieć, że jest pan doktorem Magnesem na Kłopoty.

Nie odpowiedziałem, czekałem na moją kolej, a potem zeznałem to, czego byłem świadkiem i co zrobiłem. Jeden z policjantów okleił drzwi pokoju Mathewsa żółtą taśmą. Inny przyparł Burnsa na fotelu do ściany i odholował. Kiedy Burns przejeżdżał, pacjenci w korytarzu zgotowali mu owację.

– Życzę panu miłego dnia, doktorze – rzekł detektyw Levin, wychodząc.

– Ja panu również – odparłem.

Siedząc w dyżurce pielęgniarek, przez chwilę myślałem o Burnsie. Potem o innych starych pacjentach na oddziale. Wątli, słabi, nieudolni i połamani, oczywiście postrzegano ich jako osoby życzliwe i uprzejme. Wielu było takimi. Wielu tych staruszków – jak mówił Xiang – przybyło do Gomory, zanim wzniesiono wysokie ogrodzenia. Ale nie wszyscy.

Niektórzy z nich popełnili zbrodnie bardziej obrzydliwe niż inni. Byli wśród nich mordercy i gwałciciele. Ci starzy ludzie wcale nie byli mądrzejsi – oni tylko dłużej żyli. Burns udowodnił, że mogą ugodzić każdego z nas zaostrzonym prętem z taką samą łatwością, z jaką mógłby to zrobić młodszy pacjent.

\* \* \*

Nie jest to powszechnie wiadome, a jednak prawdziwe, że tylko około jedna trzecia osób psychotycznych jest chora umysłowo. I jeszcze mniej wiadome jest to, co mimo wszystko przedstawiają filmy, że ludzie chorzy umysłowo nie są spostrzegawczy. Następnego dnia udowodnił to nasz nowy pacjent.

Syndrom psychozy definiują cztery symptomy. Pierwszy, to słyszenie głosów. Drugim jest złudzenie, w tym znaczeniu, że złudzenie jest „wiarą w to, co przeczy rozsądkowi”. Trzeci symptom, to zaburzenia w formułowaniu myśli, gdy dana osoba nie wyraża się gramatycznie albo kiedy wtrąca wymyślone przez siebie słowa, nazywane „neologizmami” – tak jak na przykład zamiast „stół” mówi „żarcioblat”, albo tworzy słowa ciągle się rymujące, czy też kalambury. Na przykład: „Idę do składu, bezładu,

zakładu, przykładu” – co też jest dowodem zaburzenia myśli.

Ostatni symptom takiego mizmaszu zwany jest „dziwacznym zachowaniem” – na przykład próba pływania po ulicy albo noszenie kapeluszy z folii aluminiowej czy nakładanie pięciu płaszczy w upalny dzień, i inne tego typu dziwactwa.

Dana osoba potrzebuje tylko jednego z tych symptomów, żeby uchodzić za psychotyczną, ale niektórzy ludzie posiadają dwa, a wielu nawet wszystkie. To tzw. pozytywne symptomy, przyciągające uwagę rodziny, przechodniów i policji. Symptomy można złagodzić lekami antypsychotycznymi, takimi jak Haldol, Abilify, Zyprexa, Thorazine i tym podobne.

Druga grupa osób potencjalnie psychotycznych cierpi na demencję, czyli ośpienie. Demencja przybiera wiele postaci; niektóre s bardziej znane, inne mniej. Choroba Alzheimera. Ośpienie ciałami Lewy’ego, demencja zwizana z wirusem HIV i psawica Huntingtona posiadaj wiele wspólnych cech. Ostatnio wykryte (2011) – ośpienie naczyńiowe na skutek serii małych udarów oraz posttraumatyczne demencje – uraz mózgu w wyniku katastrofy samochodowej, uprawiania boksu, futbolu, a take urazy gowy na skutek kopnicia w czasie gry w pik non – doczekały si publikacji w prasie.

Ludzie dotknici demencj, jeli zachoruj, mog si zachowywa dziwnie. Mog by agresywni i psychotyczni.

Ostatni grup s ludzie psychicznie chorzy okazuj zaburzenia umysowe w sposb dramatyczny. S to ci, ktorch zachowanie moe świadczy o chorobie fizycznej, ale cierpi na „delirium”.

Delirium to medycznie nagy wypadek – najczściej wynika z powżnego zatrucia silnymi narkotykami albo naduywania alkoholu, ale moe go wywoywa te guz mózgu, obnizenie poziomu cukru we krwi, niskie natlenienie krwi, czasowe napady pochodzce ze skroniowych patów mózgowych lub urojenia wywoane przez psychoaktywne narkotyki. Wiele takich sytuacji zagraa yciu – kady lekarz pogotowia moe potwierdzi, e najbardziej obkani ludzie na ziemi, chorujcy od naduywania alkoholu

albo środków uspokajających, cierpią na tak zwane delirium tremens, w skrócie dt. Niski poziom tlenu we krwi może być też przyczyną ataków serca, zapalenia płuc, udarów, zakrzepu krwi w płucach albo zatorowości płucnej. Kompletna lista jest długa i szczegółowa.

Istnieją dwa symptomy delirium psychosis, różniące je od umysłowych chorób psychiatrycznych.

Jeden z nich to zanikanie i roztapianie się objawów psychiatrycznych w delirium. Osoby mające w delirium mogą być psychiatryczne tylko przez część dnia, a przez pozostałą część są umysłowo całkiem normalne. Objawy delirium często występują szczególnie intensywnie po zmroku, dlatego często nazywa się je „pozmrokowymi”. Dla kontrastu symptomy psychozy, należącej do choroby umysłowej, w tym czasie pozostają dość stabilne.

Drugim charakterystycznym symptomem delirium jest „widzenie rzeczy”. Osoby w delirium mogą widzieć w przestrzeni wyimaginowane postaci i – historycznie – są dręczone przez różowe słonie. Psychiatrzy często trudno wydać prawidłową diagnozę osoby psychiatrycznej, która może cierpieć na ostre delirium, demencję albo psychozę schizofreniczną. Żeby problem jeszcze bardziej skomplikować, osoby chore umysłowo też mogą doznawać ataków delirium. No i na koniec, chorzy psychicznie mogą cierpieć na demencję, a następnie na ataki delirium.

Nie ma lepszego przykładu, jak porównanie praktyk w nowoczesnej psychiatrii – a szczególnie psychiatrii szpitalnej – z powszechnie stosowanymi metodami leczenia i diagnozy w danej specjalizacji. Bardzo chora osoba psychiatryczna wymaga szeregu badań – wielu skomplikowanych badań ogólnych, prześwietleń, wyszukanych leków; badania moczu i krwi oraz często nakłuć lędźwiowych. Psychiatra musi być przygotowany, niczym kapitan dowodzący medycznym statkiem, na bezbłędne sterowanie.

We wtorek rano ledwo mieliśmy czas ułożyć wrażenia z poprzedniego dnia, gdy pod eskortą policji szpitala zjawił się na oddziale Hamilton Murbank, wysoki, trzęsący się, rozczochrany, siwowłosy biały mężczyzna. Tak jak poprzednio, właśnie skończyliśmy odprawę.

Policjanci zamknęli drzwi oddziału i podpierając Murbanka w łokciach, podprowadzili go do dyżurki pielęgniarek. Xiang zdjął mu z przegubów rąk kajdanki i podpisał jakieś formularze.

– Powodzenia, weteranie – rzekł jeden z policjantów i wyszedł.

Xiang zaprowadził Murbanka do pokoju zabiegowego, gdzie mieściło się całe wyposażenie medyczne oddziału. Posadził go na taborecie i zbadano mu ciśnienie krwi. Potem ja sprawdziłem u niego funkcje życiowe i wymieniałem z Xiangiem kilka słów. W chwilę później odwróciliśmy się, żeby stwierdzić, że Murbank zniknął.

Otworzyłem drzwi i potykając się, omal nie przewróciłem się na Murbanka. Stał przy ścianie korytarza, dokładnie naprzeciwko pokoju zabiegowego, gestykulując w podnieceniu i wykrzykując jakieś nieskładne bzdury.

– B52! – zawołałem do Xianga.

– Robi się – odparł Xiang.

Cohen, słysząc okrzyki, pospieszył do nas. Chwyciliśmy Murbanka i wciągnęliśmy z powrotem do pokoju zabiegowego.

– Ty sukinsynu bez honoru...! – krzyknął Murbank, wymachując pięścią i wyciągając szyję, żeby się obejrzeć.

Xiang podał mu doraźny lek uspokajający i trochę przycichł. Pozostałem z Xiangiem w pokoju zabiegowym.

– Wie pan, gdzie się teraz znajduje? – zapytałem Murbanka.

– W Neramhalo – rzekł Murbank.

– Jaką dziś mamy datę? – kontynuowałem.

– Czternasty maja – odparł wyraźnie.

Xiang i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Kto teraz jest prezydentem?

– Barack Obama – rzekł i wstał.

Pomachał rękoma nad głową, jakby chciał odgonić wyimaginowany rój pszczoł.

– Cholerne żądłaki – wymamrotał i usiadł.

– On nie jest pomyłony – stwierdził Xiang. – On jest chory.

Byłem przekonany, że Murbank miał delirium, prawdopodobnie delirium nakładające się na demencję i być może także na chorobę umysłową.

– Wzywam ekipę z pogotowia – oznajmiłem.

W ciągu dziesięciu minut oddzwoniła doktor Vezo, która pierwszego dnia szyla mi rozciętą głowę. Podałem szczegóły dotyczące stanu Murbanka i zgodziła się ze mną, mówiąc, że wygląda to poważnie. Wyraziła też opinię, iż powinien trafić do szpitala. Obiecała zrobić wszystko, co tylko można, by zbadano mu krew, wykonano obrazowanie metodą rezonansu akustycznego (MRI), zrobiono zdjęcia klatki piersiowej oraz punkcje lędźwiowe. Naszym zadaniem jest tylko dostarczenie go do stacji pogotowia hrabstwa.

Przyrzekłem, że tak zrobimy. Nagle Vezo zawahała się.

– Wczoraj widzieliśmy się z panem Mathewsem – rzekła w końcu. – Z tym facetem, którego pański pacjent pokłuł ostrym prętem. A pan? Czuje się pan teraz dobrze?

– Na tyle dobrze, na ile można by się obecnie tego spodziewać – odparłem ogólnikowo.

– Słyszałam, że pana zwolniono – zauważyła.

– Tak, otrzymaliśmy zwolnienia.

– To bardzo źle – oświadczyła Vezo. – Przykro mi. Może będzie pan miał szczęście i cofną zwolnienie.

– Obecnie rozglądam się... – zacząłem, ale w tym momencie usłyszałem w słuchawce głośnik ogłaszający u niej „kod błękitny”, sygnalizujący nagły wypadek. Vezo rzuciła słuchawkę.

\* \* \*

Następnego ranka, gdy kompletowaliśmy akta całej trójki nowo przyjętych pacjentów, zjawił się pan Van Zandt. I znowu, zjawił się w chwili, gdy kończyliśmy zebranie. Do dyżurki pielęgniarek wszedł krzepki mężczyzna blisko pięćdziesiątki, biały, wyraźnie ciężko doświadczony przez życie. Wyciągnął przed siebie ręce i Bangban zdjął kajdanki.

Van Zandt roztarł nadgarstki, opuścił ręce na biodra i rozejrzał się.

– To cudowne być tu znowu – oznajmił.

Minęło trochę czasu, nim go ogarnęliśmy. Xiang podał mi istotne szczegóły. I po powrocie do mojego gabinetu zrobiłem szybki wywiad. Zjrzałem do komputera w spis aplikowanych mu leków, w dietę i ogólne zalecenia. Później tego dnia wróciłem na oddział, żeby się upewnić, czy wszystko jest przygotowane na noc.

Otwierając drzwi, usłyszałem krzyk kobiety. Pobiegnę szybko przez korytarz. Do dyżurki pielęgniarek biegła Palanqui, przód jej kitla ociekał jakimś płynem.

– To mocz – jęczała. – Tego dupka, Van Zandta.

Pchnęła drzwi dyżurki i podbiegła do umywalki. Wpadła Monabong, Xiang rzucił się do wózka z praniem i chwycił stos kitli dla pacjentów.

Skierowałem się do pokoju Van Zandta, gdzie zobaczyłem mokrą podłogę. Van Zandt z uśmiechem na twarzy ułożył się na łóżku z rękoma pod głowę. Gdy wchodziłem, zwrócił głowę w moim kierunku.

– Mówiłem jej, żeby tu nie wchodziła – rzekł. – Pamiętam tę małą idiotkę z czasów, gdy tu byłem. Głupia suka nie posłuchała.

\* \* \*

Czwartek kończył nasz gorączkowy tydzień, gdy otrzymaliśmy z Oddziału B – na wymianę z Newmanem – pana Camerona Parsonsa, jednego z najbardziej znanych w Gomorze pacjentów. Przed dziesięciu laty Parsons zastrzelił ludzi czekających na przystanku autobusowym.

– Oni brali udział w spisku Parveen – oznajmił wtedy. – Odeszli z Jezusem. To ci, którzy muszą zostać zniszczeni.

Po południu przeprowadziłem rozmowę z Parsonsem. Siedział na skraju łóżka, ja na krześle. Był uprzejmy, zachowywał się poprawnie, inteligentnie.

– Miło mi pana poznać – rzekł, gdy się przedstawiłem.

Następne dziesięć minut poświęciłem na omówienie historii Parsonsa: gdzie się urodził, jak dorastał, do jakiej chodził szkoły i tak dalej. Potem

rozmawialiśmy o jego pobycie w Gomorze.

– Było okej – rzekł Parsons. – Nie idealnie, ale przynajmniej trzymali tu ludzi Parveen na dystans. – Przekrzywił głowę i przyglądał mi się zwężonymi oczami. – Pan nie należy do ludzi Parveen... a może należy pan?

– Nie. Ja tylko tu pracuję – odparłem.

Według starych zapisów dotyczących pacjenta Parsonsa, „ludzie Parveen”, ich historia, wierzenia i plany były kunsztownie skonstruowanym systemem złudzeń, na które cierpiał Parsons. I na podstawie których często działał, a te działania często skutkowały dziką przemocą.

– Lepiej, żeby pan nie należał do Parveen – stwierdził. – Jednak są sposoby, żeby to sprawdzić.

– To groźba? – zapytałem, wstając.

– Bierz pan to, jak tylko chcesz – odparł Parsons. – Ludzie Parveen muszą być powstrzymani. – Nawet nie mrugnął. – I, jak pan wie, ja ich mogę powstrzymać.

Parsons też wstał, wyprostował się i teraz już nie wyglądał na takiego małego jak przedtem. Szybko rzuciłem jakieś usprawiedliwienie i ciągle się oglądając za siebie, prędko wróciłem do dyżurki pielęgniarek. Przypomniał mi się pierwszy epizod z Boudreaux. Teraz byłem już ostrożniejszy. Nie mogłem dopuścić, żeby mnie osaczył w jakimś kącie swojego pokoju.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Jednak moje kości mówią: „Tyler Clementi zanurkował w rzekę Hudson przekonany, iż jest zupełnie sam”. Moje kości mówią: „Pisz wiersze”.

ANDREA GIBSON, „THE MADNESS VASE/THE NUTRITIONIST”

WRAZ Z PRZYBYCIEM TRZECH nowych pacjentów na Oddziale C zapanowała atmosfera niepokoju. W domu sprawy też nie układały się najlepiej.

– Jak ci idzie rozglądanie się za nową pracą? – Ingrid zapytała podczas piątkowej kolacji.

– Przejrzałem niektóre czasopisma – odparłem. – Przeszukałem propozycje, ale jak dotąd nie znalazłem nic ciekawego.

Milczenie.

– Ja naprawdę nie chciałbym, żebyśmy znowu musieli się przeprowadzać... – zacząłem.

– Tato, o mnie nie musisz się martwić – przerwał John i uzmysławiając sobie, że zachował się niegrzecznie, zaraz dodał: – Przepraszam.

– ...jeżeli będę mógł temu zapobiec – dokończyłem.

Ingrid wstała.

– Kto chce deser? – zapytała.

\* \* \*

W sobotę popołudniu Ingrid poszła do garażu rozpakować ostatnie pudła pozostałe z przeprowadzki, a John poszedł do Seana Hansena. Ja udałem się



na górę kontynuować poszukiwanie pracy.

Pobieżnie przeglądałem strony w Internecie, czytając nagłówki na stronie „Hospitalizacja psychiatryczna pacjentów”. Kliknąłem na link: „Życie i praca w raju”, gdzie znalazłem następujące ogłoszenie: „Pełnoetatowe stanowisko w szpitalu psychiatrycznym w Północnej Kalifornii” – wyświetliłem załączoną mapę. Była to odległa od nas dwadzieścia mil Calistoga.

I nagle poczułem ekscytację. Moją pierwszą myślą było: „Nigdy już nie zobaczę McCoya”. Z zaskoczeniem uzmysłowiłem sobie, że czuję ogromną ulgę. Kontakt z McCoyem to jak zabawa z nitrogliceryną. Nieważne, jak bardzo jesteś ostrożny, wiesz, że pewnego dnia eksploduje.

W chwilach uświadamiania sobie rzeczywistości wiedziałem, że większość facetów na Oddziale C, szczególnie takich jak McCoy, Boudreaux, Van Zandt, Cervantes i do pewnego stopnia nawet Caruthers, dzieli ze sobą te same cechy. Bez względu na to, co myślisz, na ile ich znasz, nieważne, jak daleko sięga twoja wyobraźnia, i bez względu na to, co chcesz zrobić, ostatecznie i tak wszystko bierze w łeb, bo i tak zawsze mogą cię zabić. Właśnie dlatego znaleźli się w takim miejscu jak Gomora. Ci faceci są jak ludzki „improvizowany ładunek wybuchowy”, a ty nie chcesz się znaleźć w jego pobliżu, gdy eksploduje.

Jednak wiecznie tak żyć nie sposób, więc wymyślasz jakąś inną historyjkę o tych ludziach i o Gomorze. Obojętnie co, byle coś innego. Coś takiego jak: jeżeli opuszczę Gomore, stracę też Toma Caruthersa i Boudreaux, gdy wyzdrowieją, a przecież już straciłem Michaela Tomlina. No i nie zobaczę więcej Cohena, Xianga, i pielęgniarek w poważnych tarapatach.

Jednak ta pierwsza historia jest prawdziwa, zatem wróciłem do ogłoszeń, śledząc je z rosnącym zniecierpliwieniem. Ostatnia oferta wydawała się prawie doskonała. Zbiegłem na dół poszukać Ingrid.

Siedziała na taborecie w kącie garażu, z dwoma leżącymi przed nią pustymi pudłami. Na posadzce piętrzył się stos pogniecionych gazet, a u stóp wznosiły się trzy kupki rozpakowanych książek. Na kolanach leżała rozpostarta gazeta. Nie słyszała, jak wszedłem do garażu, i zauważyła mnie

dopiero, jak się do niej zbliżyłem.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś – rzekła. Była blada.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem i stanąłem przy niej.

Spuściłem wzrok i zobaczyłem pierwszą stronę lokalnej gazety. Wyglądała z niej przejmująca dreszczem twarz Adama Lanzy. Gazeta nosiła datę 15 grudnia 2012.

14 grudnia 2012 rano na przedmieściu Newtown w Connecticut, dwudziestoletni Adam Lanza, młody mężczyzna z burzliwą przeszłością i skłonnościami do używania broni, zastrzelił matkę, Nancy Lanza, lat pięćdziesiąt pięć, strzelając jej cztery razy w głowę z karabinu Savage Mark III, kalibru .22, gdy leżała w łóżku. Nancy Lanza, miłośniczka i kolekcjonerka broni, zabierała syna, Adama, na pobliską strzelnicę, gdzie uczyła go strzelać. Karabin był jej własnością.

Lanza ubrał się na czarno, z zieloną kamizelką mieszczącą zapasowe naboje. Do uszu wetknął stopery – pomysł, który zaczerpnął z relacji w sprawie masowego mordercy Richarda Farleya, który w 1988 zamordował siedmiu ludzi w Centrali Towarzystwa Językowego ESL w Sunnyvale w Kalifornii.

Uzbrojony w półautomatyczny karabin szturmowy Bushmaster XM-15 EZS, w pistolet Glock 10 mm, pistolet Sig Sauer 9 mm i inny pistolet pomocniczy – wszystko również własność matki – Lanza pojechał do pobliskiej szkoły podstawowej Sandy Hook, do której kiedyś krótko uczęszczał. Przebił się przez oszklone drzwi wejściowe, wpadł do sali pierwszej klasy i otworzył ogień do przebywających tam kobiet i dzieci. Dyrektorka szkoły Dawn Hochsprung, szkolna psycholog Mary Sherlach i wicedyrektorka Natalie Hammond usłyszały strzały i pobiegły do tej klasy, aby tam stanąć oko w oko z Lanżą. Od strzałów Lanzy zginęły Dawn Hochsprung i Sherlach. Hammond otrzymała postrzał w stopę, nogę i rękę, ale udało się jej wyczołgać bezpiecznie za drzwi. Lauren Rousseau, zastępująca nauczycielkę, usiłowała ukryć czternaścioro sześciolletnich dzieci w położonej z tyłu łazience. Poza jednym dzieckiem, ona i wszystkie dzieci

zostały zmasakrowane. Następnie Lanza poszedł do drugiej sali pierwszej klasy, tam zamordował sześciu uczniów kryjących się pod stolikami i ich nauczycielkę, Victorię Leigh Soto, która próbowała swym ciałem osłonić dzieci.

Anne Marie Murphy, specjalistka od dzieci specjalnej troski, wzięła w ramiona sześciolatkę Dylan Hockley. Obie zostały zabite.

Nauczycielka, Rachel D'Avino, zatrudniona czasowo na tydzień w Sandy Hook, zginęła również przy próbie chronienia swoich uczniów i uczennic.

Przerywając tylko po to, aby przeładować broń w pięciominutowych okresach, Lanza wystrzelił 154 kule do dzieci i personelu szkoły. Do każdej ofiary strzelał po kilka razy – na przykład sześciolatka Noah Pozner została postrzelona jedenaście razy. W sumie zginęło dwadzieścioro dzieci i sześć osób dorosłych.

Kiedy przybyła policja, Lanza załadował glocka i skierował lufę w siebie.

Stan umysłu Adama Lanzy nigdy nie został dokładnie i ostatecznie określony. Gdy był dzieckiem, zdiagnozowano u niego zaburzenia sensoryczne mózgu (SPD), na które cierpią dzieci autystyczne. Jednak objawy zostały słabo zdefiniowane, bez wsparcia się metodami naukowymi, i później dodano do tego syndrom Aspergera, czyli jedną z postaci autyzmu.

Inni specjaliści spekulowali, że cierpiał na paranoidalną schizofrenię. Jednak nie sporządzono na ten temat żadnej dokumentacji medycznej.

Lanza nie pozostawił listu, jaki zwykle piszą samobójcy, i przed rzezią zniszczył twardy dysk na swoim osobistym komputerze. Jednak przeszukanie domu Lanzy i szczegółowe śledztwo dotyczące jego bezpośredniej działalności ujawniły wiele interesujących rzeczy.

Lanza obsesyjnie grał w komputerową grę Combat Arms, na temat zabijania i broni. Przeglądał strony Wikipedii dotyczące masowych morderców, korygując nawet najmniejsze błędy w hasłach. Kiedyś się przyznał, że jego ulubionym kalibrem jest kaliber .22 broni automatycznej.

W pokoju Lanzy władze odkryły arkusz papieru wielkości siedem na cztery stopy, zawierający każdą, nawet najdrobniejszą informację o pięciuset

masowych mordercach. Wydrukowany dziesięciopunktową czcionką, zawierał opisy każdego szczegółu morderstw, ich ofiary i rodzaje użytej broni, łącznie z podaniem modeli oraz numerów seryjnych. Ten ogromny arkusz papieru wymagał specjalnej drukarki. Władze później domyśliły się, że Nancy Lanza wiedziała o tym arkuszu i że u jej syna nasilała się choroba psychiczna, polegająca na zaburzeniach stabilności umysłu.

Oto, co zwróciło moją uwagę, gdy stałem obok Ingrid: gdyby Adam Lanza przeżył, trafiłby do Gomory. I ktoś taki jak ja byłby jego terapeutą. Nie różniłby się od niektórych pacjentów, z którymi miałem już do czynienia. I gdyby był moim pacjentem, mógłbym teraz powiedzieć, czy był naprawdę taki zły, że miał umysł encyklopedyczny i że był uprzejmy dla starszych pacjentów. I że spotykając się, robilibyśmy sobie w korytarzu „żółwika” i snuliśmy opowieści o futbolu.

Lanza wszedłby w skład mojej drużyny baseballu, a ja nadałbym mu jakiś pseudonim sportowy. Dyskutowałbym o nim z Cohenem. Ostrzegłbym personel, żeby na niego uważał. I byłbym bardzo niespokojny o Emily Carstairs w czasie jego spacerów po korytarzu.

A Carstairs wyjaśniłaby, dlaczego usprawiedliwia Lanę, tak jak to zrobiła w przypadku McCoya. I tak jak to robiła matka Lanzy.

I wszyscy twierdzilibyśmy, że to wszystko jest absolutnie naturalne – do chwili, gdy rozlegnie się krzyk! Alarm! Aż wszystko eksploduje w czyjąś twarz. Ciągle próbuję znaleźć właściwy sposób, żeby to jakoś wyrazić – nie sposób ignorować człowieczeństwa u takich ludzi i z taką łatwością zaprzeczać przemocy. I pomyśleć, choćby przez minutę, co jest właściwie złe w Gomorze i co jest nie tak z metodami opieki nad chorymi umysłowo przestępcami.

Ingrid złożyła gazetę i położyła na stole warsztatowym, przy którym siedziała.

– Wiem, że pracujesz z takimi ludźmi jak on – rzekła. – Jednak próbuję uniknąć obsesji na tym punkcie. Przypadkowo natrafiłam na fotografię Jamesa Holmesa.

– To jest Adam Lanza – sprostowałem.

– A kto może ich rozróżnić? – zapytała Ingrid. – Chryste, co tydzień pojawiają się nowi. I za każdym razem wydarza się to samo gówno. Zawsze pokazują obrzydliwe mordy tych świrów – nigdy ofiar, zawsze tych, co mordują – a potem nawołują do zakazu swobodnego dostępu do broni, błagają o skuteczniejsze leczenie psycholi. A na koniec publikują artykuły wyjaśniające, dlaczego broni się osoby dotknięte chorobami psychicznymi. I nic. A potem nic się w tych sprawach nie dzieje.

\* \* \*

W poniedziałek przejrzałem maile przed wejściem na oddział. Nic na temat zwolnień. Potem w drzwiach mojego gabinetu zjawili się Xiang i Cohen, żeby mi donieść, że Emily Carstairs wróciła z urlopu. Kate Henry chciała się z nami spotkać przy drzwiach na oddział. Poczulem żywsze bicie serca. Zapomniałem już o McCoyu i drożdżach.

W milczeniu poszedłem korytarzem i skręciłem na oddział. Przed drzwiami stała Kate Henry w stroju służbowym. Za nią widać było Bangbana w pełnym umundurowaniu i detektywa Levina w szarej, sportowej kurtce, czarnych spodniach i ze srebrną odznaką przyczepioną do kieszonki kurtki.

Carstairs zorientowała się w sytuacji z chwilą, gdy nas zobaczyła. Kate Henry powiedziała, że chcemy porozmawiać o McCoyu, na co Carstairs wyraźnie odetchnęła. Kiedy usiedliśmy w pokoju konferencyjnym, Levin poinformował Carstairs, że McCoy powiedział im wszystko.

– Zwykle pieprzenie – rzuciła Carstairs i otwarcie przyznała, że to ona przyniosła na oddział drożdże. Na co Kate Henry stwierdziła, że była to tylko zwykła przysługa. Wtedy Levin wyjaśnił, iż drożdże są niezbędne w procesie fermentacji alkoholu. Xing dodał, że oddział ma już dość kłopotów bez pijanych psychopatów.

Levin oznajmił Carstairs, że przynoszenie do szpitala drożdży nie jest przestępstwem, ale w tym wypadku może ponieść konsekwencje, tracąc

pracę, i Bangban był już gotów eskortować ją do wyjścia ze szpitala.

– Przykro mi, że panią zawiodłam – rzekła Carstairs, kiedy wszyscy wstali. – Ale nie będzie mi przykro, jeżeli mnie zwolnią.

Tego wieczoru otrzymałem w domu niespodzianego maila: „Doktor Seager” – zaczynał się. „Otrzymaliśmy pańskie podanie o przyjęcie na stanowisko nowego psychiatry i jesteśmy zainteresowani dalszym omówieniem tej sprawy. Prosimy skomunikować się z nami w najwcześniejszym dogodnym dla pana terminie”. Mail podpisał doktor Anthony Rutherford ze Szpitala Dobrego Pasterza.

Przesłałem krótką odpowiedź i wynotowałem numer ich telefonu, planując zadzwonić jutro z samego rana.

– Otrzymałem pozytywną odpowiedź z nowej pracy – oznajmiłem Ingrid. – To Szpital Dobrego Pasterza w Calistodze. Jutro rano do nich zatelefonuję.

– Co ich interesuje?

– Praca na oddziale pacjentów hospitalizowanych.

– Nie na oddziale psychiatrii sądowej?

– Nie. Na zwykłym oddziale.

– Ze zwykłymi wariatami? – spytała Ingrid.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, ze zwykłymi wariatami.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Jeżeli powiem ci, co naprawdę jest w mojej głowie, to ty nigdy nie pozwolisz mi opuścić tego miejsca.

EMILY ANDREWS, „THE FINER POINTS OF BECOMING MACHINE”

NASTĘPNEGO DNIA RANO wyjąłem z kieszeni koszuli kartkę z numerem telefonu Rutherforda i wystukałem go w telefonie stojącym na moim biurku. Odebrała sekretarka Rutherforda, Mary. Powiedziałem, że dzwonię w sprawie wakatu na stanowisko szpitalnego psychiatry. Wiedziała już, kim jestem, z Internetu. Powiedziała, że z przyjemnością odbiera mój telefon i doktor Rutherford oczekuje mnie niecierpliwie. Wyzaczyliśmy spotkanie tego dnia po południu, w szpitalu w Calistodze.

Odwiesiłem słuchawkę i jakiś czas nie spuszczałem z niej wzroku. Zaczęła się już poranna narada, więc szybko poszedłem na oddział i skierowałem się do pokoju konferencyjnego.

Przeprosiłem za spóźnienie, tłumacząc się szukaniem pracy. Usłyszałem ogólne westchnienie.

Rozejrzałem się po zebranych przy stole.

– Gdzie jest Randy? – zapytałem. – Zawsze był obecny na odprawie. – Teraz było tylko puste krzesło.

– Nie wiem – odrzekł Xiang i też się rozejrzył. – Nie dzwonił.

Reakcja Xiang spotkała się ze wzruszeniem ramion.

– Zadzwoń do jego domu – oznajmiła Palanqui. – Może zasnął.

Potem zebranie szybko się zakończyło, nie omawiano niczego szczególnego, zaplanowano dzień i szykowało się spokojne popołudnie. Nie wspomniałem już o spotkaniu w Calistodze.

Spotkałem się z moimi pacjentami, sporządziłem kilka notatek, zjadłem lunch z Cohenem i zrobiłem porządek w moim służbowym komputerze. Potem powiedziałem lekarzowi z Oddziału B, że dziś wcześniej wyjdę z pracy, i o piętnastej opuściłem oddział.

Calistoga, miejscowość leżąca w północnej części Doliny Napy wśród falistych wzgórz, pełna stylowych budynków, była perełką dziewiętnastowiecznej architektury. Miasto założył wpływowy mormoński pionier, Sam Brannan, jako miejscowość wypoczynkową z luksusowymi restauracjami i kawiarniami, z prestiżową galerią sztuki i leżącymi przy głównej ulicy licznymi butikami, gdzie kiedyś mieściły się też zakurzone saloony, bary i stała stacja kolejowa. Szpital był położony na skraju miasta w wznoszącej się, długiej i malowniczej dolince. Zaparkowałem i przez chwilę podziwiałem zachwycający widok.

Doktor Rutherford powitał mnie niezwykle serdecznie przy drzwiach frontowych. Ten szczupły erudyta w wieku sześćdziesięciu lat poprowadził mnie przez duży, nowoczesny szpital psychiatryczny. Dyżurka pielęgniarek pełna była migoczących komputerów, błyszczących umywalek i uśmiechniętego personelu. Rozmawialiśmy o wyśmienitym miejscowym winie, o pięciogwiazdkowych restauracjach, o emerytalnym planie oszczędnościowym Stanów Zjednoczonych i o planach rozwoju szpitala.

Rutherford poinformował mnie, że potrzebują kogoś z wizją, kogoś, kto poprowadzi psychiatrię w Dobrym Pasterzu w przyszłość. Czyli kogoś takiego jak ja. To mi pochlebiało. Dyskutowaliśmy też o pieniądzach, o pilnych dyżurach i o dacie rozpoczęcia pracy. A ta praca wydawała się niezwykle interesująca, co też zakomunikowałem doktorowi Rutherfordowi.

– Ma pan tu pacjentów przysyłanych z wyroków sądowych? – zapytałem.

– Nie – odparł Rutherford – i dlatego mamy dobre relacje z ludźmi w Napa State.



Powiedziałem, że muszę to wszystko przemyśleć i porozmawiać z żoną i że wrócę do niego za tydzień. Dał mi swoją wizytówkę i powiedział, żebym dzwonił wprost do niego. Zgodziłem się i opuściłem szpital.

Przy samochodzie poczułem coś, czego mi brakowało. Zatrzymałem auto, wysiadłem, rozejrzałem się i wtedy zorientowałem się, co to było. To był spokój. Przebywałem tu dwie godziny i ani razu nie usłyszałem alarmu.

– Jak ci poszła rozmowa kwalifikacyjna? – zapytała Ingrid, gdy wróciłem do domu.

– Rozmowa kwalifikacyjna? – zdziwiłem się. – Jasna cholera, czy to było dzisiaj?

Ingrid już wiedziała, że poszła dobrze.

– Gratuluję – rzekła. – Opowiesz nam wszystko przy kolacji.

Gdy zasiedliśmy do stołu, opisałem moją rozmowę kwalifikacyjną.

– Doktor Rutherford zaproponował mi pracę – powiedziałem na koniec. Ingrid i John ożywili się.

– Chcesz tam pracować? – zapytała Ingrid.

– Powiedziałem, że zadzwonię do niego w przyszłym tygodniu. Że wpierw muszę z tobą porozmawiać.

– Brzmi to pięknie – rzekła Ingrid i John się z tym zgodził.

– Za tydzień będę bezrobotny – dodałem.

– Zatem chcesz tam pracować? – powtórzyła Ingrid.

– Tak – odparłem. – Chcę tam pracować.

W rzeczywistości okazało się, że moje odejście z Gomory wiązało się z innym, pobocznym problemem. Na wtorkowym przeglądzie Randy znowu był nieobecny. Nadal nie odbierał telefonów ani listów i nie odpowiadał na maile. W środę znów nie było Randy'ego. Palanqui pojechała do jego domu. Zapukała do drzwi. Nic.

Do piątku mieliśmy już trzy puste krzesła w pokoju konferencyjnym. Wtedy zjawiała się Kate Henry z Cohenem. Zajęli swoje miejsca. Sprawiali wrażenie przygnębionych.

– Randy został aresztowany – oznajmiła Kate Henry. – Nie wróci.

Palanqui i Monabong wstrzymały oddech. Larsen siedziała obojętnie. Poczulem ucisk serca.

– Co się stało? – zapytałem.

– Pamięta pan handel papierosami, czego był pan w lecie świadkiem? – zapytał Cohen. – A także w dzień przed sylwestrem? I że podobno nikt o tym nie wiedział?

– Oczywiście.

Wszyscy spojrzeli na puste krzesło.

– Randy? – spytałem, oszołomiony.

– Niestety, tak – odparła Kate Henry.

Zrobiło mi się niedobrze.

– To nasz najlepszy pomocnik medyczny – przypomniałem. – Ma rodzinę.

Przy stole zapadła cisza.

– Nakryła go pani Henry – rzekł Cohen.

– Po sporządzeniu przez pana formalnego raportu – zaczęła Kate Henry. – Szef Ericsson, detektyw Levin i ja diskutowaliśmy nad tym i przedłożyliśmy plan działania. Spytałam doktora Cohena, czy może nam pomóc.

– Poszła w świat informacja, że przybędzie ładunek papierosów – poinformował Cohen. – I wkrótce wpadłem na trop pewnej osoby.

– Wiedzieliśmy, że to był ktoś z nas – uzupełniła Kate Henry. – Zastawiliśmy pułapkę.

– Czekałem w uzgodnionym miejscu – ciągnął Cohen. – Detektyw Levin i Bangban tworzyli wsparcie w aucie. Nadjechała ciemnoniebieska acura i zaparkowała. I, niestety, wysiadł z niej Randy. Miał w kieszeni trzy tysiące dolarów.

– Cholera – zakląłem.

– Wszyscy czuliśmy się strasznie – przyznała Kate Henry. – Ale to Randy dostarczał papierosy do szpitala. To gorsze od heroiny. Kto wie, ile wywołały bijatyk i awantur?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Randy przywoził papierosy – rzekłem. – Ale kim był ten, komu je

sprzedawał? Kto był tą osobą z oddziału?

– Nie mamy pojęcia – odparła Kate Henry. – Randy nie powiedział.

Wróciłem pamięcią do rozmowy z detektywem Levinem.

– To musiał być pacjent – stwierdziłem.

– To wiemy – wtrąciła Kate Henry.

Po przeglądzie usiadłem z Cohenem w pokoju konferencyjnym.

– Czy Levin mówił coś o tym odcinku ogrodzenia pozbawionym drutów kolczastych?

– Mówił – odparł Cohen. – Ale później odkrył otwarte okno w suterenie za oddziałem. Było ukryte w chwastach. To okno było na tyle uchylone, żeby ktoś mógł się przez nie prześliznąć.

– Jeżeli nabywcą papierosów był pacjent – stwierdziłem – to mógł użyć tego okna. Ale suterena jest zamknięta na klucz, tak jak oddział. Potrzebny jest więc zestaw kluczy punktu kontrolnego.

– A kto miał taki zestaw? – zapytał Cohen.

– Myślisz, że była w to zaangażowana jakaś druga osoba z personelu? – zapytałem. – I to ona otworzyła drzwi do sutereny?

– Nie widzę innej możliwości – stwierdził Cohen. Chyba że taki zestaw kluczy miał ktoś z pacjentów.

– Posiadanie tych kluczy umożliwiało mu też dostęp do naszych gabinetów – zauważyłem. – Do dyżurki pielęgniarek i do wszystkich lekarstw w pomieszczeniu ze środkami medycznymi.

– Nie zapominaj o drzwiach na oddział – dodał Cohen. – I o głównych drzwiach.

– Czy możliwe, żeby wydarzyło się coś takiego?

– Czytałeś maile o kimś, kto zadział gdzieś taki zestaw kluczy? – zapytał Cohen.

Czytałem. Zdarzało się to dość często.

– Ale zawsze je potem znajdowano.

– Jeżeli w czasie, gdy gdzieś się zawieruszyły – rzekł Cohen – ktoś je znalazł, to można sobie wyobrazić, że zrobił z nich odciski w mydle, a potem

ktos wyniósł mydło poza obręb szpitala.

– Następnie wykonano ich duplikaty – wtrąciłem. – I wrócił z nimi na oddział.

– Jeżeli papierosy idą po dwieście dolarów za pakiet, to ile pakietów musiał dostarczyć ten mistrz w podrabianiu kluczy? – zapytał Cohen.

– Jezu, to przerażające – jęknąłem.

– Bardziej niż przerażające – odparł Cohen. – Tylko już nie dla ciebie.

– Nie dla mnie?

– Zostałeś zwolniony, pamiętasz?

Opuściliśmy pokój konferencyjny, wyszliśmy z oddziału i poszliśmy długim korytarzem zewnętrznym.

– Zatem nikt z pacjentów nie przekroczył ogrodzenia? – zapytałem.

– Na to wygląda – zgodził się Cohen.

Przypomniał mi się hałas śmigłowców i jak bardzo tego wieczoru była wystraszona Ingrid, a szczególnie John. Przypomniał mi się też Levin i jego niekończące się pytania.

– Randy dostał to, na co zasłużył – stwierdziłem.

Dotarliśmy do naszych gabinetów.

– Bycie uczestnikiem tajnej prowokacji policyjnej – zauważyłem, wyjmując klucze z kieszeni – to trudny obowiązek. Podziwiam cię.

– Mnie się coś takiego podoba – odrzekł Cohen. – Przecież wiesz.

Otworzyłem drzwi.

– Levin myślał, że jestem w to zamieszany, prawda? – zapytałem.

– Wydawał się trochę zaskoczony, gdy to nie ty wysiadłeś z auta – odparł Cohen.

\* \* \*

Poniedziałek był pierwszym dniem mojego ostatniego tygodnia pracy w Gomorze. Jadąc do pracy, myślałem o Szpitalu Dobrego Pasterza i stwierdziłem, że minął już tydzień od mojej rozmowy z Ruterfordem. W pierwszym rzędzie musiałem do niego zatelefonować. Przez chwilę

widziałem swoje odbicie we wstecznym lusterku. „Zrób wreszcie coś rozsądnego”, powiedziałem do siebie.

Otworzyłem drzwi swojego gabinetu i chwyciłem słuchawkę telefonu, a potem wyjąłem wizytówkę Rutherforda z kieszonki koszuli. Usiadłem przy biurku w chwili, gdy odezwał się alarm. Wybiegłem z gabinetu i pobiegłem na Oddział C.

W połowie drogi minął mnie Cohen z kimś nowym. Otworzyli drzwi oddziału i wpadli ze mną do środka. Przed dyżurką pielęgniarek Boudreaux walił w okno, które bliskie roztrzaskania trzęsło się i wyginało.

– Wy krwiożercze kurwy! – wrzeszczał, zwracając się do zgromadzonego wewnątrz zespołu. – Ja was wszystkie, pieprzone kurwy, pozabijam!

Odstąpił, szykując się do ostatecznego ataku. Cohen spojrzał na nowego faceta i Xiang, który wyłonił się z przyległego korytarza.

– Ruszamy! – i całe trio przyjęło odpowiednią pozycję, niczym zawodnicy Narodowej Ligi Futbolowej. Dwóch górą, jeden dołem i Boudreaux runął na podłogę jak ścięte drzewo.

Wskoczyłem do środka, próbując unieszkodliwić jego rękę. Z dyżurki pielęgniarek wybiegły kobiety i padły na stos walczących ciał. Z trzaskiem otworzyły się główne drzwi i do walki włączyli się ludzie z Oddziału B.

– Krwiożercze kurwy! – powtarzał wciąż Boudreaux.

Kiedy zjawili się policjanci, nasza walka dobiegała końca. Boudreaux teraz nie mógł się już ruszyć, jednak nie puszczaliśmy go. Policjant powoli kolejno odrywał od niego ludzi, aż w końcu udało mu się założyć plastikowe kajdanki na przeguby rąk.

Z nieco większą trudnością założono pętlę plastikową na nogi Boudreaux.

– Krwiożercze kurwy! – wrzeszczał Boudreaux.

Pojawiła się Palanqui z napełnioną strzykawką. Xiang, Cohen i nowy człowiek leżeli na piersi i siedzieli na nogach Boudreaux, podczas gdy Palanqui robiła mu zastrzyk w biodro. Nie ruszaliśmy się z miejsca i po pięciu minutach ucichły krzyki i Boudreaux zaczął się uspokajać. Policjant przeciął plastikowe taśmy kajdanków u nóg i pomogliśmy Boudreaux dowlec

się do izolatki.

Potem wszyscy wrócili do dyżurki pielęgniarek. Cohen, nowy i ja usiedliśmy żeby zaczerpnąć tchu.

– Jestem doktor Seager – przedstawiłem się nowemu. Miał około trzydziestki, był szczupły i przypominał gwiazdę filmową.

– Przepraszam – rzekł Cohen. – To doktor Frank M. Will – przedstawił nowego. – Nasz nowy psycholog. Będzie ze mną praktykował przez miesiąc.

– Zwrócił się do doktora Willa: – Doktor Seager jest oddziałowym psychiatrą. Podaliśmy sobie ręce.

– Miło mi pana poznać – rzekłem. – Witam na Oddziale C.

– Cieszę się, że tu jestem – odrzekł Will.

– A co znaczy to „M”? – zapytałem.

– Mays – wyjaśnił Will.

– Jak Mays Willie, ten słynny amerykański baseballista?

– A jest jakiś inny? – uśmiechnął się Will.

Spojrzałem na Cohena.

– Zatrudniają w tym samym czasie nowych ludzi na miejsce zwolnionych starych pracowników?

Cohen wzruszył ramionami.

– Czy ma to jakieś znaczenie?

Personel, nieco roztrzęsiony, zebrał się na naradę trochę później niż zwykle. Xiang usiadł u szczytu stołu ze swym dużym czarnym skoroszytem w ręce. Cohen i Will zjawili się ostatni. Kiedy Will usiadł, Palanqui i Monabong głęboko zaczerpnęły powietrza.

Nowy pracownik został wszystkim przedstawiony. Will za każdym razem kiwał głową, gdy Xiang przedstawiał kolejno zebranych przy stole.

– To jest Mazie Monabong, jedna z naszych pielęgniarek – zakończył Xiang. Monabong uśmiechnęła się i spojrzała na Palanqui.

– A oni, gdy im polecimy, robią słodkie oczy – oznajmiła i wszyscy się roześmiali.

W pierwszej kolejności omawialiśmy Boudreaux.

– Co wywołało ten jego wybuch agresji? – zapytałem.

Palanqui potrząsnęła głową.

– Nie stawił się na śniadanie – wyjaśniła. – A my już zamykałyśmy drzwi, dziwiąc się, bo Boudreaux nigdy nie spóźnił się na śniadanie. Poszłam zobaczyć, co było tego przyczyną. Ledwo na mnie spojrzał, a już zaczął wrzeszczeć o tych krwiożercach i tym podobne. Ledwo zdążyłam uciec do dyżurki.

– W jego oczach ukazał się jakiś przerażający wyraz – dodała Monabong. – Jak u kogoś, kto dostał napadu szaleństwa.

Znałem to spojrzenie. Widziałem je w pierwszym tygodniu mojej pracy i podczas meczu w koszykówkę.

– O co chodzi z tym facetem? – zapytał Will.

– Piekielnie mnie pobił – odparłem.

Po przeglądzie wróciłem do mojego gabinetu i zatelefonowałem do Rutherforda.

Odpowiedział po drugim sygnale. Powiedziałem, że rozmawiałem z żoną, że starannie rozważyliśmy jego ofertę i z zadowoleniem akceptujemy warunki.

– Doskonale – rzekł z zadowoleniem Rutherford. – Mary zorganizuje tak szybko, jak tylko możliwe, wszystko, co niezbędne na pańskie przyjęcie.

– Znakomicie – odparłem.

– Witamy na pokładzie – odparł Rutherford.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nawet psychopaci odczuwają pewne emocje... ale z drugiej strony, może ich nie odczuwają.

RICHARD RAMIREZ, ZWANY „NOCNYM ŁOWCĄ”. RAMIREZ ZOSTAŁ SKAZANY NA WIELOKROTNĄ KARĘ ŚMIERCI ZA PRZYPADKOWO POPEŁNIANE MORDERSTWA. ZAMORDOWAŁ 13 LUDZI, WŁAMUJĄC SIĘ DO DOMÓW W LOS ANGELES I NA OBSZARZE SAN FRANCISCO W LATACH OSIEMDZIESIĄTYCH DWUDZIESTEGO WIEKU. 7 CZERWCA 2013, PO 24 LATACH SPĘDZONYCH W WIĘZIENIU, ZMARŁ NA RAKA W KALIFORNIJSKIEJ CELI ŚMIERCI.

MÓJ OSTATNI TYDZIEŃ W GOMORZE minął spokojnie. Był to czas podsumowań, sprzątania i czyszczenia. Próbowałem uporządkować odczucia i emocje, których w większości nie rozumiałem. Ale personel – wierny swoim korzeniom w Gomorze – pełnił obowiązki jak zwykle.

We wtorek przegląd zaczęliśmy od Boudreaux. Czuł się już lepiej. Potem Xiang kolejno odczytywał nazwiska, robiono na ich temat uwagi i to wszystko.

– Oni nigdy nie zwalniali lekarzy. – Monabong powtórzyła przed zakończeniem zebrania. – Coś musiało się stać.

– Mam już ofertę innej pracy – oznajmiłem, ale Monabong pozostała niewzruszona.

– Coś musiało się stać – powtórzyła.

Potem zakończono naradę.



– Pan został zwolniony? – zapytał Will, gdy wychodził ze mną i Cohenem z oddziału.

– Tak.

– To musiało być niemiłe – zauważył.

– Oczywiście – wtrącił Cohen.

Will nagle się zatrzymał i wyciągnął z kieszeni iPhone'a.

– Wybaczcie mi – rzucił. – Muszę odpowiedzieć na tweeta. – I oddalił się.

– Można tweetować ze szpitala? – zapytałem.

Cohen poszedł za Willem.

W środę minąłem na korytarzu McCoya.

– Słyszałem, że pana zwolniono – rzekł.

– Zgadza się.

– Pan ciągle jest mi coś winien za ten sąd – rzekł i skierował się do swojego pokoju. – Nowe czy nienowe prawo, ale i tak w końcu mnie stąd wypuszczą.

Po tych słowach z trudem odzyskałem normalny oddech. Pomyślałem, że groźby McCoya należą to tych rzeczy, do których powinienem już przywyknąć. Wyobraziłem sobie też, że może nadejść taki dzień, kiedy McCoy będzie chciał spełnić groźbę, a ja będę mógł odpowiedzieć zręczną ripostą. Albo skwituję ją uśmiechem; czy też powiem coś, co powinien powiedzieć jego terapeuta. Teraz jednak wiedziałem, że to nigdy nie nastąpi. W rzeczywistości moje zachowanie z czasem tylko pogorszyło jego reakcje. Myśląc o nim od czasu do czasu, zawsze się bałem tych pogroźek.

Później, gdy pacjenci Oddziału C ruszyli do stołówki na lunch, Cervantes pochwycił mój wzrok, wyszczerzył zęby w uśmiechu i wskazał swoje okulary. Jak zwykle brakowało w nich jednego zauszniaka. Zastępował go balansujący za uchem patyk od lizaka.

Tego wieczoru przy kolacji Ingrid oznajmiła:

– Poczta nadeszły dokumenty referencyjne z Dobrego Pasterza.

– To świetnie – ucieszyłem się.

– Zamierzasz je zaraz odesłać? – zapytała Ingrid.

– Odeślę – odparłem – jutro.

Ingrid się uśmiechnęła.

– To dobrze – rzekł John.

– Czy wiesz, co zawierają takie dokumenty? – zapytałem Johna.

– Nie – odparł. – Ale jeżeli mama jest zadowolona, to i ja też jestem zadowolony.

\* \* \*

– Jutro jest ostatni dzień mojej pracy w Gomorze – stwierdziłem podczas kolacji w czwartek.

– Przykro mi, tato – rzekł John. – Ale cieszę się. Wiem, że to przykro być zwolnionym z pracy... Ja to rozumiem. I mama też; wiem, że czujesz się źle. Ale przecież nie zobaczysz już więcej tego pana Piekło-Na-Twarzy, prawda?

– Ile John wie o tym McCoyu? – zapytałem Ingrid, gdy kładliśmy się do łóżek.

– John mieszka z nami – odparła Ingrid – i wie, co się dzieje.

Tej nocy źle spałem. Śniło mi się, że McCoy stał na naszym podjeździe i trzymał w rękach bezwładne ciało dziecka. Zbudziłem się przerażony. Dokładnie wiedziałem, co ten sen znaczy.

Zawsze czułem wewnętrzny niepokój, jakąś niesprecyzowaną obawę, i wiedziałem, że powinienem to kontrolować. Rozumiałem to, a jednak nic na to nie mogłem poradzić. Kiedy byłem młodszy, całymi latami – od szkoły podstawowej i cały czas na studiach – nosiłem gumową opaskę na przegubie ręki. Czasem zdejmowałem, ale potem wracała. Odkąd zacząłem pracować w Gomorze, znowu stała się częścią mojego życia. Ta gumowa opaska, którą teraz noszę, jest szeroka i posiada pieczętkę „Pomagam rannym wojownikom”. Noszę na niej zegarek, żeby nikt tego specjalnie nie zauważył.

Prawdopodobnie zdecydowałem się na dwa najgorsze zajęcia, wzbudzające uczucie strachu. Zanim zacząłem pracować jako psychiatra, postanowiłem odbyć praktykę w pogotowiu ratunkowym. Po ponownym założeniu gumowej opaski zacząłem czytać, czytać i jeszcze raz czytać pewne książki.

Pewnego wieczoru pięć zespołów pielęgniarzy pogotowia przywiozło ponad

dwunastu – dokładnie nie policzyłem – ciężko rannych w potwornym wypadku samochodowym na autostradzie, o milę od naszej siedziby. To było totalne pandemonium. Nie byliśmy centrum urazowym. Wezwano chirurgów. Ja byłem jedynym lekarzem w szpitalu. Przez następną godzinę trzy pielęgniarki i gromada pomocników medycznych razem ze mną walczyli o życie każdego rannego. No i jakoś w tej dżungli kabli, kroplówek, rur intubujących, licznych pustych baniek po przetoczonych krwi, na tle ścian wytapetowanych wynikami prześwietleń, wśród stosów papierowych śmieci i plastiku, każdego przygotowano do operacji.

Wyczerpany usiadłem w przylegającej do zagraconego i zachlapanego krwią pokoju urazowego dyżurce pielęgniarek i zaatakowałem górę papierkowej roboty, co w konsekwencji doprowadziło mnie do tragicznego odkrycia. Zaledwie zacząłem, przeciągnąłem się i zerknąłem przez ramię. I wtedy zobaczyłem w pokoju urazowym małą rączkę wysuniętą spod stosu brudnych prześcieradeł i podartych ubrań. Zwisiała ze skraju kontuaru. Wstałem i pobiegłem tam. Odrzuciłem prześcieradła i ubrania, aby zobaczyć leżącą małą dziewczynkę, która mogła mieć nie więcej niż pięć lat. Umarła, czekając spokojnie na swoją kolej. Zapomniano o niej w panującym zamieszaniu.

Przez większość następnej nocy nie kładłem się spać, zajmując się lekturą *White Album* Joan Didion. Kilka nocy później był to Kurt Vonnegut *Śniadanie mistrzów, czyli żegnaj, czarny poniedziałku*. Po roku rzuciłem pogotowie i oprócz noszenia gumowej opaski na przegubie ręki przeczytałem te dwie książki pięćdziesiąt razy. A może i więcej.

\* \* \*

Nadszedł mój ostatni dzień w Gomorze. Tego dnia Ingrid, John i psy zgromadzili się przy drzwiach, żeby mnie wyekspediować do pracy.

– Pamiętaj, tato, jesteś najlepszy, a teraz idź tam i pokaż im to – rzekł John i uściskał mnie.

Ingrid uściskała mnie też z uśmiechem. Mulder i Scully machały ogonami.

Przed odjazdem spojrziałem z samochodu na dom. Parafrazując Johna, pomyślałem: moja rodzina jest szczęśliwa, więc i ja jestem szczęśliwy.

Powinienem się rozkoszować tą chwilą, ale musiałem już jechać. Jednoroczny weteran Gomory, gładko przemknąłem przez punkt kontrolny, odebrałem klucze, sprawdziłem czerwony przycisk alarmu i udałem się na Oddział C.

W porannym słońcu powoli kroczył paw. Po mojej prawej stronie samiec rozłożył wachlarz ogona. Przekrzywił głowę i wydał okrzyk.

Ostatecznie dotarłem do głównej drogi, przekroczyłem trawnik i wspiałem się na niski podest. Wsunąłem klucze do zamka i wszedłem do budynku Oddziału C.

Zawyła syrena. Z gabinetów wybiegli ludzie i zaczęli biegać tam i z powrotem po korytarzu. Skierowałem się na oddział i wtedy zorientowałem się, że włączył się mój alarm, powodując chaos. Przez tłum przebiła się Kate Henry i stanęła przede mną.

– Pozwól – powiedziała i wyłączyła mój alarm osobisty, który najwyraźniej uruchomiłem przypadkowo.

Tego dnia odprawa minęła szybciej niż wszystkie inne poranne przeglądy w ciągu minionego roku. Xiang odczytał nazwiska pacjentów i krótko podsumował stan ich zdrowia. Jednak dziś personel zebrany przy stole milczał. Ja też nic nie powiedziałem – nie mogłem.

Tę romantyczną atmosferę nagle przerwał Will, wydając jakiś nieskoordynowany okrzyk. Wszyscy na niego spojrzeli. Przeprosił i wyjął z prawego ucha słuchawkę. Była połączona z jego iPhonem. Usłyszałem – wyraźnie, chociaż słabo – relację sportową nadawaną przez radio.

Po skończonym zebraniu nikt się nie ruszył z miejsca. Palanqui oznajmiła, że będzie jej mnie brakowało, i wszyscy jej zawtórowali z przejęciem. Był to bardzo emocjonalny moment. Potem, jakby wszyscy zareagowali na jakiś impuls, zaczęto snuć luźne opowieści.

Palanqui powiedziała, że zatelefonowała do niej żona doktora Toma, Ellen, i poinformowała, iż przeprowadziła się z dziećmi z powrotem do Illinois,

skąd pochodziła.

– Miała też małe dziecko... – ciągnęła Palanqui, uśmiechając się. – Chłopczyka, Toma juniora..

Xiang doniósł, że Luella Cortes w marcu przeszła końcowy zabieg chirurgiczny twarzy, jednak potem stracił z nią kontakt. Dzwonił do niej, ale nikt nie odbierał telefonu.

Monabong wyjęła z kieszeni kartkę pocztową i puściła ją w obieg dookoła stołu. Była od Virginii Hancock. Pisała, że przenieśli się na Filipiny i rozpoczęli budowę swojej szkoły.

Powiedziałem im, że odebrałem od neurochirurga z głównego pogotowia hrabstwa maila dotyczącego pana Mathewsa. Najwyraźniej w czasie upadku uderzył się w głowę gorzej, niż myśleliśmy. Usunęli krwiniak podtwardówkowy powodujący krwawienie do mózgu i teraz czuje się dobrze, więc za dwa tygodnie wróci na oddział.

– Chyba że nie będziemy mieli wolnego łóżka – rzekł Cohen i spojrzał na Kate Henry, która twierdziła, że już o tym myślała i że się tym zajmie.

I to wszystko. Żadnych długich pożegnań, żadnych życzeń szczęścia – wszyscy i tak życzyli mi wszystkiego najlepszego. Potem wstaliśmy i wyszliśmy z pokoju konferencyjnego.

Przez resztę poranka zegnałem moich pacjentów. Zatrzymałem się przed pokojem Smitha i zastukałem głową w drzwi. Usłyszałem szamotaninę i turlanie kości po podłodze. Murbank, który wrócił z pogotowia ratunkowego – czuł się dobrze – i dwóch starych pacjentów siedzieli na skraju łóżka. Powiedziałem im, że zostałem zwolniony. Smith kiwnął mi ręką zza łóżka.

W korytarzu ujrzałem Honga, jak szedł do swojego pokoju z Cervantesem, więc pożegnałem się z nim. Burns nie wróci do poniedziałku. Mathews był ciągle na stacji ratunkowej hrabstwa, ale Chambers, jego współlokator, właśnie spał w łóżku. Obudziłem go i powiedziałem, że dziś jestem po raz ostatni w pracy.

– Życzę szczęścia, doktorze – wymamrotał, obrócił się na bok i zasnął.

Harlan West był w klinice stomatologicznej. Shawn Carver w szkole. Zatrzymałem na korytarzu Floyda Traylora.

– Powodzenia, trenerze – rzekł i poszedł dalej.

Parsons i Van Zandt w ogóle mnie nie znali.

Boudreaux znalazłem w pokoju dziennym. Nie minęło jeszcze trzydzieści dni, a on stale czytał *Buszującego w zbożu*.

– Założę się, że będziesz znał ją na pamięć – stwierdziłem.

– Chce pan sprawdzić? – zapytał. – Proszę otworzyć na dowolnej stronie.

– Dziś jest mój ostatni dzień w Gomorze – rzekłem. – Chciałem panu bardziej pomóc. Wiem, że mógłbym dla pana dużo jeszcze zrobić. A jednak jakoś nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być. Przykro mi.

– Jeżeli zastanowi się pan nad tym – odparł Boudreaux – to proszę mi napisać.

Roześmiałem się.

– Coś panu powiem, doktorze – rzekł Boudreaux. Wróciło to jego przeciąganie słów. – Jeżeli kiedyś poczuję się dobrze, to proszę do mnie przyjechać i być moim gościem w Nowym Orleanie. Pójdziemy do Antonie, przy St. Louis Street. To najstarsza restauracja w mieście. Jedna z tych kreolskich wielkich dam. Podają tam *pompano en papillote* i ostrygi à la Rockefeller. No wie pan, oni tam wymyślają różne potrawy. Nazwa pochodzi od zielonego sosu. Można im zaufać.

– Brzmi wspaniale – odparłem. – Ale wpierw musi się pan poczuć lepiej.

– To zupełnie zrozumiałe – rzekł Boudreaux. – A jeżeli nie lubi pan francuskiego żarcia, to możemy skoczyć do Johnny's Po-Boys, dalej przy tej ulicy. I zamówić torbę ich specjalności z ostryg.

– Umowa stoi! – rzekłem. – Powodzenia.

– *Bonne chance, mon ami* – powiedział na pożegnanie Boudreaux.

Na koniec spotkałem się z Tomem Caruthersem.

– Ostatni dzień? – wykrzyknął, stukając mnie pięścią.

– Sam też się tego boję – odparłem. – Przyszedłem się pożegnać.

Na twarzy Caruthersa ukazał się szeroki uśmiech.

– Sam pan wie najlepiej, doktorze – rzekł – że dla nas nigdy nie ma „żegnaj”. Gdy ja byłem młody, pan tam był i jest pan tu teraz; spotkamy się jeszcze gdzieś po drodze. Do diabła, dlaczego pan myślał, że zadziałem gdzieś tę kartę z Koufaxem? Zatrzymałem ją, bo wiedziałem, że się jeszcze kiedyś spotkamy. I teraz też to wiem. I jeżeli zacznę się źle czuć – ciągnął Caruthers – zawsze mogę się zwrócić do doktora Cohena, żeby mnie niańczył.

Poszedłem do drzwi oddziału i spojrzałem na zegarek. Była jedenasta. Udałem się do mojego gabinetu. Przez resztę dnia robiłem porządki w miejscu pracy – czyściłem pliki w komputerze, kasowałem lawinę zachowanych maili i wyglądałem przez okno na zapuszczony ogród.

Lunch zjadłem w samotności. Cohen i Will byli na spotkaniu wydziału psychologii. Poszedłem do 7-Eleven, po drugiej stronie ulicy przy kampusie szpitala, i kupiłem kanapkę z tuńczykiem, dietetyczną colę, torebkę chipsów i egzemplarz „San Francisco Chronicle”.

Jedząc, rozwiązywałem krzyżówkę, rozkoszując się ostatnim ciepłym popołudniem przy stoliku piknikowym w angielskim zielonym ogródku.

Tego popołudnia pożegnałem się też z Kate Henry i wszystkimi pielęgniarkami. Były zajęte, więc trwało to krótko. Wróciłem do gabinetu i po raz ostatni wszystko sprawdziłem. Zniszczyłem mój spis telefonów i kopie pism sądowych; osobiste dokumenty włożyłem do teczki, rzuciłem ostatnie spojrzenie na pokój i wyszedłem.

Poszedłem długim korytarzem, opuściłem budynek głównym wejściem i skierowałem się na główną drogę. Po dwunastu krokach odwróciłem się i ostatni raz się obejrzałem. Przez oszklone drzwi dziedzińca mogłem widzieć skrzydło Oddziału C, mieszczące pokoje pacjentów. Zobaczyłem Cervantesa stojącego przy oknie. Miał na twarzy papierową maskę, a z uszu zwisały różowe chorągiewki. Patrzył na mnie. Był nagi. Pokazał mi palcem faka.

Odwróciłem się i poszedłem dalej.

– Wychodzisz? – Za mną pojawił się Cohen.

– Tak, ostatni raz – odparłem i skierowałem kroki na główny podjazd.

Oddałem klucze i minąłem punkt kontrolny. Nie usłyszałem jeszcze sygnału otwierającego drzwi.

– Dzięki, doktorze – odezwał się głos z intercomu. Otworzyły się drzwi i wyszedł z nich policjant Cole w mundurze.

Nie widziałem go od przesłuchania administracyjnego.

– Gdzie pan był? – zapytałem.

– Zawieszono mnie na cztery miesiące. Za tę sprawę z Mathewsem – wyjaśnił Cole.

– Przykro mi – odparłem. – Nie wiedziałem. Ale z zadowoleniem widzę, że pan wrócił.

– Ja też jestem z tego zadowolony – rzekł Cole i przestąpił z nogi na nogę.

– Chcę panu podziękować za poparcie mnie w czasie przesłuchania – kontynuował. – To pomogło mi zachować pracę.

– Oficerze Cole, pan zawsze był mile widziany na moim oddziale – zapewniłem go.

– Z przyjemnością pana powitam, jeśli pan tu wróci, doktorze.

Potem odezwał się sygnał otwarcia drzwi i wyszedłem przez bramy Gomory.



## EPILOG

KILKA DNI PÓŹNIEJ zadzwonił telefon.

– Tu biuro doktora Rutherforda. – Usłyszałem głos Mary – Szalenie mi przykro, ale pańskie dokumenty gdzieś się zawieruszyły we władzach naszej firmy. Sądzymy, że problem zostanie szybko rozwiązany i kontrakt zostanie panu przesłany mailem. Tymczasem doktor Rutherford chce omówić pańskie wymagania pod względem wysokości wynagrodzenia i ustalić, czy byłoby możliwe, żeby przedłużyć początek zatrudnienia do sierpnia. Czy może do pana zadzwonić za kilka dni?

– Oczywiście, może do mnie zadzwonić w każdej chwili – odparłem.

Odwiesiłem słuchawkę. Po pięciu minutach telefon znowu zadzwonił.

– Nieoczekiwanie zwolniło się stanowisko psychiatry. – To była doktor Francis z Napa State. – Może pan rozważyć powrót?

– Przepraszam – odparłem – ale czy pani przez to rozumie, że mogę wrócić do Napa?

– Nieoczekiwanie zwolniło się miejsce – powtórzyła doktor Francis. – Z przyjemnością powitalibyśmy pana z powrotem. Wiemy, że ma pan inną propozycję. Ale czy może pan to rozważyć?

Odpowiedziałem doktor Francis, że potrzebuję jednego dnia na podjęcie decyzji. Zgodziła się i powiedziała, że chętnie zaczeka. Kładąc słuchawkę, czułem zawrót głowy. Ten telefon był dla mnie absolutnym zaskoczeniem. Nie miałem pojęcia, co z tym zrobić ani jak mam to rozumieć. Już pogodziłem się ze zwolnieniem i myślą o nowym kontrakcie z innym szpitalem. Myślałem: dość już McCoya, dość Cervantesa. Dość tego

nieustannego strachu i grożącego niebezpieczeństwa. Czas na relaks. Jednak w Gomorze – w tym świecie Franza Kafki, z którego zostałem uwolniony, a teraz znowu chcą mnie zatrudnić i to w tym samym miesiącu – musi coś tkwić, musi w tym kryć się jakiś sens. Tylko nie miałem pojęcia, jaki.

Zadzwoiłem do Ingrid i powiedziałem, co się stało. Zapytała, co w związku z tym postanowiłem, ale odparłem, że jeszcze nic i w ogóle czuję się skołowany, że próbuję to jakoś poskładać, ale to wszystko wydaje się niejasne. Powiedziała, że porozmawiamy, gdy wróci do domu. Wyczułem, że jest oszołomiona.

Ingrid wróciła do domu wcześniej, przynosząc jedzenie z Bangkok Bistro, naszej ulubionej miejscowej restauracji. Jedząc, próbowaliśmy ustalić, o co chodzi, ale w gruncie rzeczy głównie była to tylko zwykła towarzyska rozmowa.

Przy kolacji powtórzyłem Johnowi i Ingrid, że zaproponowano mi powrót do Gomory. Potem wyjaśniłem, że w Dobrym Pasterzu coś nie zagrało, że coś kręcą i wygląda na to, że nie są jednomyślni co do mego zatrudnienia. Przytoczyłem moją rozmowę z Mary, z biura Rutherforda. Ingrid była zdenerwowana, jednak bardziej niekompetencją władz Dobrego Pasterza aniżeli moim niezdecydowaniem.

John milczał. Wiedziałem, że nie chce, żebym wracał do Gomory. Ingrid pociągnęła z kieliszka łyczek merlota.

– Co zamierzasz? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

Żołnierze frontowi, ci, których wycofano, zawsze mówili, że chcą wrócić ze względu na pozostawionych tam przyjaciół. Dlatego, że tak powinni, że to najwłaściwsze. Ponieważ tam jest ich miejsce i tam chcą działać.

To samo powiedziałem Ingrid i Johnowi. Odpowiedzieli tak, jak przypuszczałem, że odpowiedziałyby wszystkie inne rodziny:

– Zrobisz to, co uważasz za najlepsze, a my ciebie poprzemy.

Ostatecznie postanowiłem wrócić.

Następnego dnia rano zadzwoniłem do doktor Francis i oznajmiłem, że

wracam do Gomory.

Kontrakt z Dobrego Pasterza nigdy nie nadszedł.

## POSŁOWIE DLACZEGO STRZELAJĄ

W AMERYCE MOŻEMY BYĆ ŚWIADKAMI, jak ludzie obłąkani zabijają w szkołach siedzące na swoich miejscach sześćoletnie dzieci, niczym w filmach strzelając z wojskowych karabinów; obserwujemy, jak strzelają w głowy członkom Kongresu Stanów Zjednoczonych, dokonują rzezi na członkach ochrony i – podczas gdy wszystkich ogarnia groza – załamujemy ręce, wygłaszając wynikające z zakorzenionych przekonań puste frazesy na temat chorób psychicznych i powszechnego dostępu do broni palnej. I nic się nie zmienia.

Osobiście twierdzę, że nasz obecny paraliż dotyczący broni i chorób psychicznych wynika z pewnych fundamentalnie błędnych przekonań i niedostatku wiedzy. Jestem przekonany, że jeśli zajmiemy się tym właściwie i dogłębnie, to może zwrócimy się we właściwym, owocnym kierunku. W tym celu należy odpowiedzieć sobie na dwa pytania: jakiego rodzaju choroby psychiczne są przyczyną, że ktoś staje się masowym mordercą? I jeśli istnieje sposób, aby je zidentyfikować, to jak uniemożliwić tym ludziom dostęp do broni palnej?

Wpierw rzućmy okiem na pewne zasadnicze stanowiska polityczne zajmujące się tymi tematami, a następnie zwróćmy uwagę na tkwiące w nich błędy i przeanalizujmy pewne fakty.

W reakcji na strzelaninę w szkole podstawowej Sandy Hook w Newton w Connecticut republikanin, senator z New Hampshire, Kelly Ayotte, stwierdził: „Biorąc pod uwagę związki między masową przemocą i chorobami

psychicznymi, poprawienie szkolenia w zakresie zdrowia psychicznego dla tych, którzy pracują w naszych szkołach, w urzędach, w instytucjach społecznych i w pogotowiu ratunkowym, może im dać narzędzia, których potrzebują do zrozumienia ostrzegawczych sygnałów i pomoże określić osoby, które winny się poddać leczeniu”.

Wayne LaPierre, wiceprezes Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki (NRA), pojawił się 23 września 2013 roku na *Meet the Press* i powiedział: „Całe oburzenie winno się kierować (...) do systemu wymiaru sprawiedliwości (...), że nawet nie zdołał wprowadzić w życie federalnych przepisów dotyczących broni (co radykalnie umożliwiłoby powstrzymać przemoc); przepisów dotyczących systemu zdrowia psychicznego, które zostało całkowicie zaniedbane i obecnie sprawia wrażenie czystej kpiny...”. Koncentrując się szczególnie na chorobach psychicznych, LaPierre kontynuuje: „Powinni się skupiać na tym, co niezbędne, i gdyby się na tym skupiali, nie mieliby do czynienia z Navy Yard... (Aluzja do Aarona Alexisa, który pod wpływem urojeń zabił z karabinu dwanaście osób i ranił cztery osoby).

„National Journal” 16 września napisał: „Senator Dianne Feinstein (D-CA), jedna z liczących się członków senatu, po wypadkach w Washington’s Navy Yard (Aaron Alexis), w sprawie kontroli broni wypowiedziała się za szczególnie surowym prawem ograniczającym dostęp do broni palnej. Oto fragment jej wypowiedzi: »To jeszcze jedno wydarzenie w całej litanii masakr, jakie miały miejsce, gdy osoba obłąkana lub jakiś rozgoryczony morderca jest zdolny nabyć każdą broń palną – razem z karabinem wojskowym typu szturmowego – i w krótkim czasie zabija wielu ludzi. Kiedy w końcu zdecydujemy – dość tego?«”.

„New York Times” 3 stycznia 2014 roku napisał: „Po tym, jak ustawa [o kontroli broni palnej] upadła, pan Obama przyrzekł, że jego administracja podejmie w tym kierunku następne akcje wykonawcze. W konsekwencji wydał dwadzieścia pięć poleceń wykonawczych zaostrzających przepisy dotyczące prawa do posiadania broni”.

Wojna na słowa w efekcie nic nie daje i ani trochę nie przybliżyła nas do uzyskania odpowiedzi na oba zadane pytania. Problem z tak sformułowanymi odpowiedziami jest taki, że chociaż często są powtarzane, bazują na przypuszczeniach, które po prostu nie są prawdziwe.

Jednym z fałszywych założeń jest to, że ludzie mają trudność z uzyskaniem dostępu do leczenia chorób psychicznych i że rozpoznanie choroby psychicznej u jakiejś konkretnej osoby jest procesem niezwykle skomplikowanym. Ale nie jest to prawdą. Obojętnie kiedy chora psychicznie osoba popełni masowe morderstwo, ludzie – gdy się o tym dowiadują – zawsze są zaszokowani. Ci wszyscy, którzy popełnili masowe morderstwo, mieli kontakt z systemem zdrowia psychicznego. Zostali zdiagnozowani. I proponowano im „niezbędną pomoc”.

Zabójcy, zanim stali się masowymi mordercami, mieli dostęp do leczenia psychiatrycznego. Jednak odmawiali takiego leczenia. Tymczasem dostępne jest skuteczne leczenie chorób psychicznych, jednak to leczenie skutkuje tylko wtedy, gdy dana osoba podda się odpowiedniej kuracji. Mimo wszystko obecnie oferowana w Stanach Zjednoczonych opieka zdrowia psychicznego jest w niewielkiej mierze skuteczna. I, jak to omówimy poniżej, osoby mające inklinacje do psychotycznej przemocy nie chcą poddać się leczeniu, nigdy nie szukają możliwości leczenia, usilnie się temu sprzeciwiając, kiedy próbuje się to na nich wymusić. Krótko mówiąc, mimo że tego wymagają, nie chcą się temu poddawać.

Inne założenie twierdzi, że system zdrowia psychicznego powinien dążyć do separowania w zamknięciu bardziej niebezpiecznych ludzi. Jednak tak się nie dzieje. To Sąd Najwyższy Stanu Kalifornia zamyka niebezpieczne osoby, a nie system zdrowia psychicznego, i często ten sam sąd je uwalnia. Sądy stosują własne kryteria na określenie „niebezpieczny” oraz na „konieczność leczenia”. Pacjent psychiatryczny często absolutnie nie pojmuje decyzji sądu.

Zakładano też, że wszyscy ludzie chorzy psychicznie są niebezpieczni. I to też nie jest prawdą. W istocie osoby chore psychicznie dużo bardziej

prawdopodobnie stają się ofiarami przemocy niż są jej sprawcami. A jednak niektórzy ludzie psychicznie chorzy są gwałtowni. Kluczowym problemem jest umiejętność rozróżnienia i oddzielenia tych osób od innych chorych.

Częstym i powszechnym założeniem jest to, że można zapobiec wielu zbrodniom, uniemożliwiając nabycie broni palnej osobom chorym psychicznie. Nic bardziej błędnego. Bardzo niewielu chorych psychicznie jest mordercami. Między rokiem 1998 i 2009 z 95 milionów potencjalnych nabywców broni palnej w Stanach Zjednoczonych tylko 0,03 procent zapisało się w historii jako chorzy psychicznie. I prawie cała zakupiona broń palna, potem użyta w Ameryce do popełnienia masowych morderstw, została nabyta legalnie. Jeśli tak wielu ludzi jest chorych psychicznie, a większość z nich nie wykazuje skłonności do czynów gwałtownych, to dlaczego winniśmy się tym martwić? Jaka choroba, z psychiatrycznego punktu widzenia, czyni z nich masowych morderców? Albo – co jest tak samo ważne – jakie są jej przyczyny?

Ci ludzie nie są autystyczni, nie mają objawów zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych (OCD) ani zespołu stresu pourazowego (PTSD). Nie dręczą ich zaburzenia lękowe, fobie społeczne ani dysfunkcja integracji sensorycznej (SPD).

Ludzie pogrążeni w depresji popełniają samobójstwo i nie należą do masowych morderców. Ludzie obciążeni szaleństwem dwubiegunowym są potencjalnymi ofiarami zbrodni – i znowu, nie są ich sprawcami. A jednak przerażają. I często padają ofiarą strzelaniny policji. A ci, którzy noszą na ulicy barwne kapelusze, coś nieskładnie bełkoczą, ci schizofrenicy, są zbyt zdezorientowani i niezorganizowani, aby knuć precyzyjny plan masakry.

Kto zatem pozostał? Pierwsza niepokojąca grupa uzyskała etykietę „osób o zaburzeniach osobowości”. Zaburzenia osobowości charakteryzują się trwałym nieprzystosowaniem do ogólnie przyjętych zachowań, lecz nie dotyczą psychoz. Najostrzejsze zaburzenia osobowości zostały nazwane aspołecznymi (socjopaci), narcystycznymi albo borderline[12].

Podczas gdy osoby z zaburzeniami osobowości są w stanie popełniać wiele

różnych zbrodni – łącznie z makabrycznymi morderstwami – ich zachowania i motywy mogą być zrozumiałe i można je ustalić. Ci ludzie popełniają zbrodnie ze złości, z zazdrości, z zemsty albo pod wpływem napadu wściekłości. Popełniane przez nich morderstwa często dotyczą członków rodziny lub współpracowników.

Ich zbrodnie mogą być powszechnie znane i zapamiętane, ale ludzie o zaburzeniach osobowości nie popełniają masowych morderstw.

Pozostała ostatnia grupa. I to właśnie do niej należą ci wszyscy, którzy popełniają masowe morderstwa. Zabijają ludzi, którzy są dla nich obcy, polityków, dzieci w szkołach, pracowników ochrony. Zabijają dlatego, że cierpią na szczególny rodzaj chorób psychicznych. Ustaliłem, że mordercy masowi są prawie zawsze paranoikami.

Paranoicy, zwykle nazywani też schizofrenikami, mogą być niezmiennie głęboko i gruntownie owładnięci złudzeniami, lecz nie są podobni do tej grupy schizofreników, którzy paradują po ulicach w dziwnych kapeluszach i bredzą coś bez ładu i składu – oni pozostają zorganizowani, fakt znany od stuleci. Posiadają pełną zdolność działania, pracy, radzenia sobie z pieniędzmi i planowania. Mogą bezbłędnie wypełnić formularz urzędowy, mogą gromadzić cały arsenał broni palnej, tworzyć plan i wprowadzać w życie masakry.

Wszystkie osoby paranoidalne wykazują cechy dysfunkcyjne, symptom zwany anozognozą – to grecki termin oznaczający „brak świadomości” albo „zaprzeczanie chorobie”. Te osoby uważają, że nie są chore, i nie dają się przekonać.

Ludzie paranoidalni mają poważnie zniekształcone postrzeganie świata zewnętrznego. Powszechnie wypierają się winy: „To nie ja, to oni”. W równie patologiczny sposób ludzie paranoidalni wierzą, że to oni są prawdziwymi ofiarami jakichś zakonspirowanych przekonań i działań, a nawet są ofiarami swoich potwornych zbrodni. Ich refren brzmi: „To nie moja wina. Spójrz, co one (ofiary) mi zrobiły”.

Co dziwne, osoby paranoidalne często pokazują drugą stronę paranoi,



pychę, prezentując przez to niepokojący paradoks. Mówią: „Rząd chce mnie wyeliminować. Ale ja jestem wszechmocnym bogiem. Nie zasługuję na to. To czyni ze mnie prawdziwą ofiarę. Ktoś musi za to zapłacić”. I dlatego dopuszczają się masakr.

Jeżeli masowe morderstwo zostało zaplanowane i zorganizowane efektywnie, my z kolei musimy przedłożyć koncepcję profilaktyki i terapii dla tych gruntownie paranoidalnych, ale zarazem funkcjonalnych, jednostek. Dla ludzi, którzy nigdy nie szukali leczenia bez względu na to, jak bardzo i jak często im je ofiarowywano. Dla ludzi, którzy wręcz zaprzeczali, iż są chorzy i uparcie odmawiali zażywania jakichkolwiek lekarstw. Ci ludzie winią całe społeczeństwo za swoje problemy, wierząc – bez względu na to, jaki tworzyli horror – że to oni są prawdziwymi ofiarami i że faktyczne ofiary masakry „dostały to, na co zasłużyły”.

Jeżeli chcemy zapobiec masowym morderstwom, każde rozpoznanie, środki zapobiegawcze, interwencje i cały schemat leczenia, winny być skierowane szczególnie do tej grupy ludzi. Nowe prawo dotyczące broni palnej winno się skupiać na nich – jednak nie mam pojęcia, jakie zastosować środki celem rozpoznania, zapobieżenia i interwencji – czy też jakiego rodzaju zastosować leczenie. Nie wiem też, jakiego rodzaju stosować ustawowe ograniczenia dotyczące broni palnej, jednak zgadzam się z Williamem Saletanem, który 7 kwietnia 2013 roku napisał w „Buffalo News”: „Ujawnienie problemów z chorobami psychicznymi wzbudziło w nas wszystkich wielki niepokój. Nie chcemy żyć w kraju, gdzie każda sesja terapeutyczna dostaje się do publicznej wiadomości. Nie chcemy żyć w kraju, gdzie broń jest konfiskowana tylko na skutek pogłosek. Nie potrafię wam powiedzieć, jak łączyć sprzedaż broni palnej z oceną zachowań w taki sposób, by uniknąć tych scenariuszy. Jednak mogę stwierdzić: jeżeli tego nie zrobimy, będziemy mieli więcej rzezi”.

\* \* \*

Na początku tej książki w *Nocie autora* napisałem, że stanowe szpitale

psychiatrii sądowej, takie jak Stanowy Szpital w Napie, nie są bezpiecznym miejscem. Mam nadzieję, że udowodniłem to przekonanie w sposób właściwy. Lecz opisanie przemocy jest tylko połową prawdy. Inną kwestią jest zbadanie, jak do niej dochodzi i co z tym zrobić.

Zmiany najwyraźniej są konieczne. Jednak jak ich dokonać? Dla Napa State Hospital i dwustu innych tego typu jednostek w kraju, hospitalizujących pacjentów podlegających psychiatrii sądowej, pierwszym krokiem jest nakazane przez sąd leczenie pacjenta. Jeżeli unikają więzienia dlatego, że są chorzy, winni być tak leczeni, aby doprowadzić do ich wyzdrowienia. A to oznacza stosowanie leków. Im więcej pobranych leków, tym mniej ataków, napadów, mniej śmierci, mniej problemów i bezpieczniejsze środowisko. Ludzie chorzy nie stają się zdrowi i w pełni kompetentni w magiczny sposób, bez lekarstw nadal będą napadać i zabijać.

Drugi krok to spełnienie wymogu obecności albo strażników więziennych, albo przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości w każdym szpitalu stanowym (psychiatrycznym), na każdym oddziale, a oddziały te powinny posiadać strukturę podobną do modelu zakładów karnych. Można też utworzyć pewne oddziały, które pełniłyby funkcje „oddziałów intensywnej opieki”, gdzie można odseparować dziesięć procent pacjentów, którzy popełnili dziewięćdziesiąt procent czynów gwałtownych.

Jednak ten postulat spotkał się ze sprzeciwem – posłużmy się zatem przykładem. Kiedy zaproponowano pomysł z tak zwanymi oddziałami intensywnej opieki, w stolicy stanu adwokaci praw pacjentów wyrazili sprzeciw. Proponowany plan przewidywał dla każdego pacjenta osobny pokój. Adwokaci argumentowali, że byłaby to zbyt izolacja. W szpitalu Napa sami pacjenci często zgłaszali wymóg posiadania własnego, pojedynczego pokoju.

Trzeci krok – zmiany muszą dotyczyć psychiatrów, psychologów, pielęgniarek i personelu. To wy jesteście narażeni na napaść pacjentów. Powiedzcie coś. Zróbcie coś.

Krok czwarty – należy edukować rodziny pacjentów. To wasi synowie,

córki, ojcowie i matki byli okaleczani i zabijani. Powiedzcie coś. Zróbcie coś.

W tym względzie gubernator stanu Kalifornia – i niewątpliwie innych stanów też – może chcieć uniknąć obciążania go winą za epidemię przemocy w szpitalach. Nasz gubernator – obecnie Jerry Brown – jest w pełni odpowiedzialny za chaos panujący w podlegających mu zakładach zdrowotnych. Napiszcie do niego list. Zatelefonujcie. Niech wie, co o tym myślicie, co czujecie.

Ale my, jako obywatele, też jesteśmy odpowiedzialni za rzezie w zakładach zdrowotnych naszego stanu, za przemoc na naszych rodzinach i przyjaciółach. Głosujcie na osoby chcące to zmienić.

[12] Borderline – osobowość chwiejna emocjonalnie. Charakteryzuje się wahaniami nastroju, napadami gniewu, lękami przed odrzuceniem itp.

## PODZIĘKOWANIA

DZIĘKUJĘ MOJEMU OJCU, Floydowi W. Seagerowi, i jego siostrom, Fay Seager Hanson i Verli Seager Berglund, za to, że nauczyli mnie sztuki opowiadania, co miało wpływ na snucie opowieści w tej książce. W czasach mego dzieciństwa, bez względu na okoliczności, mój ojciec i obie ciotki zawsze znajdowali czas, aby opowiadać mi o swoim dzieciństwie w czasach Wielkiego Kryzysu. Później opowieści ojca dotyczyły jego służby w wojnie koreańskiej – wchodził w skład jednostki MASH i został odznaczony Srebrną Gwiazdą – i jego praktyki medycznej à la Lewis Thomas<sup>[13]</sup>, i pod koniec o rzadkiej chorobie, która była przyczyną jego śmierci. Podobnie opisali mi walkę mojej ciotki Fay z rakiem i mężną postawę cioci Verli w obliczu podupadającego zdrowia.

Teraz ojciec i obie ciotki już nie żyją, ale ich mądrość, dowcip i okazywana odwaga nie umarły. Tak jak lekcje, których mi udzielali, z których najważniejszą była nauka poczucia humoru. Mam nadzieję, że należycie uczciłem ich pamięć, snując tę opowieść tak, jak mnie tego nauczyli.

Tę książkę dedykuję mojej żonie. Dzięki jednej z jej wielu umiejętności mogła być dla mnie nieocenionym redaktorem i krytykiem. Zwięzłość, styl czy też klarowność mego wywodu to głównie jej zasługa. Lecz najważniejsza jest miłość, partnerstwo i życzliwość, to wszystko, co okazuje mi każdego dnia. Kocham cię. Bez ciebie nie byłoby tej książki.

Każdy pisarz wie, że jego świat dzieli się na dwie grupy – tych, co mają agentów literackich, i tych, którzy ich nie mają. Przepaść dzieląca te bieguny jest szeroka i pozornie nie do pokonania. Mojej agentce, Jessice Papin,

zawdzięczam przeprawę z jednego brzegu tej przepaści na drugi. Jessico, bez twojego entuzjazmu, niestrudzonej pracy i fachowej, pewnej ręki, nigdy nie byłoby możliwe powstanie tej książki.

Specjalne podziękowania składam mojej pierwszej agentce, Lisie Collie Cool, będącej też popularną pisarką. Niezwykle cenię sobie twoją pomoc i nigdy jej nie zapomnę. Dziękuję mojemu szwagrowi, Michaelowi Vezo, z serdecznymi wspomnieniami o zmarłej przed sześciu laty mojej siostrze, Nancy. Oraz mojej ukochanej zmarłej matce, Berth Anne.

Wyrażam podziękowania moim przyjaciołom – Benowi Levinowi i Willowi Cirimele’owi. Dziękuję za wasze wsparcie i rady oraz za poświęcenie mi cennego czasu.

Bardzo dziękuję Caty Becker, Stephanie Evans i całemu personelowi redakcyjnemu wydawnictwa Gallery Books za ich niezwykle cenną wiedzę i czas. Dziękuję dyrektor naczelnej wydawnictwa, Mary McCue, i naczelnemu redaktorowi Jeremie Ruby-Straussowi.

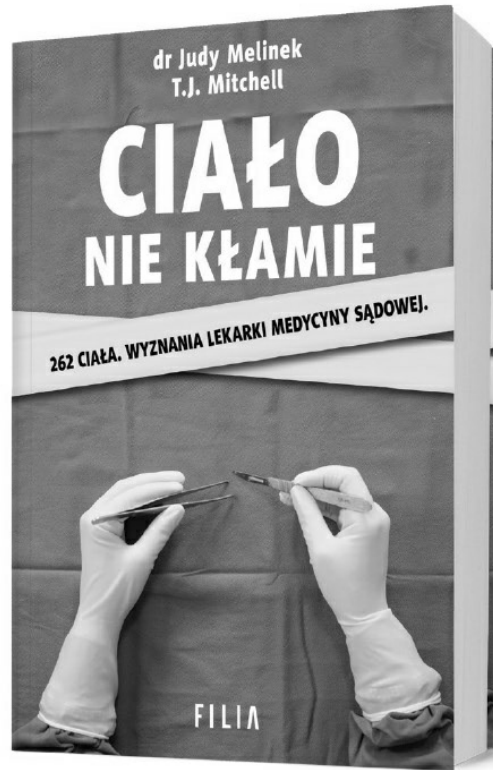
Szczególne podziękowania składam mojej wiernej redaktorce, Kiele Raymond. Taki błyskotliwy, cięty umysł to rzadkość. Dziękuję ci za to. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość.

I na koniec dziękuję tym wszystkim, z którymi pracowałem, a których uwieczniłem w mojej książce – a szczególnie najmilszej mi pielęgniarce Virginii Hancock, obecnie na emeryturze. Odeszła ze słowami: „Niech Bóg błogosławi tych wszystkich, którzy przebywają i pracują w tych murach”. Wszystkim w Stanowym Szpitalu Napa życzę tego samego.

[13] Amerykański lekarz, poeta, etymolog i eseista, zmarł w 1993 roku. Napisał autobiografię. Był nagrodzony National Book Award (1974) za zbiór esejów *The Lives of a Cell. Notes of a Biology Watcher*.



**262 ciała.**  
**Wyznania lekarki medycyny sądowej**



Szczery zapis wspomnień patolożki, pracującej w nowojorskim biurze naczelnego lekarza sądowego na stanowisku specjalisty medycyny sądowej.

Dr Judy Melinek zabiera czytelników za policyjne taśmy, opowiada o sekcjach zwłok, dokonywaniu oględzin na miejscu zgonu i wspieraniu pogrążonych w żałobie bliskich. Żeby mierzyć się ze śmiercią, trzeba kochać życie.

**FILIA**

**NA FAKTACH**





Tytuł oryginału: *Behind the Gates of Gomorrah:  
A Year with the Criminally Insane*

Copyright © 2014 by Stephen Seager  
First Gallery Books hardcover edition September 2014  
Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo FILIA

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcie na okładce © Dave Wall/Arcangel  
Redakcja: Paulina Jeske-Choińska  
Korekta: Agnieszka Czapczyk  
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-121-0

**FILIA**

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA NA FAKTACH

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)